

PIOTR CHOYNOWSKI

DOM  
W  
ŚRÓDMIEŚCIU

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



64620

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMP. CO., INC.“ — NEW-YORK  
 „KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.“ — KATOWICE.

DRUK. L. BOGUSŁAWSKIEGO, WARSZAWA.

K-218/76/73971

## I.

## SYN MARNOTRAWNY.

Stefan wpatrywał się w siedzącą naprzeciw ciotkę z rozczuleniem. Nie słuchał prawie, co mówi; uwagi jego natomiast nie uszło najmniejsze drgnienie wąskich ust, ruch najmniejszy wśród licznych koło skroni zmarszczek. Ciotczysko siedziało na fotelu wyprostowane i sztywne jak zawsze; ostre, szare oczy tkwiły w nim nieufnie i surowo. W monotonnej mowie raz po raz powracały z sykiem mocno akcentowane słowa: „głupstwo“ i „rozsądek“.

„Wychudła chyba bardziej jeszcze... I zrudziała całkiem... jak mysz“, myślał, błędząc wzrokiem wśród znanych mu tak dobrze ciemnych szaf, ciemnych foteli, ciemnych obić, ciemnych portretów, ciemnych portjer... Brr! Niewesoło.

Ciotka urwała nagle z obrazą.



— Nie słuchasz.

— Przepraszam. To po dalekiej drodze.

— Uważaj, bo chodzi o twoją przyszłość. Zawsze byłeś lekkoduch... Otóż z twojej sumki zostało ci u nas dziesięć tysięcy rubli. Resztę zmarnowałeś. Rozumiesz? Zachowaliśmy ci święcie. Dziesięć tysięcy to podług kursu urzędowego po dwieście szesnaście (namyślała się chwilkę, patrząc mu surowo w oczy...) to dwadzieścia jeden tysięcy sześćset marek. Tyle ci się od nas należy.

Przytrzymała go wzrokiem przez moment jak na uwięzi.

— Dobrze, ciociu — rzekł prosto.

Ciotka spuściła nagle powieki, a drobniutkie zmarszczki koło oczu zadrgały szybko, jak pajęcza siatka.

— Postanowiliśmy z wujem — mówiła tym samym matowym głosem — że jako siostrzeńcowi wypłacimy ci więcej. Dostaniesz dwadzieścia pięć tysięcy marek.

— Dobrze, ciociu — powtórzył z uśmiechem, całując suchą wydłużoną rękę.

Pani Micewiczowa patrzyła nań znowu wzrokiem zimnym i obojętnym.

— A cóż u ciebie? Cóżeś robił? Jakeś dojechał?

— Ba! — machnął ręką niedbale. — Czegom nie robił! Jak wzięli mnie do wojska z kijowskiej politechniki, to kręciłem się przez pięć lat, jak mucha w zupie. Na frontach byłem i nie na frontach. Postrzał przez pierś. Dwa Georgje. Różnie bywało... O mało chłopci nie zamęczyli. Po kaniowskiej bitwie na wschód uciekłem, do Odesy. Żle było. Potem już z Żeligowskim, z francuzami, grekami, djabłami, wszelką nacją do Rumunji. Odwrót zasłaniał się — roześmiał się radośnie. — Jak tylko nacje w skórę biorą, to my, polacy, zawsze zasłaniamy odwrót...

— Politechnikę skończyłeś?

— Nie zdążyłem. Od dyplomówki odezwali.

— Cóż będziesz robił?

— Phi... Nie wiem jeszcze. Może technikę skończę, może w wojsku zostanę. Byle co. Choćby drwa rąbać, czy węgiel nosić — roześmiał się znowu.

— Zawsześ ten sam. Nic rozsądku. Jak ojciec.

— A nic — uderzył się w kolano ze śmie-



chem, aż trzasło. — Nic rozsądku — powtórzył, znowu ukazując zęby, jak cukierki. — Wojna tego nie uczy, ciotko...

— Ale życie uczy — podkreśliła sucho, zezem patrząc na otłuczone kolano w starych rejtuzach. — Wojna manjer uczy, jak widzę...

Znowu ucałował wychudłą dłoń. „Co ty wiesz, staruszczo siwa“ — myślał radośnie. — „Tyle właśnie, co głupi rozsądek powie“.

— Zdziczałem, to prawda — mówił. — Już mnie tam ciocia w obroty weźmie! Jak dawniej, co? Pamięta ciocia w Zagajach mój despekt w kościele? Jak mi to koszula wyszła z pod munduru z braku guzików? A tu u pralata obiad... Wziąłem wały, no!

— Dawne dzieje — mruknęła niechętnie. „Uf! ciężka staruszka!“ — pomyślał.

Zaraz też, aby przecież cieplejszy nastrój wytworzyć, jął pytać śpiesznie, a niefrasobliwie:

— A cóż u wujostwa? Jak tam Janek, Mietek? Ożenił się który? A dobrze?

Ciotka ani drgnęła. Nie zmieniając intonacji głosu, informowała krótko:

— Miecio zginął przed trzema miesiąca-

mi. Na ukraińskim froncie. Gdzieś nad Zbruczem. Nawet grobu nie znaleziono, choć Janek jeździł. Zginął jako prosty żołnierz w Legji Akademickiej, w 36-ym.

Stefan aż osiadł pod tą wieścią. Przecie i w tych polskich wojnach ludzie giną! Mietek zginął. A staruszka nic! Prawda! Powiedziała „Miecio“, choć całe życie był „Mietek“.

— Zginął... — powtórzył jak echo.

— A zginął. Kończył właśnie uniwersytet. I zginął.

Milczeli chwilę. Stefan czuł, że trzeba już wstać, a nie mógł.

Staruszka poruszyła się na fotelu.

— Janek już wrócił pewnie. Może go odwiedzisz? Ubrania twoje dawne też u niego. Policzycie się. Na obiad zostaniesz? Proszę.

Wstał wreszcie.

— Dziękuję cioci, ale mam pilne sprawy. Cóż wuj?

Głos ciotki wychłódl teraz docna.

— Wuj zdrow. Polityką się zajmuje jak zawsze. Posiedzenia i posiedzenia...

Ze strachu widać, aby nie powiedzieć więcej, pytała sama:



— Do Rudzkiego pójdziesz?  
— Wybieram się właśnie.  
— W lecznicy siedzi. Doigrał się wreszcie... Wiesz już?  
— Wiem.  
— Pieniądze zaraz weźmiesz?  
— Jeśli ciocia pozwoli... Mam trochę franków, a nie chcę zmieniać. Ostatnio żołąd nam we frankach płacili.

Teraz dopiero spytała cieplejszym tonem:

— Oszczędziłeś? Dużo?  
— Kilka tysięcy.  
— Ho, ho! Franki pięknie stoją. Aleś się widać zmienił...

Roześmiał się szczerze i urwał nagle na wspomnienie Mietka. Bąknął tylko w zmieszaniu:

— Gdzie tam! Nie było na co wydać.

Obliczywszy się z ciotką, zastukał do pokoju kuzyna Janka. Ten golił się właśnie. Namydłone oblicze wyraziło gwałtowne zdumienie i prawie przestraszenie.

— Wróciłeś? Bój się Boga! — powiedział tonem dezaprobaty niejako. — Prawieśmy się już nie spodziewali! Tyle lat! Toć to dziś

już jesień dziewiętnastego roku... Bój się Boga!

— Ano, wróciłem, wróciłem... Martwisz się, widzę?

— To nie... Co ty znowu!... — bąknął młodzieniec, rumieniąc się pod mydłem jak róża. — Co ty znowu? Cieszę się! Tylko widzisz... Tylko widzisz, te twoje ubrania! — wypalił nagle z rozpaczą.

— Co za ubrania?

— No te, coś zostawił. Teraz drożyzna straszna, starzy grosza nie dają... Dwa przerobiłem na siebie i chodzę. Zniszczone już nawet. Może ci matka zwróci — jęknął niepewnie.

Stefan teraz dopiero zauważył na kuzynie swą własną pyjamę. Poklepał go po ramieniu dobroduszenie.

— Pogrzebaliście mnie tu, widzę — śmiał się pod czarnym przystrzyżonym wąsem. — Noś zresztą na zdrowie. Tylko pyjamę oddaj, bo ją lubię, choć stara. Nie zaraz, nie zaraz!... Bronzowy garnitur przerobisz również?

— Nie. Jest jaki był.

— Daj, przymierzę.

Przejrzał się w lustrze z wesołym śmie-



chem. Wszystko za krótkie, za kuse, za obciśle. Ba, ba! pięć lat! Co w nim zostało z ówczesnego chłopca? Chyba ten uśmiech, co rozjaśniał mu twarz nagle i niespodzianie, jak swywolne słońce. Uśmiechał się też radośnie, aż koniec orlego nosa drgał mu i białał na czubku. Przepyszne czarne oczy patrzyły jasno i zuchwale. Przeciągnął się jeszcze, jak wyspany kot. W szwach trzasło coś ostrzegawczo.

— Ależ się rozrosłeś — stwierdził melancholijnie chuderlawy kuzyn.

— Ba! ma i wojna swoje zalety... Jedną, widzisz, największą: już się teraz niczego nie boję, ani głodu, ani chłodu, ani żadnej rzeczy. Wszystko znam. Głupstwo zresztą. Mów lepiej, cóż tam w Zagajach?

— Niema Zagajów. Ojciec sprzedał, jak tylko niemcy weszli. Mówi, że ze wstępu do szwabów.

— Sprzedał? Bój się Boga!

— Też martwią się teraz starzy oboje, że wytrzymania niema. Cmentarz w domu. Matka żyć nie daje kompletnie... O Mietku wiesz?

— Wiem.

— No i bieda przyszła. Ojciec kupił akcje,

też ze wstępu do niemców, że to fabryka wywieziona do Rosji; dywidendy ani grosza i ciągle wdół idą. Matka skąpi... Na obiad kartofle i kasza, kasza i kartofle. Zośka pracuje w ministerjum. Ja też na siebie zarabiam. Prawo skończę za rok. Marzę tylko, żeby się stąd wynieść.

Kiwał smętnie głową, jak człowiek stary i doświadczony ciężko od losu.

Wprost od ciotki Stefan ruszył do starego Rudzkiego. Rudzki był niegdyś jego opiekunem urzędowym, choć właściwie nie opiekował się nim nigdy. Tkwiła w tem wszystkim jakaś romantyczna historia. Ponoć kiedyś, na wsi jeszcze, za matczynych panięskich czasów, kochał się w niej nazabój. Powodzenia mieć nie mógł, brzydki był bowiem horrendalnie, jakoś ponad zwykłą ludzką miarę. I wszystko też, co czynił, miarę tę przechodziło. Siadywał przeważnie w Rosji i zagranicą; na budowie kolei syberyjskiej dorobił się znacznego majątku. Stefan pamiętał z dzieciństwa, że rok rocznie, koło Bożego Narodzenia, przychodziły do domu z kolei nie paczki już, lecz zabite drewniane paki prezentów, które matka przyjmowała chłodno,



a on i ojciec z równie dziecinnem zainteresowaniem. Odbijali te paki razem i Stefankowi serce stawało i oczy wylaziły nawierzch; ojciec żartował wtedy z matki miło i lekko-myślnie, a matka wzruszała ramionami z zakłopotanym uśmieszkiem na surowej twarzy. Po pakach dopiero, przed samą wigilją zjawiał się i sam Rudzki. Przyjeżdżał rok rocznie, z Tobolska czy z Omska, z Moskwy czy z Paryża. Wchodził w uroczystym fraku, który śmiesznie opinał cielsko rozłożyste i brzuchate, i całował matczyną rękę, sapiąc ze wzruszenia. Z ojcem całowali się z dubeltówki, kochali się bowiem serdecznie.

— No, to ja i w domu! — mówił zruszczonym językiem, siadając na swoim zwykłym miejscu, na specjalnie ciężkim „Rudzkiego“ fotelu.

Odtąd zaczynały się dla rodziców czasy jak z bajki, pełne przyjęć, teatrów, redut, szlichtad i wesołości. Nigdy ponad dwa tygodnie. Któregoś popołudnia Rudzki przychodził znowu, w tużurku, aby żegnać się równie uroczyście. I znikał. Do Berlina czy Odesy, do Permi czy Budapesztu.

Na Stefana nie zwracał żadnej uwagi. Za-

bawki na gwiazdkę i dosyć. Jakby go wcale nie było. Raz tylko, pamięta, znaleźli się sam na sam w salonie, gdzie Rudzki czekał na przebierających się rodziców. Ziewał szeroko, nie widząc, zda się, nad biurkiem przypniętej obecności Stefanka. I nagle kiwnął nań grubym palcem. Stefan zadrżał. Rudzki imponował straszliwie jego dziecięcej wyobraźni. Chciał być taki sam, jak on: tajemniczy, brzydki i wszechmocny. Snuł dziwne bajki o jego podróżach, pracach i władzy. Kochał go mocno i nieśmiało — bardzo go kochał.

— Chodźże! Chodź mi tu zaraz!

Gdy podszedł, Rudzki obrócił go ku światłu, jak lalkę, unosząc mu głowę ku górze, jakby chciał zęby policzyć. Trzymał go tak szorstko i długo.

— Podnieś oczy!

Podniósł. Przyjrzał mu się raz jeszcze i postawił mocno, prawie odepchnął. Mruczał chwilę przez zęby:

— Tylko do ojca podobny... Do matki ani krzty.

Stefan zaśzłochał głęboko i nagle. Matka wyprowadziła go szybko do dziecinnego.



Na pogrzeb ojca Rudzki się spóźnił mimo najszybsze pociągi. Wyjechał zresztą natychmiast, aby wrócić za parę miesięcy. Mówili wtedy coś z matką. Ciotka twierdziła ja dowicie, że dostał drugiego kosza. Wyjechał znowu.

Po roku umarła i matka. Na galopujące suchoty. Nie chciała się leczyć. Przed śmiercią poszła depesza po Rudzkiego. Przyleciał. Stefan niewiele pamiętał tych czasów — zbyt był samym sobą zajęty. Śmierć matki uprzytomniła mu dopiero stratę ojca, którego kochał nadewszystko.

Ktoregoś wieczora po pogrzebie, przy oknie, Rudzki uściskał piętnastoletniego uczniaka tkliwie i serdecznie. Jeden jedyny raz.

— No, chłopcze! Teraz jesteśmy we dwóch.

Powiedzenie to miało znaczenie raczej symboliczne. Mimo iż wyraźną wolą matki, wbrew obrazie rodziny, mianowany opiekunem, Rudzki nie zajmował się Stefanem wcale. Prowadził wówczas, i stale już potem, żywot obrzydły i gorszący. Włóczył za sobą haremy i płatnych wesółków. Przez palce

tych band lało się strumieniem zarobione złoto. Pracował bowiem zawsze. Tylko o opinię już nie dbał. Tak już być miało do końca.

Stefanem rządziła ciotka. Mieszkał u nich w Warszawie i w Zagajach przez trzy lata. Możeby były przykre, gdyby nie ta pierwsza, wściekła, gorąca, dziecinna jeszcze młodość. Pamiętał jakąś historję z boną Janka, jakieś zgrozy i rygory ciotczyne, jakieś własne oburzenia i bunty. Uczył się zresztą dobrze. Rudzki apróbował zdaleka wszystkie postanowienia ciotki, której znosić nie mógł.

Dopiero na pierwszym roku politechniki w Darmsztadzie Rudzki odwiedził pupila. Stało się to po trzykrotnem i daremnm żądaniu przez Stefana pieniędzy od ciotki. Alarmujące jej listy sprowadziły właśnie Rudzkiego. Stał w pierwszorzędnym hotelu z jakąś francuską aktoreczką i po tygodniu znany był w mieście jako *die russische Exellenz*. Przywieziona aktoreczka znikła w tym terminie, zjawił się natomiast cały sztab miejscowych piękności. Rudzki ubrał Stefana jak księcia i dał multum pieniędzy na rachunek spadku po matce. Bawili się wspólnie przez



miesiąc. Opiekun traktował pupila pobłażliwie i pozwalał na wszystko. Nazajutrz dopiero wyśmiewał się przykro i brutalnie. Uczył. Na wyjezdne udzielił cennych rad i pieniędzy.

Podobnie spotykali się corocznie lub dwa razy do roku. Rudzki zawsze otoczony zgrają, którą płacił i poił, zawsze niemiły i imponujący; Stefan coraz bardziej opanowany, zły i milczący. Poznał w tym czasie wszystkie łatwe rozkosze do gruntu i obrzydził je sobie setnie. Nauczył się ubierać i liczyć pieniądze. Chciał pracy. Wybrał się też z Rudzkiem do jego syberyjskich przedsięwzięć. Tam ocenił dopiero żelazny charakter opiekuna, jego wytrwałość, odwagę, intuicję i nieprzebraną chytryść. Kochał go znowu.

Dziś też, mimo całej radości powrotu, siedł do zakładu leczniczego z ciężkim sercem. Bał się zobaczyć ruinę człowieka. Ale już w przedśionku pocieszył go nieco wysoki ton w głosie szwajcara: „Jaśnie pan ma gości.“ Nie było więc tak źle.

Wbiegł raczej, niżli wszedł na piętro. I zaraz na korytarzu, poprzez zamknięte drzwi,

usłyszał grzmiący i opryskliwy bas opiekuna. Musiał stukać dwa razy.

W ogromnym, zalanym słońcem pokoju, Rudzki siedział na olbrzymim fotelu tyłem do okna. Owinięte flanelą i kocem nogi poszerzały jeszcze rozrośniętą postać. Królował. Kilka osób — jakiś wybladły młodzian i dama z dwójgiem dzieci — kupiło się przy ścianie na krzeselkach, z torsami podanymi naprzód, na znak uwagi i szacunku. Zboku, przy Rudzkim, oparta o poręcz olbrzymiego łóża, stała jak na straży duża i ładna kobieta w szpitalnej bieli. Do niej to właśnie, w chwili wejścia Stefana, Rudzki zwracał swe inwektywy:

— Mówił ja, czy nie mówił, panno Marjo? Co!! Nie wpuszczać mi *poproszajek!* Znowu grzebać przyszli! Nie wpuszczać! Pędzić!

Na widok pupila urwał nagle i jął sapać mocno i z udręką. Całując go w ramię, Stefan dojrzał, iż cała prawa strona twarzy wraz z okiem wykrzywiona była i martwa. Bok ust opadł głucho i boleśnie. Serce Stefana ścisnęło się żałośliwie.

Stary pan opanował się tymczasem. Ści-



skając jeszcze rękę chłopca, rzucił mu z gniewnym wyrzutem:

— No, taki wrócił wreszcie!... Nie zabili?

I zaraz grzmiał znowu, zwrócony tym razem wprost do swych gości. Sądził się na mocno rosyjskie akcenty, jak zawsze w chwilach gniewu i wzruszenia.

— Grosza ja kuzynce nie zostawię, ot co! Ni rubla, ni kopiejki! Sam zjem wszystko, panna Marja pomoże! Dzieci mi tabunami sprowadza! Ty delikatności ich naucz, niech nieproszone nie leżą! Ot co! Grosza nie dam! Kuzynce nie dam i dzieciom nie dam!

Panna Marja uśmiechnęła się obojętnie. Piórka na głowie paniusi zachybotwały się ze wzruszenia. Mówiła cicho i słodko:

— Ależ, kuzynie, jak można tak myśleć... O zdrowiu niech kuzyn myśli i o Bogu.

Rudzki aż się zaślinił z wściekłości.

— *Isz, kuda mietnuła!* Chytra baba! A kiedy kuzynka taka chytra, to się kuzynka domyśl, co masz zrobić, kiedy prawdziwy gość u mnie. A jak się kuzynka nie domyślasz, to sam powiem: iść trzeba! Iść i nie przychodzić!

Dzieci rzuciły się do całowania rąk, jak na komendę. Wystawił obie, jak tace, byle prędzej. Wyszli. Wyszła i panna Marja. Tylko wybladły młodzian tkwił jeszcze na krzeselku, jak na różnie, ze strachem i boleścią.

— A ty co?

Młodzian wił się wstydliwie.

— Ja... Może z miasta co przynieść? I obiecał mi wuj sto marek.

Rudzki rzekł krótko:

— *Paszot won!*

Młodzian zrejterował w pośpiechu.

Gdy zostali sami, Rudzki przyjrzał się Stefanowi długo i uważnie. Nie wiedzieć: z uczucia, czy z ciekawości. Potem zarządził po swojemu:

— Bliżej chodź. Tu stań. Przy mnie.

Obmacał mu biceps grubemi paluchami i dłoń zatrzymał w swojej.

— Zdrów jak koń — mruknął.

— Zdrów — uśmiechnął się Stefan.

— Taki sam wróciłeś, jakieś wyjechał! Gadaj!

— Starszy.

Podczas opowieści Rudzki nie wypuścił ręki Stefana ani na chwilę. Milczał zresztą.



Dopiero, gdy doszli do rany i dwu Georgji, mruknął pogardliwie:

— Odważny to jesteś. I nie sztuka. Jakaśmy się z ojcem bili, też dobrze stawał...

— Nigdy pan nie mówił... Biliście się?

— To jedno świństwo matce zrobiłem. Udo mi ojciec przestrelił. A chciałem zabić, uch, jak chciałem! No, co było, to było, — a zaraz potem przyjaźń. Tak. Kula nie na wszystko pomaga. Głupi też byłem jak szczenię.

Znów słuchał, milcząc. Gdy Stefan zamilkł z kolei, rzekł twardo:

— Dobrze, żeś wrócił. U mnie tu widzisz jak... Parszywie. No, urwało się u dzbana ucho! Doktor, podła dusza, mówi, że za rok, za dwa... Długo czekać. Och, najgorsze—chodzić nie mogę. Nudno.

Ożywił się nagle, aż oczy mu zabłystry.

— Tu, widzisz, niepodległość... Roboty, ile dusza zapragnie. Tylko rękawy zakasać. A ludzi mało. Na palcach wszystkich policzysz i jeszcze trzy zostanie. A mnie aż serce do roboty piszczy. I umiem ją robotę robić, sam wiesz, że umiem...

— Wiem.

— Też to właśnie. Bo gdzie ja do leżenia! Całe życie żyłem za trzech; dziś nogi odjęło, a żyć się chce ciągle. Ruszać się, robić... Jużbym i na zabawę plunął! Byle robota, byle pracować, byle żyć... Och, bracie!...

Pomilczawszy chwilę, Rudzki przeskoczył na inny temat nagle i niespodzianie.

— Myślałem o tobie nocami. Wojsko rzuć, kończ technikę — jedyne godne człowieka zajęcie. Władzę masz: burzysz i budujesz. Tak. Zamieszkasz w moim domu i mieszkaniu. Jakiś tam ktoś siedzi — zarekwirował. Wyrzucić. Papiery z biurka i z *safe'u* wyjmij: będziemy przeglądać i palić. Będziesz administrował wszystkim: przyślij mojego adwokata jutro, dam plenipotencję. Za mnie masz płacić sam; pensję ci wyznaczę. Jeśli zaraz potrzebujesz, weź z banku... Tak. Wszystko chyba.

Zasapał się i zadyszał. Resztką głosu kończył cicho.

— Nie. Pisma francuskie i angielskie kupuj wszystkie, jakie dostaniesz. Rosyjskie też. Bo nudno... Och, nudno. Odwiedzać mnie będziesz dwa razy na tydzień. Więcej nie chcę.

Westchnął i przymknął oczy. Do pokoju



wsunęła się cicho ładna pielęgniarka. Jęła zaraz oglądać Stefana badawczo i z metodą: od strzyżonej czupryny do grubych butów kawalerskich i *da capo* od butów do czupryny. Stefan wstał.

Rudzki otworzył oczy.

— Czekaj. Jeszcze ci mam powiedzieć: gdyby drugi atak, gdybym zaniemówił, masz siedzieć przy mnie dniami i nocami. Żeby nie na łasce u tych tam... Ona cię zawiadomi — kiwnął pogardliwie dłonią. — Teraz idź.

W korytarzu już zawołano na Stefana. Obrócił się pośpiesznie. Ta sama biała panna Marja. Z zalotnym uśmieszkiem patrzyła na niego bezmyślnie i zuchwale.

— Chciałam zapytać... Pan kuzyn?

— Nie.

— Przyjaciel... Rozumiem. Pan Rudzki bardzo wymagający... Bardzo. Gdzie do pana telefonować?

Powiedział.

— A jeśli w nocy?

Odrzącił ją ostro oczyma.

— Służ mu panna dobrze. Wynagrodzi. I ja wynagrodzę.

Wstąpił jeszcze do dyrektora zakładu.

Wysoki, łysy doktor potwierdził słowa Rudzkiego.

— Rok, dwa... Może kilka miesięcy... Tylko żadnej pielęgniarki utrzymać przy chorym nie można. Wymagania przy tej kompleksji ogromne... Panna Marja...

— No, ta wytrzyma — uciął Stefan jak nożem.

Doktor zamilkł wstydliwie.



lez, gdy kilka dni temu, na jakiejś granicznej stacyjce, znowu usłyszał grubjańską lecz swojską mowę. Oto jest na ojczystej ziemi. W Polsce. W wolnej Polsce.

Wszystko, co widział, zajmowało go nad wszelki wyraz. Oglądając przechodniów z życzliwą pobłażliwością, szperał w ich chodzie i rysach za tym radosnym okrzykiem, który tam, na obczyźnie, tkwił w nim stale od roku, wydierał się z każdej myśli i czynu. — „Niepodległość mamy, staruszkę“ — mówił wzrokiem do gderliwego pana przed cukiernią. — „Wolni jesteśmy, kolego“ — witał w duszy każdego mijanego studenta. Lecz ani siwy pan, ani studenci, ani milicjant na rogu, ani kulawy posłaniec, którego znał od dziecka, nie pochwalali jego cichego entuzjazmu. Śpieszyli się przytem bardzo. Ubrania mieli wszyscy jednakowe: szare jakieś, bez żadnego kroju i dosyć obdarte. Wyglądało to trochę na zrównanie się stanów. A nachmurzeni byli może więcej jeszcze, niż przed wojną. Jak to w Warszawie. Mijając, trącali się łokciami z ponurą opryskliwością. Nawet w południowym słońcu tworzyli potok wartki, lecz zimny, cichy i beznadziejnie szary. Nie było tu mo-

## II.

### MILE ZŁEGO POCZĄTKI.

Jakoś około południa ulicą Bracką szedł Stefan ku domowi Rudzkiego. Wykapany już po podróży wielokrotnie, znakomicie wyspany, w nowym khaki mundurze, do figury mimo chłód jesienny, niósł w duszy samą prawie radość i wesele. Wiodło mu się od powrotu wszystko. Z wojska obiecano go uwolnić rychło, w politechnice przyjęto życzliwie uratowane z najgorszych okazji papiery, mieszkanie i zajęcie miał, pieniędzy narazie dosyć. A nadewszystko rozpiekało go słodkie uczucie przynależności do tych tu właśnie miejsc i stosunków, głęboka synowska życzliwość i wdzięczność dla tego tu chłodnego nieba i piaszczystej ziemi, dla ulic i kamienic, dla sklepów, ludzi i starych dorożkarskich szorów. Chował jeszcze w sobie tkliwą a męską rzewność, aż do surowych w oczach



wy o jakiejś tłumnej, choćby milczącej radości. Nie było tu nawet radości życia. Ledwie gdzieś tam, ktoś tam zerknął na Stefana okiem badawczym i złem. Zresztą nie zwracano nań żadnej uwagi. Nawet na wspaniały mundur khaki. Chyba ot ta panienka, co przechodzi przez ulicę, unosząc suknię powyżej kolan. Uśmiechnęła się. Ba!

Na rogu Szpitalnej dosięgnął go daleki jeszcze mosiężny wrzask. Wojsko. Przyśpieszył kroku mimowoli, jako że nigdy nie miał dość widoku tych polskich wojsk. Miał wrażenie, że są jakieś inne, coś jakby jego własne. U wylotu placu Wareckiego dojrzał wysuwające się z Mazowieckiej czoło wspaniałego pochodu. Żołci ułani! Na przodzie szesciu trębaczy na białych koniach, pyszni oficerowie w białych rękawicach, lasek kołyszających się porożczyków. Piechota z orkiestrą waliła za ułanami jak rzeka. Szumna i buńczuczna, choć na własnych nogach. Olbrzymie puzony, rozdęte a czerwone puce, uśmiechnięte gęby, pruskie jeszcze mundury, szczecina połyskliwych luf. — „Sto djabłów, nie wojsko“ — uśmiechał się dobrotliwie Stefan. — „Ani to chodzić nie umie jeszcze, ani

jeździć, a miny — kroć sto tysięcy! Co drugi — to złodziej i ladaco, a co za fantazja! Pierwszej klasy rekrut! Jest z czego armję zrobić i to jaką armję!“

Zachwycał się i cieszył, jak chłopczyk pudelkiem ołowianych żołnierzy. Zmieszany z tłumem gapiów podziwiał pobłażliwie jaskrawość barw jazdy we wspaniałem słońcu.

....„Bawią się, gaigany, w wojsko... Pokojówki mdleją pewnie na sam widok. Ba! ba! Taki strój! Co ten znowu na siebie nawieszał! Szmuklera i złotnika chyba okradł!“ — śmiał się na widok pułkowego adjutanta, lśniącego na karym koniu jak monstrancja. Dopiero gdy głucho warknęły przeciągające działa, obejrzał się po zebranych wokół tłumie.

Stał obojętny i milczący. Na tym ruchliwym placu zebrały się wszystkie warstwy społeczne ludnej stolicy: widziałeś tam i dostatnich jegomościów w futrach i robotników z pobliskiej giełdy pracy, strojne elegantki i chałatowych żydów, księży i gazeciarzy, studentów i urzędników, terminatorów, przekupniów, szykowców i nędzarzy. Cała Warszawa. I wszystko to wlepiało w mijające szeregi wzrok zimny i nieprzystępny uczuciu,



taki sam napozór prawie, jakim wpatrywano się ongi we wspaniałe rosyjskie pułki wołyńskiej gwardji, czy w pruski landszturm. Ani białej chusteczki nigdzie, ani okrzyku. Pośpne głucho milczenie. Dopiero gdy pod jakimś świeżo upieczonym porucznicyzną potknął się niewyuczony konik, z tłumu poderwały się śmieszki krytyczne a nieżyczliwe. Między działami raz wraz jęły śmigać zrazu pojedyncze postacie, potem całe grupki przechodniów, psując docna ład i wygląd pochodu. Oficerowie i żołnierze znosili to z niechętnem mruzeniem. Jakiś bezroboczy w rosyjskim jeszcze wojskowym płaszczu mówił coś zgryźliwie do kółka posepnych sąsiadów... Zaczęło się rozchodzić.

Ruszył i Stefan. Cały jego radosny nastrój poranny jak wichrem zwiąło. Czuł się osobiście obrażony i dotknięty w swym wojskowym honorze. Więc jakto? Cóż ta Warszawa sobie myśli? Któż to ją, u diabła, od roku już piersiami zaślania? Któż to jej Lwów zpowrotem oddał i cały kraj bogaty, po Zbrucz i Borysław? Czyjaż to chwała o mury Dźwińska się obija? Skąd to Wilno starodawne i Mińsk znowu w ojczyźnie? Czyjaż to zasłu-

— Mały! A gdzie stróż?

Chłopak wskazał na parterowe mieszkanie w podwórzu.

— Tu mieszkamy. A bo co?

— Mam interes do ojca. Prowadź!

Malec wzruszył ramionami niechętnie.

— Nie wiem, czy ociec będzie dziś z panem gadał.

— Głupiś! Prowadź!

Jakoż chłopiec miał rację. Za drzwiami słyhać było brzęk przewróconego kieliszka i płacz jakiś czy skomlenie. Drzwi otwarto dopiero na energiczną interwencję malca. „Helka, to ja!“ — darł się wniebogłosy. Przystojna i młoda dziewczyna powitała Stefana wzrokiem nachmurzonym i złym. Zasłoniła sobą wejście z wyraźną intencją, że za próg nie puści. Przez ramię jej Stefan widział zresztą za stołem zwichrzoną czuprynę stróża, który płakał gorzko nad stłuczonym kieliszkiem. Oczy miał mętne i nieszczęśliwe.

Dopiero na wzmiankę o godności nowego administratora dziewczyna rozchmurzyła się nieco.

— Przepraszam pana bardzo — mówiła z okropnym wstydem — ale ojciec niezdrów



nam dzisiaj. — Wicek! Prowadź pana do pana Tylickiego. On wszystko pokaże. Rządca. Zamknęła drzwi z ulgą.

Po drodze na czwarte piętro Stefan nie mógł powstrzymać ciekawości.

— A cóż się u was stało? Czego ojciec płacze? Umarł kto?

Chłopak odmruknął z pogardą.

— Co miał umrzeć! Macocha nama uciekła. Bez to się ociec zabija.

— A ten stary w bramie czego zły?

— Nie ma być zły? Syn mu właśnie z macochą uciekł. Windziarz. Kto mu tera jeść czy pić poda? Wiadomo chory. Helka chyba...

I nagle dodał z pasją.

— Jakby tak na mnie, tobym nic nie dbał. Niech uciekają.

A już przed drzwiami lokalu sam pytał gorliwie:

— Jakiego to wojska mundur?

— Polskiego.

— Nowy?

— A nowy.

— Ładny. Żółty jakiś.

Zadzwonił. Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby ktoś za nimi czekał. Uczyniła to

lekkomyślnie jakaś dama w samej tylko koszuli, wyjmująca właśnie papierosy z męskiego palta. Uciekła z okropnym piskiem, obciskając zresztą cienką koszulę jak najwydatniej. Wicek parsknął krótkim śmiechem i zbiegł ze schodów, aż zadudniło.

Pozostawiony samemu sobie, Stefan rozglądał się po pokoju, do którego wszedł prosto z sionki. Było to coś pośredniego między gabinetem a jadalnią. Zarówno duży stół, przy którym usiadł, jak i biurko, zavalone były talerzami z resztkami wczorajszych potraw oraz masą niklowych tacek z brudnymi kieliszkami wszelkich rozmiarów. Zdumiewała wprost w tym pokoju liczba niedopalków od papierosów. Leżały masami wśród sosów na talerzach, na tackach i w kieliszkach, widniały powtykane w chuderlawe wazony między powiedle kwiaty, poniewierały się wprost na stole, biurku i krzesłach, zaścielały podłogę aż pod bufet i szafy. Stefan obejrzał się z ciekawości za popielniczką. Nie było ani jednej. Zauważył natomiast, iż serweta na końcu stołu była odwinięta, blat zaś zasłany licznymi taljami kart. Pikowa dziewiątka szczyrzyła w jakimś rogu czarne zęby do le-



żące obok dwójki. Był to wyraźnie ostatni cios. Grano tu w baka. Biały śnieg podartych na podłodze karteczek świadczył, iż grano na kredyt i długo. Stefan uśmiechnął się. Spojrzawszy na jedną z tacek, dojrzał na niej pięć ślicznych kieliszeczków z rżniętymi herbami obok ordynarnych kielichów dorożkarskich. Wszystko wogóle w tym pokoju celowało w umyślnych jakby dysonansach. Ciężkie rzeźbione krzesła kolegowały wesoło z giętymi pospolitakami, tandetne biurko klóciło się na pierwszy rzut oka z miłym kredensikiem angielskim. Gdzieś w kącie widniał najwykleszy biały stołek kuchenny. — „Ożenił się niedawno“ — wnioskował Stefan — „porządne rzeczy z wyprawy, reszta kawalerskie“.

Jakieś hałasy w sąsiednim pokoju kazały mu się spodziewać czyjegoś nadejścia. Jedne z drzwi jęły się otwierać długo i z wysiłkiem. Stał w nich trzyletni może bobas, śliczny i umorusany. Ujrawszy obcego, stropił się, ale na krótką tylko chwilę. Stojąc ciągle we drzwiach, zawiadomił:

— Malysia poszła po wodę.

I po chwili dodał z powagą:

— Siodową.

W tej chwili weszła dość dobrze już Stefanowi, acz ztyłu, znajoma dama w przezroczytym szlafrocuku i z czarującym uśmiechem. Za nią sunął trzydziestoletni może młodzian w eleganckim i zmiętym garniturze, o straszliwie rozwichrzonych włosach. Spał najwyraźniej w ubraniu i zerwał się przed momentem. Na nazwisko Stefana czerwone oczka zginęły mu z rozczulenia zupełnie pod rudymi brwiami.

— A, pan Makomaski! — zatarł brudne ręce z radością. — Jakże się cieszę. Nowy administrator, ba, ba! Pisał już do mnie ten stary warjat...

— Pan Rudzki jest moim przyjacielem — przerwał Stefan sucho.

— Znakomicie — zgodził się tamten natychmiast. — Otóż ten stary warjat pisał do mnie właśnie, że znalazł naiwnego do prowadzenia tych głupich interesów...

Stefan nie zdążył nawet odpowiedzieć, gdyż całą uwagę jego zajęły szczególne manewry pani Tylickiej. Dama ta, przechyliwszy się dla zapalenia papierosa, rozpuściła trzymane dotychczas w ręczce fałdy brudnawego szlafrocuka, z których jąła się naraz wysuwać



kokieteryjnie noga w ażurowej pończosze. Szlafroczek rozsuwał się wolno, ale stanowczo: nóżka odkrywała się coraz wyżej i po-  
nętniej... Stefan patrzył na to z ciekawem osłupieniem. Już widać brzeżek podwiązki lila, już całą podwiązkę, już... co będzie dalej?... Nagle szlafroczek zatrzymał się automatycznie. Stefan odetchnął. „Agrafką spięty, a niech to djabli!“ — domyślił się natychmiast.

Dama zachowywała się zresztą jakby nigdy nic. Spojrzawszy dopiero na zarumienioną twarz gościa, parsknęła cichutko, wcale zresztą nogi nie chowając. Mążonek aprobo-  
wał to postępowanie najzupelniej.

Zasłaniając łysinę ztyłu zwichrzonemi, żółtemi kłakami, terkotał pośpiesznie:

— Niech tu pies, panie, administruje, nie porządny człowiek! Co tu za administracja! Każdy płaci, co chce, wielu nie płaci nic, a ho-  
łota chciałaby, żeby jej dopłacać za zaszczyt. Tak, panie, u nas w Polsce! Reparacyj ża-  
dnych — zwali się chałupa lokatorom na łeb, to i będzie koniec!

Od strony umorusanego bębna doleciało poważne:

— Tatuś mówi: będzie koniec.

Pan Tylicki obejrzał się dobrotliwie, uka-  
zując pierze na kołnierzu, i zaraz terkotał dalej:

— Ja już od roku prawie ręce umyвам. Co mi tam! Stary warjat nic nie płaci...

— Coś przecież — rzucił Stefan.

Administrator przyjrzał mu się z uciechą.

— Coś, mówi pan? Tysiąc marek mie-  
sięcznie, to coś? Za tyle przykrości z samego komisarjatu? Sam pan spróbuje. Żeby nie dom handlowy, który w tem tu mieszkaniu prowa-  
dzą, dawnobym pod kościół poszedł z ro-  
dziną...

A widząc, że na wzmiankę o domu han-  
dlowym Stefan spojrział mimowoli na ślady wczorajszej zabawy, dodał negliżująco:

— Trochę wesołości, panie, handlowi nie  
szkodzi. Dość nacierpieliśmy się podczas woj-  
ny. Koniec. Mamy wolność, panie, mamy nie-  
podległość! Można i użyć trochę.

Od drzwi doleciało znowu:

— Tatuś mówi: można tłoczyć.

Pani Tylicka zerwała się gwałtownie i, po-  
rwawszy jedynaka, jęła go całować z jakimś  
namiętym szalem. Chłopiec rozbeczał się na-



tychmiast. Wówczas, tuląc go do rozwartego łona, stworzyła przed oczyma mężczyzny wdzięczny posąg macierzyństwa.

Stefan powstał również. Pan Tylicki, ciągle walcząc z żółtymi włosami, pytał czule:

— Zamieszka pan u Rudzkiego?

— Tak, zamieszkam.

— Nie wiem, czy pan tam choć jeden cały mebel znajdzie. Zarekwirował jakiś porucznik. Od Dowbora, z intendentury, czy od rachunków. Straszny człowiek, panie. Kobiety, pijactwo, szulerka, od świtu do świtu... Okropność!

Otrzymawszy najsoleńniejsze zapewnienia co do otrzymania ksiąg i rachunków, Stefan wyszedł, żegnany miłym uśmiechem damy, którą poznał z widzenia tak dokładnie, a bez jednego słowa. Na schodach już obrócił się, aby odczytać na drzwiach wesołego mieszkania tabliczkę: „Witold Tylicki i Sp., dom handlowy“. Pokręcił głową z uciechą, biegnąc szybko na dół, bo z opinii Tylickiego wymiarkował, iż ów rekwirent mieszkania Rudzkiego w południe właśnie powinien być w domu.

Jakoż nie omylił się wcale. Gdy stanął przed drzwiami na drugim piętrze od frontu,

gdzie ponad nazwiskiem opiekuna widniał bilet wizytowy „Fryderyk Oskar von Wallenberg, ppor.“, z koroną siedmiopałkową, usłyszał za niemi chichot, piski i rozgłośny dźwięk pocałunków. Na szarpnięcie dzwonka rozległ się nagły rumor, jakby ktoś spadł ze stołka. Poczem tupot, śmiechy i męskie, wesołe zresztą, klątwy. Znowu chwila względnej ciszy. Zadzwonił powtórnie. Nic. Dopiero za trzecim razem z głębi mieszkania doszło czyjeś wściekle wzywianie, łoskot, jakby ktoś butem w drzwi cisnął, i zaraz ciężkie kroki żołnierskiego obuwia.

Wyjrzała gęba młoda, roześmiana jeszcze od ucha do ucha, głupia i zuchwała razem, iście mazurska. Indywiduum było zresztą w wojskowym mundurze, zaledwie narzuconym na kradzioną widocznie cieniutką koszulę. Ordynans. Obejrząwszy Stefana bez pośpiechu, zagadnął bez ciekawości:

— Czegój to?

Ten wepchnął go do środka krótkim ruchem i wszedł za nim.

— Pan porucznik w domu?

Ordynans podrapał się za uchem, spojrzął na półotwarte drzwi do kuchni, z poza któ-



rych widać było jakąś dziewczęcą wysuniętą głowę, i po namyśle odrzekł niedbale:

— Porucznik niby? Jeszcze drychnie.

Na cierpliwość Stefana było tego za wiele. Spytał sucho:

— Jakaś powiedział?

Musiało być w tym tonie coś z gróźby, bo mazur spojrział ciekawiej. Powtórzył jednak zuchwale:

— Drychnie, pedziałem.

— Drychnie, mówisz? A jak stoisz, co?

— Ja niby?

— A ty. Na baczność stoisz?

— Nie.

— To może staniesz? Co? Mam ci pokazać?

Pucołowata twarz wyraziła olbrzymie zdumienie, potem niechęć. Nie ruszył się jeszcze. Stefan ujął go za ramię, że zachybotał się nagle:

— Ba-czność!

Jednocześnie szybkim uderzeniem w kark wyprostował go, a krótkim ciosem pod brodę podniósł mu głowę:

— Rozumiesz teraz?

— Rozumiem, panie... panie kapitanie!

— ...Rotmistrzu, durniu jeden! Ostróg nie widzisz? A teraz jak się melduje, że pan porucznik śpi? Wiesz? Co? Mam nauczyć?

Delikwent zsunął buciska na bosych nogach, zrobił samowarek i wyrecytował szybko i głośno:

— Melduję posłusznie panu rotmistrzowi, co pan porucznik śpi!

Za kuchennymi drzwiami ktoś parsknął radosnym śmiechem.

— Zameldować porucznikowi. Marsz!

Mazur niósł teraz Stefanowy bilet jak relikwię. Makomaski wszedł za nim do gabinetu Rudzkiego.

Uderzył go odrazu szczególny panujący tam nieład. „Poprzestawiali meble“, pomyślał niechętnie, siadając na znajomym zdawna, klubowym skórzanym fotelu. Naraz zerwał się jak oparzony. Coś ukłuło go boleśnie w plecy przez mundur. Spojrzął. Wycięta nożem skóra z oparcia odsłoniła sprężyny i gwoździe. „Eche“ — mruknął, przystępując do szczegółowych oględzin pokoju. Na jednym z przepysznych kwadratów prawdziwego perskiego dywanu widniała świeża, tłusta jeszcze plama. Nachylił się i zbadał sprawę własnoręcz-



nie. „Likier“ — stwierdził dla siebie. W którymś z rogów czerniała na cudownym purpurowym tle aż do posadzki wypalona dziura od porzuconego niebacznie cygara. Wyprostowawszy się, Stefan jął posapywać mimowoli. Obchodził teraz gabinet metodycznie dookoła. Lśniaca powierzchnia mahoniowego stolika do kart wyrzeźbiona była w głębokie dołki i bruzdy, ślady rzucanych na nią twardych przedmiotów. I teraz leżała na niej ciężka szabla kawaleryjska. Obie wskazówki prześlicznego zegaru Louis XV opadły melancholijnie na godzinę szóstą, a na rzeźbionym brązowym okolu wisiał kokieteryjnie żółty pas wojskowy i czapka z jaskrawym lampasem. Stefan jął posapywać mocniej. Jakby przecuciem wiedziony, skierował się wprost do biurka. Zalane było atramentem i winem docna. Na wszystkich kantach najwyraźniej próbowano ostrości scyzoryków. Obok wypaproszonego powieścidla w jaskrawej edycji, dostrzegł przewrócone niewielkie album do fotografii, gdzie Rudzki przechowywał najdroższe sercu wizerunki. Sięgnął po nie chciwą ręką — i odrazu cała krew odeszła mu od głowy. Na pierwszej zaraz stronie

pożółkła panieńska fotografia matki zohydzona dorobionemi ołówkiem wąsami, a obok amatorski konterfekt rozebranej prawie dziewczki... Stefan pobladł na papier. Podświadomie dojrzał jeszcze napis: *Meinem lieben, lieben Oscar...*

Jak płomień ogarnęła go straszliwa, dusząca wściekłość, jakiej podlegał zrzadka. Miał to po ojcu. Błady, z rozdętymi nozdrzami, z albumem w ręku, chodził po gabinecie wolnymi krokami, od zamkniętych drzwi do biurka i od biurka do zamkniętych drzwi. Nie oglądał już nic więcej.

Po dłuższej wreszcie chwili wyszedł z ubocznej sypialni człowiek bardzo jeszcze młody, w wojskowym mundurze. Zarówno niektóre szczegóły stroju, jak i pewna udana zniewieściałość ruchów zdradzały dawnego korneta gwardji rosyjskiej. Włosy miał blond, twarz bladą o wylupiastych, krótkowzrocznych, widać, oczach.

Na widok gwiazdek gościa zaprezentował się chłodno:

— Podporucznik von Wallenberg.

Stefan przyglądał mu się w milczeniu długą chwilę. „Nawet obić tego nie warto. Takie



chuchro!“ — myślał. Wytrzymał go wzrokiem tak długo, aż tamten chrząknął ze zdziwieniem.

— Makomaski, rotmistrz ułanów. Gospodarz tego mieszkania.

Podporucznik spojrział niechętnie. Wycedził jednak z obojętnością:

— O ile mi wiadomo, gospodarzem jest...  
Stefan nasepił się groźnie.

— Proszę słuchać. Pan Rudzki ustąpił mi mieszkania rejentalnie. Tu kopja aktu. A teraz zapowiadam podporucznikowi krótko: do jutra — fora ze dwora.

Wallenberg osłupiał.

— Z czyjegoż to rozkazu?

— Z mojego.

Podporucznik uśmiechnął się niedbale i wzrokiem jął szukać krzeselka. Zrobił nawet gest, jakby chciał usiąść. W Stefanie zakipiała wściekłość na nowo. Chwyciwszy oficerka za rękę, ścisnął ją tak mocno, że Wallenberg zbłądł i syknął z bólu. Stefan nie panował już nad sobą.

— Stać! — huknął. — Starsza ranga mówi. Bo pana posadzę tu, w tym fotelu... (wskażał dłonią na sterczące w meblu gwoździe).

A może pański ojciec walizki robił, że pańską skórę z obić wycina? Co? Albo zegary naprawiał? Nie?

— Panie rotmistrzu!

Wallenberg poczerwieniał aż po korzenie włosów. Mierzyli się przez chwilę oczyma zjadle. Stefan czekał tylko na najmniejszy choćby ruch oficerka... Ale nie. Spuścił wzrok i nastroszył się ponuro.

Wtedy Stefan grzmiał znowu, pokazując ślady zniszczenia:

— Likiery pan lubi?! I cygara? A to co?

Szybkim ruchem podsunął mu pod sam nos ciągle trzymane w ręku album. Poczem, wydarłszy z niego fotografię czulej niemeczki, poszarpał ją na kawałki i szczątki kopnął nogą.

Podporucznik wydusił z siebie głucho:

— Ja nie pilnuję mieszkania... Może ordynans.

— Jemu nie Oskar na imię. Zresztą jaki pan, taki kram. Zachował się pan jak smarkacz, nie jak oficer. Zapowiadam: albo się pan do jutra wyniesie, albo skarzę go jutro w komendanturze, podaję na sąd oficerski i strat dochodzę cywilnie. Zrozumiano?



Wallenberg pograżył się w zaciętym milczeniu. A i Stefan, odsapnąwszy, dorzucił już spokojnie, na wychodnem:

— Zaraz tu przyśle służącego, żeby dopilnował przeprowadzki. I nie radzę nie posłuchać, bo nie wiem jakbyśmy razem mieszkali, nawet do rozstrzygnięcia...

Na schodach otrząsnął się jak pies po kąpieli. „Alem się zgniewał!“—westchnął ciężko. — „Gdzie mi tam do angielskiej równowagi...“ Przeszedł ze sto kroków, żeby się uspokoić ostatecznie i nagle uczuł wilczy głód. Zawrócił zpowrotem do zauważonej poprzednio „Cukierni Wersalskiej“.

Była to długa, wyłożona sala, do której po obu rogach tuliły się dwa niewielkie, dyskretne pokoiki. Obrzydliwe, żelazne schody w kącie wiodły najwyraźniej do sali bilardowej na piętrze. W różnych gzemsach, sztukaterjach i załamaniach sali głównej dałoby się odczytać cały genetyczny rozwój tej instytucji: wyłoniła się bowiem ze skromnej mleczarni, pomału dopiero rozpierając się na sąsiednie sklepy, mieszkanko w głębi i piętro. Skromne początki znać było po wiszących tu i owdzie między złoceniami „landszaftach“ i, zupełnie

już bez sensu tkwiących w ścianie, trofeach myśliwskich, rekwizytach, nieodłącznych od każdej szczerze warszawskiej cukierni. Widok landszaftów rozrzewnił Stefana znowu: „prześliczne“, znane od dziecka widoki „jezior szwajcarskich“, chłopiec neapolitański, płasający przed dziewczątkami tyrolczyk z piórkiem, „Unja Lubelska“ i „Powrót z kościoła“ Chelmońskiego. Ba! ba! A jeszcze ten w nosie świdrujący zapach paczków!...

Naprzeciw drzwi, tak aby przeszkadzać każdemu wchodzącemu, w ciasnej a wysokiej szafie, jak w konfesjonale, królowała nad całą salą pulchna blondyna w wieku niebezpiecznym. Właścicielka, czy kasjerka. Obrzuciwszy Stefana pełnym uznania wzrokiem, wskazała go brudnemu kelnerowi. Jakoż, mimo południa, w sali panował tłok, gwar i zamęt. Przechodząc się między stolikami, Stefan przemysłował ze zdumieniem, że przecież w Europie, o tej porze, ludzie pracują jednak. Uspokoila go zresztą zaraz ogromna przewaga w tym tłumie pań i szykownej młodzieży, która nie pracuje nigdzie na świecie. Zrzuciwszy komuś kapelusz z krzesła i nadepnąwszy na futro damie, siadł wreszcie i, w oczekiwaniu kawy,



rozwinął kupioną z rana gazetę. Nie czytał jednak. Rozmyślając nad niedawnym zajęciem, domyślał się w niem jednej z przyczyn braku entuzjazmu dla narodowej armji. „Uciążliwa bo musi być, szczególnie w stadjum organizacji. Nieład pewno, nieporządek...” — szukał z poza pisma oficerów w tym tłumie. Jakoż było kilku. Nic niepodobnych do wspaniałego adjutanta od ułanów z rannego pochodu. Szarych, raczej, jakichś cywilnych i nieszykownych. Starszych już poważnie. „Za grosz sznytu” — myślał ze smętkiem — „za grosz postawy... Ba! zbierająca z trzech armij i z cywila; i to po wojnie i w nędzy... Co tu gadać! Zczasem się wyrobi!”

Czasu tych poszukiwań w tłumie natknął się nagle na parę czarnych oczu, wpatrzonych w niego uporczywie i z pewnym przestraczem. Przyjrząwszy się im bliżej, aż skoczył na krzesło. „Tam do diabła! Toć Ola Kowalska!” A ona zarumieniła się na czerwono, gwałtownie, bez żadnego sensu. Dała zresztą znać ręką, aby podszedł. Ale on i tak już wstawał wśród wściekłych spojrzeń i mrużenia sąsiadów. Dama z konfesjonału przyglądała

się tej peregrynacji z niepokojem i dezaprobatą. Kelner, idący z kawą, spojrział dziko. A Stefan całował już podaną rączkę długo i serdecznie, mimo ponurej znągła miny towarzyszącego pani Oli młodziana. Całował tak natarczywie, aż zarumieniła się znowu.

— Jak się masz, Ola! Bój się Boga, dziewczyno, tyle lat!... Jakże się cieszę...

Jęli mówić śpiesznie i bez związku o ciotce Kowalskiej, o Lauzannie, o jakichś balach... Ledwie zdążyła go przedstawić srogiemu już teraz młodzianowi. Osoba z konfesjonału spoglądała na Stefana z wyrzutem. A oni gadali, gadali...

Chmurny młodzian pożegnał się naraz z pasją i wyszedł. Konfesjonał odwrócił się ostentacyjnie.

Oni zaś, sami już, przestali mówić, jak na komendę. Przyglądali się sobie nieufnie. „Usta karminuje” — myślał — „ale ładna zawsze, jak cukierek...”

Nagle spojrzała mu w oczy głęboko, ze strachem.

— I cóż teraz będzie, Stef?

Aż serce w nim skoczyło na ten zalekniiony głos i dawną pieścziotliwą nazwę. Patrząc



w śliczne oczy roziskrzonym wzrokiem, rzekł krótko i brutalnie:

— Jakto co? Przyjdiesz dziś do mnie jak dawniej. Mieszkam w Saskim.

Spuściła pobladłą naraz twarz.

— Jak dawniej?

— Jak dawniej.

— Nie, Stef. Nie przyjdę.

— Musisz.

— Wysłałam zamąż, Stef. Jestem mężatką.

O mało nie powiedział: „No to co?“, ale się ugryził w porę. Pamiętał, że go się bała zawsze. Ujął jej rękę w swoją i mówił z niezachwianą pewnością:

— Musisz przyjść. Wiem, że przyjdiesz. Opowiesz mi wszystko. Czekam o piątej.

Nagle wyrwała mu dłoń, rzucając z gniewem prosto w twarz:

— Nie. Nie przyjdę. Żebyś wiedział, że nie przyjdę. Nie muszę. Ani jednego listu, tyle lat. Nie przyjdę za nic...

Była u niego tegoż jeszcze popołudnia.

III.

WŁADZE KAMIENICZNE.

Sprawa z owym Wahl von Wallenbergiem poszła głódziej nawet, niż Stefan przypuszczał.

Nazajutrz z rana, gdy przeciągał się jeszcze na wspomnienie wczorajszego wieczoru, stanął w pokoju Józef, wachmistrz i służący, meldując uroczyście, że „wszystko gotowe, panie rotmistrzu“.

— Niby jak gotowe?

— Ano, porucznik zabrał się nam z kwatery. Zdobrowoli. Samym już wieczorem.

— Jakto? Wyniół się? Sam?

— A sam. Powiedział, że innego przyśle. Nie zabrali też naszego nic. Ten jego żołnierz coś tam kręcił, alem go zaraz do rozumu przywiódł. Głupi. Wiadomo, piechota, panie rotmistrzu. A kwaterę mamy teraz ładną...

Zaraz też przenieśli się do siebie. Józef



raz jeszcze obejrzał cały nieład i wszystkie uszkodzenia, a kiwał przytem głową z obrzydzeniem; potem zaś z wezwanym froterem wziął się do roboty z milczącą żarliwością...

Chłopisko było naschwał, na radość oczom. Wzrostu ponad średnią miarę, tak przecie rozrośnięty w gnatach, że raczej krępy się wydawał. Kawalerzysta szczery. W wojsku dziewiąty chyba rok, bo go wprost z pułkiem, gdzie odslugiwał, na wielką wojnę pognali. Zresztą gospodarski syn z pod Włoszczowy.

Od samego początku służyli ze Stefanem w tym samym pułku huzarów, w tym samym szwadronie. Zwiedzili razem Prusy Wschodnie, później Małopolskę, poznali życie w okopach białoruskich, brali udział w Brusilowskiej ofensywie. Przystali do siebie w tych czasach nierozłącznie. Jeszcze jako kornet, z nudów, gdzieś w garnizonie, pisywał mu Stefan listy do domu, potem samego pisać nauczył po polsku i po rosyjsku. Gazety mu dawał, a, zdarzało się, że przegwarzyli wieczorem z godzinkę, jako rodacy... Chłopczyśko było inteligentne i solidne niezwykle. Nie zapominał się nigdy. Oparcie też miał Stefan

przez niego w całym szwadronie i wygodę okrutną. On mu dobierał kwatery i ordynansów, czasu walk pamiętał o nim każdej chwili.

Pokochali się szczególniej już za bolszewizmu. I rotmistrz i wachmistrz mieli do tego zjawiska w wojsku stosunek jednakowy: wzruszenie ramion i pogardę. Tylko, że wachmistrz niczego nie był ciekaw i niecierpliwił się bardzo. Pluł przez zęby i gwizdał, milcząc zresztą. Co parę dni tylko zjawiał się u Stefana i pytał, prężąc się słuźbiście:

— Jedziem, panie rotmistrzu, wedle rozkazu?

— Czekaj, stary. Czas jeszcze. Ciekawe, jak się skończy...

— Wedle rozkazu. Tylko ośmielę się donieść, że ciekawego mało. Samo świństwo. Zarzną kiedy i tyle.

— Boisz się?

Józef uśmiechał się szeroko.

— Nie o siebie stoję. Pan rotmistrz wie.

Stefan wiedział o tem doskonale. Na pierwszą też wieść o polskich formacjach, wybrali się do Sorok z tem, co dało się zebrać z polaków.



— Jedziemy, wachmistrzu. Do nas, do Polski.

Wachmistrzowi ostrogi brzęknęły, jak w tańcu.

— Rozkaz, panie rotmistrzu.

Nie do Polski jednak trafili, tylko poprzez kaniowską bitwę aż do Odesy, znowu pod bolszewików. Ciężkie to były czasy. Tu wyszło najaw całe przywiązanie i cała Józefowa chłopska zaradność. Własnoręcznie Stefana za proletariusza przebrał i wymustrował, wszędzie za dwu osobiście stawał w najstarszej szynelinie żołdackiej, nic w gębie, prócz czerwieni i klątw na „paniw“ nie znając... Do jakiegoś nawet urzędu bolszewickiego przystał i Stefana wciągnął, aby jakos sytuację ulegalizować... Zbolszewiczał na nic.

Aż przyszły nacje do Odesy i wraz i jakieś Żeligowskiego resztki. Józef zginął wtedy coś na dwa dni w mieście. Ponoć z białą gwardją swych czerwonych kumów szukał, aby własnymi systemami drabów do białości przyzwyczać. Gdy wrócił po dwu dniach, nawet i pieniędzy przyniósł z sobą sporo. Mówiono w pułku ze śmiechem, że od znajomych żydków w te dwa dni pożyczył.

Przed Stefanem stanął i raportował:  
— Melduję posłusznie, panie rotmistrzu. Jestem.

Teraz naprawdę wrócili już do Polski, acz nie zaraz. Już od samej granicznej stacji objaśniał go Stefan dokładnie, jakby tu najbliższej do Włoszczowej się dostać. Dość niechętna odpowiedź brzmiała krótko:

— Jak pana rotmistrza urządzę, to o pozwolenie jazdy poproszę...

Pozostało tylko wrzucić na to ramionami.

Ale i ten brylant nie był bez skazy. Kawalerzysta, a i z gwardji jeszcze, innemi rodzajami broni gardził, oficerów nawet pocichu lekceważąc. Znać to było już w samym dźwięku głosu, gdy nazajutrz z rana po przeprowadzce meldował Stefanowi:

— Przyszedł, panie rotmistrzu, ten oficer na kwaterę... Z piechoty.

— Dać go.

Wszedł młody człowiek w czyściutkim mundurze, wysoki i przystojny, o semickich rysach. Chodził trochę jak na sprężynach.

— Mam zaszczyt... porucznik Ligęza-Goldstein. Dla krótkości — Ligęza. Mówił



porucznik von Wallenberg, że jakieś nieporozumienie... A mnie właśnie idzie też o zmianę mieszkania, bo stanąłem u żydów, a pan rotmistrz rozumie...

Stefan urwał te zwierzenia w samym zaczątku:

— Nakaz pan ma?

— Będę miał dziś.

— Dobrze. A z panem Wallenbergiem nieporozumień żadnych nie miałem, tylko usunąłem go poprostu, bo zachowywał się jak barbarzyńca.

Rysy pana Ligęzy wyraziły głęboką przykrość.

— Von Wallenberg? Jak barbarzyńca? Człowiek z tak świetnej rodziny...

Stefan przyjrzał się porucznikowi z uwagą.

— Więc jak pan będzie miał nakaz, panie Goldstein...

— Ligęza — poprawił skromnie porucznik.

— ...Panie Goldstein-Ligęza, to wachmistrz Kuruś, który tu pana sprowadzi, wskaże panu pokój i urządzi go wedle pańskich życzeń. Choćby dziś. Ordynansa pan ma?

— Wszystkim odbierają ordynansów —

zaperzył się Ligęza nagle. — Nawet kawalerji...

— Więc nie? To usługę dla siebie musi pan znaleźć gdzieś w kamienicy. Wachmistrz Kuruś usługiwać panu nie będzie. To chyba wszystko. Mam nadzieję zresztą, że będziemy z siebie zadowoleni...

— Pewien jestem, panie rotmistrzu.

Patrząc na sprężysty, niesłuchanie wojskowy krok pana Ligęzy, Stefan ledwie nie parsknął śmiechem. Młodzian ten dodał mu humoru na dzień cały. Zaraz też zeszedł na podwórze, aby udać się do rządcy, gdzie nie spodziewał się nic prócz przykrości.

Stróż Wojciech uklonił mu się w bramie nisko i ze znacznym zakłopotaniem. Wstyd mu było, widać, własnych romantycznych historyj. Siwiał bo już, przygięty był jakiś i koszlawy.

Drzwi z napisem: „Portjer“ stały otworem. Z ciemnej komórki wiało chłodem i pustką.

— Wyrzuciliście dziada? Przecie był chory.

— A niech zdycha! — mruknął z nienawiścią. — Dla innych trza miejsca...



Zaraz też dodał pośpiesznie.

— A to, proszę pana administratora, *powiestka* przysła z cyrkułu... z komisariatu niby. Do pana Tylickiego. Ino co on nie pójdzie. Już od miesiąca nie chodzi. I kary nakładali i z milicji przyłazili... Nie chodzi i tyle.

Z frontowych drzwi wyszedł właśnie wysoki elegancki pan z teką pod pachą. Rozłożysta blond broda pięknie odbijała od zaróżowionej lekko cery. Oblicze było pełne powagi i niezachwianej, murowanej wprost pewności siebie. Głowę nosił wysoko. Szare, zimne oczy spoglądały przez binokle jakoś z góry na dół, z wybitną impertynencją.

Ujrawszy Stefana ze stróżem, ruszył ku nim krokiem uroczystym, niby łaskę im czyniąc każdym ruchem.

— Pan został nowym administratorem—mówił, nie czekając nawet potwierdzenia, jakby każde jego słowo musiało być bezwzględnie prawdą. — Zwracam uwagę pańską, iż w domu panuje nieład. Pan Rudzki nie spełnia przyjętych kontraktowo zobowiązań. W gabinecie wdała mi się wilgoć, bo dwa lata prawie nie palono; łazienka ciągle mi się psuje, woda nie dochodzi do mnie prawie...

— W całym mieście nie dochodzi na czwarte...

— Tego nie wiem — uciął sucho. — Do mnie powinna dochodzić. To już rzecz pańska, za to panu płacą...

— Ech, panie!—przerwał Stefan niecierpliwie.

Wspaniały pan nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Jakby nie słyszał wcale.

— Proszę przyjść obejrzyć to wszystko. Tylko nie w godzinach, kiedy pracuję, bo mi to przeszkadza. Kiedy zaczniecie palić w kaloryferach?

Krew w Stefanie jęła się rozgrzewać.

— Jak lokatorzy zaczną więcej płacić — odburknął prawie.

Tamten nie obraził się wcale. Znowu jakby nie słyszał. Mówił ciągle tym samym tonem murowanej pewności.

— Płacimy ile wymaga ustawa. Prawo musi być szanowane. Ledwie osiągnęliśmy niezależność, zaczynamy od łamania zobowiązań. To jest zła droga. Każdy powinien spełniać swój obowiązek sumiennie. Ja muszę mieć w mieszkaniu porządek.

Odszedł, ledwie dotknąwszy palcami ka-



pelusza. Stefan nie odklonił się wcale. Stróż zaklął zcicha pod nosem.

— Cholera, nie lekator, panie administratorze... Majewski, mecenas z czwartego. Z całym frontem niema tego kłopotu, co z nim jednym. Piła drewniana — jedno słowo. A po komorne to trza po cztery razy na górę walić... Ech, ludzie!

Idąc już przez podwórze za Stefanem, korszawiec nie przerywał gderania ani przez chwilę.

— A choćby i ten nowy rządca. Trzech nie zliczy, panie administratorze. Miesiąc siedzi, a jak raz na podwórze zeszedł, tośma się tylko naśmieli. Tyle, co ta panna Wanda zrobi, córka niby.

Mieszkanko rządcy w oficynie najwyraźniej było przepelnione. Tupoty dziecięce i głośne rozmowy damskie o śpiewnym akcencie słyhać było już na schodach. Drzwi otwarło odrazu troje dzieci, kłócąc się o ten zaszczyt. Ze wszystkich ubikacyj naraz jęły wyglądać coraz to inne, przeważnie kobiece i zwykle nieuczesane głowy. Cofały się zaraz z szeptami i śmiechem. Zaczęto wzywać kogoś krzykiem gromadnym, a tak hałaśliwym,

jakby mieszkanie miało nie trzy pokoje, a z dziesięć co najmniej.

— Tatusiu! Wujciu! Józieczku!

Tuż obok, z mizernej kuchenki, wyszedł na te wrzaski starszawy jegomość w stroju z waszecia, dziwnie nielicującym ze szlachetną, choć wymizerowaną twarzą.

— A, pan Makomaski! — witał ze swobodą, jak na wizycie. — Bardzo, bardzo się cieszę. Znałem kiedyś Makomaskich w młodości. Z Sandomierskiego. O, może pan tu pozwoli...

Pozwolić nie było łatwo. Uprzejmie i szeroko otwarte drzwi odsłoniły rozebrane posćiele i dwie czeszące się przed weneckim lustrem damy. Rozległ się srogi pisk.

— Przepraszam, przepraszam! — mruczał starszy pan ze zgrozą.

Po długich pertraktacjach, podczas których Stefan tkwił w kącie sionki z nosem w ścianie, nocleg zwinięto ku powszechnej uldze.

— Ciasnota, okropna ciasnota! — mówił rządca z westchnieniem. — Siedem osób w trzech pokoikach! *Tych* mebli *samych* niema już gdzie stawiać. Niech pan tylko raczy spojrzeć.



Istotnie, pokój był przepchany ślicznymi antykami z różnych czasów, z przewagą *empire'u*. Wspaniałe mahonie, szafeczki z różanego drzewa, inkrustowane stoły i stoliczki, klęczniki, karły, świeczniki, porcelanowe cacka i kryształ, serwantki, pełne wykwintnych drobiazgów, dywany, kilimy... Ani śladu wolnego miejsca. Nagromadzenie tych wszystkich pieścidełek robiło wrażenie wprost przykre; zdało się, iż owe mebelki, jak żywe stworzenia, konają, dusząc się, z braku powietrza i światła.

— To wszystko siostry, Szwejkowskiej. Mądra. Odrazu po wejściu Niemców wszystko do Kowla przewiozła. Już nie wierzyła...

Westchnął nad własną, widać, stratą. Stefan wtrącił tonem możliwie urzędowym:

— Jako administrator tego domu...

Starszy pan przerwał odrazu, idąc za własną myślą.

— My, panie, z Wołynia wszyscy. Zrabowały nas chłopcy docna. Bóg czuwał, że nie zabili. Dzieci wyprawilem do miasteczka, sam siedzę. Do końca. Bibliotekę, widzi pan, miałem historyczną — wszystko, co się naszego powiatu tyczy. Białe kruki, panie, dokumenty

od króla Stefana. Całe życie zbierałem. Wszystkie strychy zryłem, panie, po miastach; w Kijowie, w Piotrogradzie woźnych kupowałem prawie... Przed śmiercią chciałem w Krakowie złożyć, w akademji, że niby życie na marne nie poszło i że zawsze dar dla ojczyzny od Dorożyńskich... Nie dało się. Już wiedziałem, że przyjdą lada dzień, lada noc. Tom po wsi chodził, błagałem, panie, żeby uszanowali. Śmieli się, jak z głupiego. *Sami, pane, spasajtes, poka szczo...* No i przyszli. Nie zrobili mi nic. Wóz zaprzęgli w najgorszego konia, słomy położyli nawet: „Jedź!” Ty, że w pośpiechu przygarść królewskich dokumentów z pieczęciami zabrał, a już moje książki przez okna, panie, w śnieg, na dziedziniec... Rządca, Pietraszkiewicz, na folwaruku się ukrył; znaleźli, zakopali żywcem... Tak, panie...

Stefan słuchał tej opowieści z niechęcią. Nie wzruszyła go nic a nic. Sam na Podolu z patrolem ledwie kiedyś przed chłopami uciekł, a sprawozdań z gwałtów, mordów i grabieży miał pełne uszy po dziś dzień. Wynioskował natomiast, że po starym zbiera-



czu niewiele mógł się roboty spodziewać. Zaczął znowu z miną chłodną i urzędową:

— Jako administrator tego domu, przyszedłem poznać pana i omówić sprawy co najpilniejsze. Słyszę, że książki po poprzedniku jeszcze w nieporządku...

Starszy pan niemile, widać, dotknięty, zerwał się pośpiesznie i jał przesuwać wśród meblowego chaosu ku damskiemu biurczku, przy którym snadniej listy miłosne pisać, niż meldunki prowadzićby się dało.

— Książki, a jakże, są. Pod kluczem. Pan Tylicki obiecał być, nauczyć, instrukcyj udzielić, ale jakoś mu schodzi. Zaczny człowiek. Sam to rządcostwo i mieszkanie nam ofiarował, bośmy się w jednym pokoju gnieździli. Jego żona daleka kuzynka, dziesiąta woda po kieleciu... Dobrodziejstwo nam prawdziwe zrobił.

Książki okazały się istotnie z pod klucza, nieruszone. Stefan nachmurzył się posepnie.

— Dotychczas nic nie zrobione. Przez cały miesiąc. Tak dalej być nie może. Jeśli pan nie chce stracić tego mieszkania...

Panu Dorożyńskiemu aż ręce jęły się trząść z zakłopotania. Stefanowa brutalność

zdawała się go zawstydząć raczej, niż przerażać.

— Cóż, kiedy pan Tylicki nie przyszedł pokazać...

— To nie tłumaczenie. Trzeba było od rządcy sąsiedniego domu się nauczyć. Zresztą pańska to rzecz. Fachowych rządców nie brak. W ciągu tygodnia musi być wszystko w porządku, inaczej proszę się obejrzeć za mieszkaniem.

Starszy pan uśmiechnął się dość pokornie, ale z zupełną niewiarą.

— Przecie pan tego nie robi. Wyrzucić? Na bruk? To nie może być. Zresztą ja się postaram...

Stefan wyszedł, wruszając ramionami. Był zły i oburzony. Cóż ci kresowcy u Boga Ojca?! Taki jeden z drugim myśli sobie, że jak uciekł, nic nawet uratować nie potrafiwszy, to wszyscy już tu na niego czekają z otwartymi ramiony? Że tu, w tej ubożuchnej Polsce, papu dadzą, ciepło nakryją, pracować nie pozwolą... Poszaleli! Zdawałoby się, że tam u nich na Ukrainie czy Podolu, nie ludzie żyli, lecz anioły, nie na ziemi, lecz w raju. Na obcego liczą, jak na Zawiszę. „Niedołegi“, myślał



z gniewem, „wyrzucę“... I tem bardziej był gniewny, iż czuł, że nie wyrzuci, że w stosunku do tego niedojdy, do tych panień, do dzieci, nie potrafi zdobyć się na energję...

Nachmurzony, natknął się na dole na cierpliwie czekającego Wojciecha.

— Czegóż tu sterczycie? Roboty mało? Podwórze od kiedy nie zamiatane?

Stróż rozejrzał się po uśmieconym bruku dość obojętnie.

— Myślałem ano, co pan administrator do cyrkułu, tobym się zabrał. Są sprawy. A sam iść już się bojam.

Gdy wkraczali w bramę, z sieni schodziła właśnie po kilku stopniach jakaś niewielka osóbka w granatowym kostjumie. Uwaga jej, skierowana ku maleńkim lakierkom, oddawała oczom Stefana tylko prześliczny nosek, słodki nad wszystko owal twarzyczki i puszyste blond włosy nad czołem. Była najpierwszej młodości.

Stanąwszy na równym gruncie, uniosła energicznie głowę, obrzucając Stefana ciekawem wejrzeniem. Zdumiał się wówczas tej urodzie. Z pod sobolich łuków brwi i przy ciężkich powiek patrzyły na niego oczy wiel-

kie i jasne, przesadnie wprost wielkie i przednio jasne, oczy, co zdawały się być same całą tą twarzą i całą tą osobą. Stefan uczuł je jak uderzenie. I zaraz chlusnęła mu w twarz fala krwi tak gwałtowna, iż, wściekły, usunął się nieco w cień, ze wstydem.

A i ona spuściła powieki. Długie rzęsy opadły, zdało się, do pół policzków, delikatnych jak u dziecka.

Gdy uniosła ich znowu, wzrok Stefana spoczął na niej chłodny już i raczej niechętny. Na wcale niski ukłon stróża odpowiedziała lekkiem skinieniem i uśmiechem tak promiennym, że Stefan, nie wiedząc dlaczego, wziął go dla siebie i nasrożył się teraz.

— Kokietka — myślał, patrząc, jak skrecała z bramy w ulicę.

Ruszyli za nią ze stróżem.

— Cóż to za panna? — pytał Stefan nie dbale.

— Nie panna, nie. Tak ino wygląda, bo i młodziak. W dziewiętnastu może rokach wyszła. Za pana Podhoreckiego.

Stefan patrzył na idącą z coraz większą niechęcią.

— U nas mieszkają?



— Nie. Ino do ojca przychodzi, na pierwsze od frontu. Do pana Knedla.

„Tam, do diabła!“ — mruknął Stefan z podziwem dla nazwiska.

A już stróż rozwodził się z głębokim szacunkiem.

— Bogaty pan, pan Knedl. Z miemców. Cegielnie ma i tartaki. Bogaty. Konia i auto w remizie trzyma. Samego wina na weselisko pięciu chłopu kosztami dzwigało. A tych karetów, tych autów... Siofery popiły się na nic. A i panowie...

Stefan już nie słuchał. Zajął go nagła myśl: odwróci się, czy się nie odwróci? Odwróci się, czy nie? Nie miał żadnych podstaw do tego żądania, czuł przecież, że struje mu cały dzień, jeśli się nie odwróci. „Odwróćże się“ — nakazywał prawie w duchu.

Odwróciła się. Pół-głową tylko, niby za jakąś panią, ale już przecie wiedział, że za nim.

— Kokietka! — powtórzył sobie ze szczerem oburzeniem. Nie spojrział już za nią ani razu.

Doszli do komisariatu.

Mieścił się w tym samym budynku, co i za

rosyjskich czasów, a i brudny był jak dawniej. Młodzi zato, a dość przystojnie odziani policjanci, robili miłe wrażenie. Grzeczni byli i uprzejmi nad podziw. Dopiero siedzący w ogólnej sali, poza balaskami, ponurzy ichmoście, w straszliwie wyświechtanych strojach cywilnych, przypominali dawne dobre czasy zgorzkniałą opryskliwością. Pozostawiwszy Wojciecha w gromkiem ujadaniu z jakimś wągrowatym pisarkiem, Stefan zameldował się, jako administrator domu, u samego komisarza.

Ledwie przekroczył próg sanktuarjum, już z ponad biurka, gdzie tkwiła blond głowa podpisującego coś dygnitarza, rozległa się gniewna basowa fala:

— Ładne się tam u was sprawy dzieją! Do kroćset, panie Tylicki! Wszelka cierpliwość ma granice! Mówilem...

Uniósłszy w tem miejscu gęstej szczeciny z nad papierów, komisarz pozostał tak na chwilę z rozwartą paszczą, lypiąc oczyma z radosnego zdumienia.

— Wszelki duch!—odsapnął wreszcie.— Stefan! Bywaj, chłopie! Skąd?



Stefan ścisnął podaną prawicę ze śmiechem.

— Ano, administruję tym domem...

— Ładnie administrujesz! — zaciętrzewił się tamten z przyzwyczajenia, ale urwał zaraz. Przyglądał się Stefanowi z rozrzewnieniem.

— Bój się Boga, chłopie, tyle lat! Od samego Darmsztatu! Cóż u ciebie, Stefek? W wojsku?

Sadzał go uroczyście, to znów podnosił, aby jeszcze dłoń uścisnąć, a papierosa tknął weń za papierosem. Wysłuchawszy skróconych dziejów kolegi, poprawił się na fotelu z godnością i chrząknął.

— Hm, hm... Dziwisz się, żem w policji, co?

— Czemuż się mam dziwić?

— Toś mądry. Bo policja, uważasz — wielka rzecz! Zaraz ci powiem, jak było... Ledwie skończył, pojechał do wuja Wołskiego pod Samarę budować mosty dla pana starosty. Na Wołdze. Pies, mówię ci, nie grunt! Jakieś paskudztwo, ruchome piachy, ziemia ci się pod kesonem rozchodzi, jak masło. Wszystko zresztą jedno. I tak nie zbud-

waliśmy nic, bo wojna. I zaraz z ułanami nad Mazurskie. Brr! wykosili nas jak trawkę w czerwcu. Rana, szpital, obóz jeńców. Cztery lata, chłopie! Pamiętasz fraulein Line z Freistrass? Jedyna pociecha przez cały czas. Paczki przysyłała, siebie przywoziła... Dziewczyzna zacna jak złotko! Ale i tak uciekłem w 17-ym roku. Złapały szwaby-szelmy, mimo 5-go listopada siedziałem w Moabicie ze 4 miesiące. Aż pokój wreszcie, rewolucja w Niemczech, no! Jakem znowu uciekł, tom się nie oparł aż w Warszawie.

O takiej, mówię ci, radości w sercu pojęcia nie masz. Zaraz rozbroiłem na Próżnej jakiegoś zacnego szwabinę, rewolwer *parabellum*, pierwsza klasa, naboje, hulaj dusza! Ratusz zdobywam z *wehrmacht*, komendę towarowego dworca mi dali, rządziłem się jak szara gęś... Już mi na kolei jakieś warsztaty proponowali, bo ludzi było brak... A tu na piąty może dzień, idę sobie wieczorem Królewską do domu, słyszę — wali samochód ciężarowy. Całą parą wali, jak na wesele. Oho, *wehrmacht* się popił — myślę sobie. Zdarzył się ze mną jakiś żołnierz z dworca. Na ulicy ciemniusieńko. Wlazłem pod jedną la-



tarnię—patrzę. Jaki tam *wehrmacht!* Na wozie kupa żydziaków, nie-żydziaków, sztandar czerwony, ogromny, prą, aż ulica trzeszczy. Ledwie nas zobaczyli, jak nie wrzasną: „Precz z wojskiem! Precz z Polską! Niech żyje Lenin!“ Ledwie nie pochrypli. Uważasz ty? „Precz z Polską!“ Co?!

Ustawił na kolebę niebieskie gały z furją ogromną i aż zadyszał się na samo wspomnienie. A i Stefan nachmurzył się ostro.

— Uważam! — mruknął.

— Ledwie mnie krew nie zalała na miejscu. Krzyczę do żołnierzyka: „Wal, bracie, wal, jak w cymbał!“ A sam „gruch! gruch!“ Odrazu. I on wygarnął z kilka razy. Potem w pierwszą bramę, w cień — i znowu: „gruch! gruch!“ Ale daleko już byli. Ostrzelali kamienicę i przepadli, w Twardą, czy w Graniczną! Tom się zgryzł, że pojęcia nie masz. I zaraz na drugi dzień zameldowałem się w milicji. Nie pozwolę! Nie pozwolę, za nic!

Pobębnił palcami po biurku, poczem mówił już spokojniej:

— Bo, widzisz, niechby ryczeli: „Niech żyje komunizm!“ No! Ale „precz z Polską!“

Ledwie powstała po stu latach? Bój-że się Boga!

— E! Co się tam będziesz tłumaczył! — przerwał Stefan pogardliwie. — Od tego więc czasu służysz? I dobrze ci?

Komisarz nadał się znowu setnie.

— Nie mogę się skarżyć — spuścił skromnie powieki. — Stanowisko już mam, roboty do djabła. Chłopców widziałeś?—mówił z dumą.

— Widziałem. Prezencję mają.

— Nietylko prezencję. Tęgie chłopaki. Musztruję ich bez pardonu, a i sam douczam się ciągle — dodał ciszej. — Bo to spraw na głowie bez liku, a rutyny brak. Ale już jakitaki porządek jest. Choćby na sobie sprawdziłeś.

— Ano, właśnie, dlatego przyszedłem. Daj mi jakiego gryziopórka po fajerancie, niech nauczy tych waszych porządków.

— Dam, dam.

Zaraz wyszli do ogólnej sali, komisarz nabuńduczony znowu jak indyk. Ledwie z łaski puścił kolegę przodem przez drzwi.

— Tak trzeba. Jowisza robię, bez tego ani rusz — tłumaczył się cicho ze srogim marszem.

Głośnie przed chwilą sala zamilkła na wi-



dok dygnitarza. Ten i ów z pośród interesantów jął cisnąć się bliżej ku balaskom. Komisarz powstrzymywał ich spojrzeniem zimnem i niedostępnem. Dyżurny przodownik meldował mu coś służbiście, wskazując stojącego w kącie skromnego człeczynę o twarzy czerwonej i nieszczęśliwej.

— Wypuścić! Drobiazgów nie meldować!

Na słowo „wypuścić“ w tłumie interesantów powstał raptowny ruch. To jakaś starsza babina przepychała się namiętnie wśród ciżby. Z za czyichś pleców jeszcze piszczala głosem cienkim i płaczkliwym:

— Panie komisarzu, dopraszam się łaski... Nie wypuszczać. Potrzytać choć z tydzień. Ja jego kobieta. Nie wypuszczać.

— Co takiego?

— Trzeci dzień pije. Potrzytać przez jaki tydzień, to znów na miesiąc spokój. Za ruskich zawsze trzymali. On dobry człowiek, spokojny...

Tu i owdzie poderwały się śmieszki. Komisarz namarszczył się jeszcze groźniej.

— Policja nie szpital. Do lecznicy.

I zajrzawszy starej w kaprawe ślepie, dodał szybko:

— A i sami, matko, pijecie... Co?

Babina wzruszyła chustką pogardliwie:

— Iii... Tę odrobinę...

Gruchnął ogólny śmiech. Nawet policjanci nie mogli wstrzymać wesołości.

Babina zarumieniła się z gniewu jak burak. Przepchawszy się zpowrotem do milczącego męża, włożyła mu kaszkiet na głowę z troskliwością i, ująwszy za rękę, prowadziła jak małe dziecko, piszcząc na całą salę:

— Chodź, Maciuś, chodź!... Sama ci kupię butelczynę za ostatnie marki. Dawniej ruskie insze mieli prawa. Bojali się ich ludzie. Dziś ano Polska, wolność...

— Wyrzucić pijaków! — huknął komisarz.

I zaraz, wezwawszy któregoś z cywilnych jegomościów, przedstawił mu sprawę Stefana w formie krótkiego rozkazu. Jegomość słuchał ze spuszczoneym wzrokiem, nie wiedzieć, aprobując, czy potępiając to zarządzenie. Nie rzekł ani słowa. Przysiągłbyś, że jego żółta twarz, o wargach jak kreseczki, nie zaznała nigdy uśmiechu. Odzienie jego miało barwę zdumiewającą: już nie było bronzowe, a jeszcze nie było czarne. Skłonił się bardzo nisko.



— A daj mu tam co — szepnął komisarz Stefanowi. — Nędza. Dawniej brał po dziesięć kopiejek od klientów. I to się urwało.

Zeszedłszy na dół, Stefan zobaczył w bramie grupkę policjantów, spoglądających ciekawie na podwórko. Przystanął. Przed długim, wojskowo wyprostowanym szeregiem „chłopców“ komisarzkich stało dwu cywilnych jegomościów. Jeden z nich, przysadzisty, o szerokiej gębie inteligentnego buldoga, wykonywał co chwila, nie śpiesząc się, szereg szczególnych ruchów, poczem wyrwał kogoś z szeregu i temi samemi ruchami, tylko z piorunującą szybkością, kładł go na ziemi. Drugi cywil tłumaczył każde jego słowo z powagą i nabożeństwem. Leżący na ziemi podrywał się natychmiast, powtarzał za buldogiem wolno wszystkie jego ruchy, poczem brał się do niego ostro — i znowu leżał na ziemi ku radości kolegów. We wszystkich młodych twarzach płonął szczerzy entuzjazm.

— Cóż to za przedstawienie? — spytał Stefan.

Rozradowane lica zwróciły się do niego ze śmiechem.

— Instruktor przysłał z Anglii. Uczy.

czasu do czasu któraś z nacyj zadawała co do Polski pytania tak naiwne, iż widać było, że gentlemani ci co dnia oczekują przecież, że z rogu Hożej na Marszałkowską wyskoczy biały niedźwiedź, a nad ratuszem zalśni zorzą polarna. Z ożywionej pogawędki z sąsiadem francuzem Stefan przekonał się rychło, że i ten nie rozumie nic z tego, na co od roku przeszło patrzy. „Patrzy jak krowa w płot“ — przemknęło mu z pogardą.

Dopiero tocząca się na naszym wschodzie wojna skupiła na chwilę fachową uwagę towarzystwa. I zaraz, z pod obowiązkowych komplementów dla dzielności naszych wojsk, wyszło jak szydło z worka lekceważenie tych, jak mówili, „utarczek granicznych“. Ktoś wyraził życzenie w toaście, ażebyśmy „prędzej do Moskwy weszli“. Polscy wojskowi dziękowali grzecznie, a z cichą pasją. Stefan był oburzony do gruntu. Cóż u diabła! Anglicy ledwie fajek nie pogubili w odwrocie z Murmanu. A francuzi w Odesie? Wstyd wyrzec. Długo też i dowcipnie, a zębem, opowiadał sąsiadowi o ochotniczej armji Denikina i francuskich pancernikach...

Stefan przeciągnął się, aż łóżko trzasło.



Nie chciało mu się wstawać. Zapaliwszy papierosa, leżał, myśląc o byle czym.

Na piętrze nad nim rozlegały się chichoty i gęsty tupot. Dzieci idą do szkoły. U doktorostwa Jacuńskich. Ona brzydka jak noc, wiecznie rozczochrana, płacziwa, szczególnie teraz. Rozchodzą się od pół roku, obrzydliwie, ze wstydem i lamentem. Zakochał się. A dzieci troje. Ech!

Za łóżkiem, z poza drewnianej ściany, dochodzą jak codzien o tej porze przeraźliwe wrzaski. To ta jędza Strebłowa ujada się z kucharką. O co dziś? O cukier, że drogi. Babsko stare, bezdietne, a bogate jak bank. Tylko w głowie jej się pomyliło od waluty. Marka to dawne pół rubla (pamięta z Nauheimu), no, powiedzmy, trzy złote, bo po dwieście szesnastie, a tu funt cukru osiemdziesiąt marek, to znaczy prawie czterdzieści rubli, a dawniej złoty groszy dwa... Jezus, Marjo! Jezus, Marjo! Ktoś cisnął butem o podłogę. Wściekły, głęboki bas. Mąż. Będzie już, dzięki Bogu, spokój. Grubas jedzie do fabryki. Utrzymuje tę... jakże jej tam, z Małego... Dobrze go kosztuje...

Na schodach łomoty i szuranie. Prawda,

za dwa dni wigilja. Szorują. Ktoś śmieje się wesoło i donośnie. Stróżka pewnie. Wróciła. Kobieta jak rzepa, trudno się stróżowi dziwić. Coprawda i windziarz wrócił, ten sam. Mąż przebaczył i są w najlepszej zgodzie. Takie życie... Windziarz ma się podobno do stróżowny, ale go nie chce. Zdaje się, że i wachmistrz Kuruś do niej cholewki smali. Nawet na pewno. Powinna tu być za chwilę do sprzątania. A może już jest. Ktoś rozmawia w kuchni. Jej głos wyraźnie, ale ten drugi — męski? Czyżby porucznik Goldstein? E, chyba nie... Dotychczas zachowuje się przyzwoicie, istotnie jak człowiek z dobrej rodziny. Można mu nawet tego Ligęzę darować... Ale czyj głos?

W tej chwili Stefan usiadł na łóżku i zapalił nowego papierosa. Poznał i ucieszył się serdecznie. Kuruś, Kuruś wrócił. Ze wsi. Nie sądził nawet, że tak jest doń przywiązany. Zaczne chłopisko. O, jakie to tam w kuchni prześmiechy, huzarskie żarciki! Uszkodzi dziewczynę, uszkodzi na pewno! Gdzie tam windziarzowi do Kurusia! I stróżka przecie ledwie za nim oczu nie pogubi.

— Kuruś!



Coś jeszcze brzękło w kuchni i zaraz rozległy się ciężkie, tłumione przez dywan kroki. Wachmistrz wyprężył się w progu jak struna, ale śmiał się całą gębą, radośnie.

— Jak się macie, Kuruś! Coście tak przedko wrócili?

Kuruś ujął podaną mu rękę zdaleka, z szacunkiem i stanął swobodniej.

— Tak już, panie rotmistrzu. Matka chciała, żebym przez święta został, ale się rozmyślił. Nijako mi już w sześcioro w izbie sypiać. Odwykłem.

Stefan roześmiał się szeroko.

— Patrzcie-no wachmistrza! A jak się w szesnastu na postoju spało, to nic!

Wachmistrz roześmiał się również.

— To na postoju. Sam pan rotmistrz, jako kornet, sypiał. Ale w pułku zawsze swoją kwaterę miałem.

— No, a jakże tam? Ucieszyli się?

— Matka się ucieszyła... Inni też, bo podzielić się beze mnie nie mogli, jak ojciec umarł. A tu siostra zamąż poszła, szwagier chce działów, a i brat też.

— Co też na każdego wypadnie?

— Ano, po cztery morgi, chałupa i doby-

tek na trzy części. Tyle gruntu, że jakby we trzech orać, toby orczykiem o orczyk zaważał.

— I cóżeście uradzili?

— Brat chce działów i spłaty, szwagier gruntu. Jabym na spłatę przystał, ale jakże tu w tych markach brać? Kłócili się, kłócili, ażem swoje bratu w dzierżawę puścił. Umyśliłem, że tak najlepiej.

— Bo i słusznie. A jakże tam na wsi żyją?

— Piaski u nas, panie rotmistrzu. Bieda. Naród ciemny. Czekaają, że pańskie ziemie dzielić będą. Ci, co z Rosji wrócili, żołnierze, naród buntują, a i przy wyborach mówili. Są tacy, coby z kłonicą na dwory szli. Żeby przedko dzielić.

Stefan przymrużył jedno oko i pytał z uśmiechem:

— A wedle wachmistrza, jak? Dzielić?

Kuruś chrząknął, ale patrzył prosto w oczy.

— Dzielić, panie rotmistrzu. Nie te czasy przyszły... Nie może tak być, że jeden w pół dnia swój grunt zorze, a drugi go i w tydzień nie obejdzie. Sprawiedliwość musi być. Choćby i mój brat na tych ośmiu morgach, a dzieci troje...



— Ale mi, widzę, Kuruś zbolszewiczał na tej wsi!

Wachmistrz aż się zachłysnął.

— Pan rotmistrz wie, jaki ze mnie bolszewik. Ale bieda wielka, panie rotmistrzu. Co prawda, to prawda.

— A pamięta Kuruś na Ukrainie te podziały? Dwór z dymem, a potem wieś na wieś z nożami. Nie?

— Pamiętam, panie rotmistrzu. Też prawo musi wyjść takie. I zaraz wojsko rozesłać, żeby sam z dobrowoli nikt nic nie ruszył. Bić i dzielić, panie rotmistrzu.

— No, a ci panowie, co ich tak wachmistrz wyrzuca, co mają z sobą zrobić?

Kuruś spuścił oczy i odparł dość niechętnie:

— Panowie zawsze sobie radę dadzą. Naukę mają. Choćby i pan rotmistrz: majątków nie ma, a jeszcze i ja przy nim żyję.

Stefan spojrział na zegarek i aż skoczył.

— Kuruś, mundur! Gadu, gadu, a i tak dziś nie podzielimy. Chyba, że Kuruś sam, bo ja muszę wyjść. Mundur nowy, buty nowe! Duchem!

— Rozkaz, panie rotmistrzu!

Przy ubieraniu niebardzo był z siebie kontent, że lekkomyślnie wszczął tę rozmowę. Nie wie to, jak się po wsiach dzieje? Mało to fornańskich czworaków w życiu widział? Brud, smród, dzieciaków po ośmioro, bydłatka w izbie. A owe „posylki“, co we żniwa po dwa złote brały za jego dzieciństwa? A komornicy po gospodarskich wsiach? Co tu gadać: wiadomo, że bez reformy rolnej nie pojedzie. Ale przecie jej z Kurusiem nie obmyśli. Od tego sejm. Dość dobrze się kłóca...

Wraz z mundurem Kuruś przyniósł czyjś bilet wizytowy. „Maurycy Hartglas. Bankier“. Aha, lokator. Ten czarny, co ma kantor wymiany na dole i mieszka w trzech pokojach w oficynie. Bankier, hm! Niech mu będzie i bankier.

Kazawszy wprowadzić gościa do gabinetu, jadł śniadanie umyślnie wolno, aby go nauczyć, że przed dziesiątą nie czas na wizyty. Poczeka.

Gość czekał cierpliwie. Bardzo cierpliwie. Wyraźnie miał interes. Przeprosił jeszcze, że przeszkadza. Ubrany był ogromnie solidnie. Mówił wyszukaną polszczyzną i z dyskrecją



w głosie. Skarżył się na zajmowany lokal, na ciasnotę i niewygody.

— Pan rozumie, żona i dwie córeczki w takim mieszkanku... Mowy niema, nie o komforcie już, lecz o najprymitywniejszym życiu. Przed wojną zajmowaliśmy pięć pokoiów. Wojna zmusiła nas do oszczędności. Teraz interesy się poprawiły. Pan sam, mając taki gabinet, zechce wejść w nasze położenie...

— Ciągłe jeszcze nie pojmuję, czembym mógł...

Gość uniósł w górę jeden tylko palec.

— Chwileczkę cierpliwości... Otóż pani Barczewska tu na pierwszym od frontu ma sześć pokoiów. Stołuje i z tego żyje. Mąż umarł, dzieci czworo. Wielka bieda. POCO jej taki lokal? Już jestem z nią w porozumieniu.

Wyczekał momencik, a widząc na twarzy Stefana tylko pytanie, uśmiechnął się po błazliwie.

— Mówiąc poprostu, chcę kupić to mieszkanie od pani Barczewskiej.

— Kupić? Mieszkanie? Od pani Barczewskiej?

Pan Hartglas przyglądał teraz niewielką łysinę czarnemi jak smoła włosami.

— Tak, kupić. Pan jeszcze nie słyszał o tych tranzakcjach? U nas było ich rzeczywiście niewiele dotychczas. Ale tak już robią wszędzie. W Berlinie, w Wiedniu.

— Ale toć chyba tylko pan Rudzki mógłby sprzedać?

— Hm... I tak, i nie. Panu Rudzkiemu wolno sprzedać dom, ale mieszkania mogą sprzedawać tylko lokatorzy. Trzeba jednak uzyskać i zgodę właściciela. O to przychodzi właśnie.

— A co zyskałby na tem pan Rudzki?

— Kwestja umowy. Podwyżka komornego, może nawet dość znaczna...

— A jak się rzecz prawnie przedstawia?

— Wcale się nie przedstawia. Jest delikatna. Pan wie, nad każdą ustawą pracowało dwu, no, trzech urzędników, a nad jej obejściem głowią się miliony ludzi. Kto tu musi wygrać? Przecież nie urzędnicy. I my tu chcemy obejść ustawę. Jestem człowiek szczery, więc mówię w dyskrecji wprost o kupnie lokalu. Ale czy ja ten lokal kupuję? Ja zamieniam tylko swoje mieszkanie na większe pani Barczewskiej, a pan Rudzki się na to zgadza. Cóż prostszego? Kto mi przeszkodzi w zamianie?



To samo mówi mój adwokat, pan Majewski. Z czwartego piętra, pan go musi znać...

Obiecawszy interwencję u Rudzkiego, Stefan pożegnał „bankiera“ dość oschle i zeszedł na podwórze.

Stróż Wojciech przytyrkotał doń zaraz na koszlawych nogach. Od czasu powrotu żony wesół był ciągle i nawet na codzień chodził w nowym kaszkiecie.

Meldował i teraz z rozradowaną miną:

— Strajkować będziem, panie administratorze. Na wiecu wczoraj uchwalili.

Widząc pochmurną nagle twarz Stefana, dodał wesoło:

— Niech się pan administrator nie boi nic. Wszystko będzie jak zawsze. I zamiecione i zrobione. Wicka-szelmę pchnąłem już do lokatorów co lepszych, żeby pięć razy dzwonili. Dla innych panna Wanda kartkę wypisze. Takie tylko udawanie, panie administratorze, nic więcej. Dla *widu* tylko, żeby nie pobili. Szczekać to każdemu łatwo, a drugie miejsce gdzie znaleźć? Gadanie!

— Róbcie, jak chcecie, żeby mi tylko był porządek. Jak tam z kranami?

— Ten mechanik od nas chce po pięćset

od kranu, złodziej. Mówi, że jak nie, to woli wcale nie robić. Taki teraz naród, że nie daj Boże! Każdy tylko miarkuje, jak obedrzeć, a robić to nie. Taki windziarz, nie chce ani Majewskim, ani Knedlom węgla nosić. Mówi, że mu się nie opłaca. Podwyższają, też nie chce. Leży, gałgan, cały dzień na ławce, dziwki zaczepia, papierosy kurzy i nic!

— Innego ślusarza znajdziecie. Po dwieście dam, więcej nie.

Chciał odejść, ale już w samej bramie zatrzymał go Wojciech z nieśmiałością wielką.

— Chciałbym też pana administratora zapytać... Ino śmiałości nie mam.

— Pytajcie.

— Co też to jest ten Kuruś, co u pana służy?

— Wachmistrz Kuruś? Wojskowy. W jednym pułku służyliśmy. Porządny człowiek.

— To to wiem. Tylko taka służba, to przecie nie zajęcie. Mówi, że na wsi gospodarstwo ma.

— Niewiele tam tego. Aie mam już dla niego obiecaną posadę. Na woźnego w państwowym urzędzie.

— Dałby Bóg. Niema to teraz jak woź-



nym. Ja wedle tego, że do mojej Helki się bierze, panie administratorze. A i ona do niego, więc żeby czego nie było...

— Ano pilnujcie. Wasza sprawa.

— Rozumiem, panie administratorze. Tylko że to dziewczucha bez matki...

Była wilgotna odwilż grudniowa. Po drodze na politechnikę widział Stefan w każdym oknie sklepowym oznaki nadchodzącej gwiazdki. Wory orzechów, bakalij, zwały ryb śniętych, stopy cukrów, jabłek, wszędzie ozdoby na choinkę, błyszczące kule, złociste szychy, wytworne drobiazgi i zabawki, zabawki, zabawki! Przed oknem wielkiego magazynu przecisnąć się było trudno wśród natłoczonej dzieciarni. Pod objaśniającym napisem „Zakopane“ widział tam fantastyczne góry i doliny, chaty i kościoły, ślizgawkę i tor saneczkowy, jarmark na konie, wesele góralskie, tańczących krakowiaków, dwóch żydów z pejsami i maszerujące w ordynku wojska. Dziesiątki szeroko otwartych oczu dziecięcych, klaskania, okrzyki, komentarze bez sensu, podziw i zachwyty. Zachwyty niewysłowiony!

Stefan minął bębnow z ciepłem w sercu

uczuciem. I jego ogarnął nastrój świąteczny, rok rocznie odmładzający ponure mury miasta. Znowu widział ojca, jak w przedpokoju odbijał nadesłane przez Rudzkiego paki wśród żartów, a obok własną niewielką figurkę w czarnym aksamitnym ubranku z wytrzeszczonymi oczyma. Serdeczne dla Rudzkiego uczucie i żal zalały mu piersi gorącą falą. Przechodząc przez plac, na którym z dnia na dzień wyrósł wspaniały las z kradzionych choinek, obiecywał sobie, że przecie dziś, dziś właśnie skłoni Rudzkiego ostatecznie do zamieszkania w domu. Nie w tej przeklętej lecznicy.

Za kilka godzin, radośnie prostując przygarbionych nad kreśleniem pleców, wrócił na obiad do domu. Stołował się u pani Barczewskiej dla wygody, choć nie bez pewnego wstępu. Już sama cerata w kwiatki na olbrzymim stole, nigdy przez kołową Janową porządnie nie ścierana, budziła nieznośne dla apetytu refleksje. Czy to ze względu na nieudolność gospodyni, czy niepunktualność gości, wieczny tam panował nieład i wieczne zamieszanie. Ktoś rozlewał zupę na kolana sąsiadki, ktoś biadał głośno nad spaloną piecze-



nią. Energiczniejsi usługiwali sobie sami, powiększając ogólny rozgardjasz. Brudna dziewczynina z przerażoną twarzą biegła do kuchni i zpowrotem, przeważnie bez celu i sensu. Znaczna tusza pani Barczewskiej zawałala bezradnie wszystkie przejścia. Hałas, rwetes, płatanina.

„Towarzystwo“ nie miało ze sobą nic wspólnego, prócz mocno ograniczonych dochodów. Kwiat stanowili dość obdarci kresowcy-uciekierzy. Każdy miał tam ongiś majątek ziemski, lub był co najmniej dyrektorem cukrowni. Arystokracja ta mełła językami krzykliwie i bez przerwy, ale tylko między sobą. Zgromadzona na „wyższym“ krańcu stołu, spoglądała na resztę z dystynkcją i pogardą.

Na resztę składali się urzędnicy państwowi i prywatni płci obojej, nauczycielki, wątpliwi dziennikarze, panusie z dziećmi, jeden znakomity literat, jakiś nieśmiały blond oficerzyna, wpatrzony jak w tęczę w szykowną pannę Marję z aprowizacji. Idąc na swoje miejsce, Stefan zauważył dziś nowe indywidua, parkę: ona, pulchniutka, o przegłupiej i jaskrawo wymalowanej buzi, on, ubrany

starannie, o tępej minie i byczym karku. Starzy bywalcy przyglądali się im bez ceremonji i życzliwości. Panie z obrzydzeniem raczej. Rozmowa ogólna „toczyła się“ jak wóz po polskiej szosie: wśród terkotu, nerwowych podskoków i grzęźnięć. Jak akompanjament brzmiało do kuchni co chwila: „Wołowa — raz!“ i „Dwie zupy — już!“

Rej wodził, oczywiście, referent z ministerjum skarbu, siedzący naprzeciw pięknej panny Marji. Wodził go zawsze. Taki już był. Szykowny i wykształcony, jako bywalec między Tarnowem a Wiedniem. Zawsze chodził w żakiecie i chętnie udzielał informacji co do waluty, zawsze zresztą fałszywych. Mimo to panie mu wierzyły. Był niezwyciężony. Chyba, że panna Marja... No, ale panna Marja! Cała aprowizacja za nią ginie łącznie z ministrem. Wiadomo, pieszczoszka!

Otarłszy wąsika własną chustką i poprawiwszy binokli, do niej tylko zwracał referent skarbową elokwencję.

— Znowu mareczka spadnie, panno Marjo. Mieliśmy dziś wiadomości z Wiednia—ff! Z pierwszej ręki! — zacierał dłonie z radością.—A pamięta pani, mówiłem, żeby korony



stemplować, jak czesi. Teraz co? Warszawista Grabski chciał Galicję zrujnować i żeby nie ekscelencja Biliński...

Sąsiad Stefana, inkasent którejś z prywatnych instytucyj, śledziennik i stały referenta antagonista, mruknął z nienawiścią w talerz:

— Dużo pomogła ta wasza ekscelencja... Tyle że dolar poszedł w górę jak balon.

Skarbowiec spojrzał nań ironicznie, ale mówił ciągle tylko do jednej panny Marji:

— A jeszcze mam nowinę, panno Marjo. I lepszą. Na pierwszego podwójna pensja we wszystkich urzędach.

Inkasent jał sapać z udreką. Zato panienska klasnęła w rączyny jak pensjonarka.

— O, jak mamę kocham! Świetnie, panie Adamie! Bo to karnawał, a pantofelki gdzie, pończoszki gdzie?

Pan Adam, referent,—odchylił filuternie serwety i, patrząc na śliczne nóżki w ażurach i lakierze, stwierdził dowcipnie:

— Pantofelki widzę, pończoszki widzę, chyba że *dessous, dessous*...

Blond oficerzyna poczerwieśniała jak burak. Chuda nauczycielka obok inkasenta skrzywiła się obrzydliwie. A pannę Marję, śliczną pan-

nę Marję, ogarnął wstyd tak okropny, że złożywszy główkę prawie na ceratę, ukazała wszystkim obfite na piersiach wycięcie. Poczem rzekła z wdziękiem i wyrzutem:

— A bo pan taki zawsze...

Wymalowana osoba, świadek tych manewrów raczej życzliwy, odezwała się w przestrzeń, ni stąd, ni zowąd:

— U nas, w Guzie, dziś wypłacili dodatki na gwiazdkę.

Krótkie to wystąpienie wywołało powszechną konsternację. Przyglądano się „nowej“ w milczeniu i z osłupieniem. Bo nikt się przecież do niej nie zwracał. Sądząc z miny chudej nauczycielki, niktby się nawet zwrócić nie chciał. Wyższy koniec stołu aż zamilkł na chwilę; któraś obywatelka z kresów skierowała w tę stronę odwieczne lorgnon w prawdziwej szyldkretowej oprawie... Panna Marja odsunęła się z krzesłem odrobinę. Stary inkasent wrzasnął na całe mieszkanie:

— Janowa, pieczeń!

I znowu nikt nic. Ani słowa. Jegomość o byczym karku chrząknął i poruszył się niespokojnie.

Dopiero pan Adam z wdziękiem ocalił sy-



tuację. Uśmiechnięty pobłaźliwie, przemówił ze zwykłym spokojem i godnością:

— Muszą dać dodatek na gwiazdkę. Bo inaczej któżby dla takich dziadów robił? Przed wojną miałem siedemdziesiąt reńskich i żyłem jak hrabia. Słowo honoru! W Krynicy bywało się co roku, w Zakopanem w najpierwszych pensjonatach...

Panna Marja westchnęła w rozmarzeniu.

— Ach, panie Adamie, Zakopane! Co ja mam stamtąd za wspomnienia!...

Mężczyźni spojrzeli po sobie z uśmiechem. Oficer poczerwieniał znowu. Tylko stary inkasent, który przez trzydzieści lat nie wyjeżdżał z miasta, rzucił kąśliwie, teraz już wprost do referenta:

— A podatki panowie ścignęli?

Pan Adam odparł bokiem ust, z niechętną wzgardą:

— Ścigniemy. Panu się zdaje, że podatki ścignąć, to jakby reszty w kasie wydać. Nie, panie radco.

Na zielonkawą twarz starego wystąpiły krwiste rumieńce.

— Nie jestem radca, bom nie z Galicji, ale panu powiem, że i reszty porządnie byle lalusz

nie wyda. I to wiem, że jakbyśmy w naszym prywatnym interesie przez pół roku długów nie ścigali, to za rok jesteśmy *plajte*. A policji i wojska nie mamy do pomocy.

— Też pan strześli! Dopieroż porównanie: pański prywatny interes a państwo, wiatraczek a Częstochowa.

— Wiatraczek nie wiatraczek, a urzędnik prywatny musi pracować i pracuje. A co do państwa, to panu powiem, że Niemców było za okupacji na owinięcie palca, a i podatki ścignęli i szosy pobudowali.

Chodziło tu już o wyraźną animozję do urzędów wogóle i do małopolan w szczególności. Cały prawie stół słuchał wywodów inkasenta z wyraźną sympatją. Sucha nauczycielka patrzyła nawet na pana Adama trująco. Referent rozgniewał się na dobre.

— Co tam pan gada! Bali się warszawiści Niemców, to i szło!

Ale i stary zaciętrzewił się, jak nigdy.

— W Galicji się ich nie bali... Bo pewnie. A już te pańskie urzędy to ja znam! Muszę się po nich szwendać na własne utrapienie. Co ruszyć, to dygnitarz, koło każdego panienek szwadron, co ładniejsza, to sekretarka,



herbatki, rozmówki, a sprawy stoją, bo i cóż? państwo i tak płaci. Dałbym toto do porządnego interesu, a szefa ostrego, skakaliby jak frygi! Tak, panie!

Pobladły z gniewu referent już, już miał wybuchnąć, gdy panna Marja odezwała się półgłosem:

— Co się pan będzie z *byle kim* kłócił...

Pan Adam wzruszył na to ramionami i istotnie zajął się wystygłą zupą. Inkasent zamilkł również, kontent ze zwycięstwa. Sprawa utknęłaby wśród brzęku łyżek, gdyby nie żądza konwersacji ze strony osoby wymalowanej. W ogólną ciszę wpadło znowu, jak cegła przez otwarte okno, jej spokojne, a nie do rzeczy twierdzenie:

— Co do herbaty, to u nas w Guzie tylko raz dają. I trzeba mieć własny cukier.

Wszyscy znowu spojrzeli na nią ze zdumieniem. A ona wodziła wkoło bezmyślnie oczyma pogodnie i serdecznie.

Sucha nauczycielka poruszyła się nagle, aż krzesło trzasło, i syknęła z pasją do inkasenta:

— Rzeczywiście, co się tam pan będzie z *byle kim* kłócił!

Na owo „*zyle kim*“ padł akcent tak jadowity, że zaniepokoił nawet i „osobę“.

— Jakto z *byle kim*?

Nauczycielka wycięła w przestrzeń sucho i dobitnie:

— Lafirynda.

— Co takiego? Jak pani śmie tak mówić?!

— Mówię: lafirynda. Wycirus.

Osóbka poderwała się jak podcięta.

— Sama pani lafirynda! Sama pani wycirus! Waluś, słyszałeś? No ruszże się! Waluś! Słyszałeś przecie?!

I zaraz w bek. Młodzian o byczym karku mruknął coś w talerz z zawstyżeniem. Nie wstał zresztą. Poderwały się ogólne chichoty.

„Osoba“ zawodziła jak małe dziecko:

— To ja pracuję uczciwie, to ja codzień wstaję na ósmą, a takie stare pannisko, takie suche szczudło... Waluś toć ruszże się przecie! Toć powiedzże tej małpie... Waluś! Uch, nie-dojda!

Śmieli się już wszyscy w głos, bez żenady. Waluś wstał wreszcie, ujął dziewczynę za rękę, spojrzął na towarzystwo zpedelba i rzekł krótko:

— Chodź, Helka.



Wyszli zaraz wśród wesołego rumoru. Już w przedpokoju słyhać było żalodne prośby pani Barczewskiej:

— Niechże się pani uspokoi... Moja pani!

— Noga moja tu nie postanie! Żeby mi taki koczodan, taka wywłoka, taki strach na wróble!...

Wyszedłszy na korytarz, Stefan wpadł prosto w lamenty pani Barczewskiej.

— Panie administratorze! Co ja, samotna wdowa, pocznę z temi ludźmi? Dzień nie minie spokojnie, ani obiad, ani kolacja! Coby im szkodziło, że malowana? Kto się dziś nie maluje? I kucharka się maluje, i stróżka się maluje, i to głupie ciele, Zośka, też brwi podczernia. Co to komu szkodzi? A tu nawet za obiad nie zapłacili... I rano jeszcze przychodzi ten Hartglas z kantoru.

— Ja właśnie w tym interesie do pani.

Samotna wdowa okazała nagłe i silne zainteresowanie.

— Był już u pana? Patrzcie, jak to mu się śpieszy. No i co?

— Nic. Zakomunikuję panu Rudzkiemu i jeśli się zgodzi...

Pani Barczewska zerknęła podejrzliwie.

— A czy kryminału tu jakiego niema?

— Chyba nie.

— Bo i prawda, że dziś nic niewiadomo, co kryminał, a co handel. Wszystko się poplątało. Choćby i te spłaty hipoteczne po dwieście szesnaście... ech, Boże! A pan jak radzi?

— Ja nic nie doradzam. Nie wiem.

— Dziś nikt nic nie wie. Takie czasy. Więc już niech będzie tak, jak pan Rudzki powie. Zawsze był porządnym człowiekiem...

Schodząc ze schodów, natknął się na półpiętrze na panią Podhorecką. Zmieszało go to tak bardzo, że mimowoli złożył jej ukłon wojskowy, choć przedstawiony nie był nigdy. Spadł nań zato uśmiech, jak róża. Wtedy zmieszał się jeszcze bardziej. Panując nad sobą, jał schodzić umyślnie wolno, jakgdyby nigdy nic. Przecież on się nie odwróci. Dość głupstw. I jednocześnie czuł całym jestestwem, że ona wchodzi jeszcze wolniej i że zwrócona jest ku niemu całą twarzą.

Odrzucił się nagle. Rzeczywiście, zderzyli się oczyma znowu. Wówczas skłonił się powtórnie, uśmiechnął i chciał coś powiedzieć... Nie miał pojęcia, co. Ale w tej właśnie chwili rzuciła się naprzód jak szalona.



W drodze do Rudzkiego zły był na siebie setnie. Co znowu za historje! Że te ciągle w bramie i na schodach spotkania były umyślne, czuł to już oddawna. Ba! Znał te sprawy od dobrych sześciu lat na wrywki. Ale zapowiedział sobie przecież, że nie. Dość już miał z tą Olą kłopotów! Brr! Stanowczo dosyć mężatek. Fochy, nerwy, wyrzuty sumienia. Bóg wie co. W dodatku narzuca się mała, wyraźnie się narzuca. Wszystkie godziny zjadała; wie kiedy wychodzi i kiedy wraca, bo, co się ruszyć, jest! A ładna, bestja, och, ładna! Ani sposobu, żeby wyminąć spokojnie: Ignie jak miód do palców. Młodziuchne to, le-dwie się wypierzyło, i taki tupet! Niejeden tam pewno coś uszczknął... Do diabła!

W tym momencie spostrzegł się, iż ową kłatwę wyrzucił choćby i pod nosem, a głośno. Jednocześnie na myśl o „niejednym“ uczuł przykry skurecz serca. Zgniewał się jeszcze mocniej. Bo i co go to wszystko obchodzi? Niech sobie tam. Powiedział sobie, że nie i nie. Stanowczo nie.

Wszedł do księgarni i z irytacją zażądał cudzoziemskich ilustracyj. Przeglądał je ze

zmarszczonemi brwiami długo i bezmyślnie wobec zdziwionego subjekta.

U Rudzkiego, poza białą panną Marją, zastał tylko owego młodzieńca, którego spotkał tu za pierwszej swej bytności. Młodzian był już lepiej odziany i bardziej jeszcze nieśmiało bezczelny. Rudzki wypędził go zresztą natychmiast ze zwykłą szorstkością. W formie jakby niechętnego tłumaczenia dorzucił dla Stefana:

— A ot, dziesiąta woda po kisielu. Wujem tytułuje.

— Często bywa?

— Ciągle nachodzi. Na posyłki go mam, czyta czasem głośno... Możeby mu co i zostawił, ale cóż kiedy dureń. Po sto, po dwieście marek bierze, jak lokaj. Nic z niego nie będzie. Teraz mi się do panny Marji umizga...

Panna Marja uśmiechnęła się obojętnie i wyszła zaraz, wiedząc, że Rudzki nie znosi świadków wobec wychowanka.

Podczas referatu Stefana o Barczewskiej i Hartglasie stary wyga aż ręce zacierał z uciechy. Zapachniały mu interesy. Po chwili namysłu rzucił szyderczą decyzję:

— Cóż... Poradz się adwokata. Trudno



się nie zgodzić, chyba dla pozoru, żeby więcej wziąć. Żyd ma rację: ludzie od praw mądrzejsi. Wysoki sejm mówi jedno, a życie mówi drugie. Barczewskiej powiedz, niech siedem razy odmierzy, nim raz odetnie, bo takiego mieszkania już nie dostanie.

Słuchając tego tęgiego basu, patrząc w pełne żywotności oczy, Stefan konstatawał z radością, że przecież Rudzki przychodzi jednak do siebie. Wydało mu się nawet, że i ów niepokojący kącik warg nie opada już z taką goryczą. Wyluszczył tedy swą nieśmiałą prośbę, aby opiekun przeniósł się wreszcie do swego mieszkania pod jego opiekę. Wspominał o zbędnych kosztach, zostawiał mu nawet białą pannę Marję...

W miarę jak mówił, twarz starego pana jęła się mienić w barwie, prawa dłoń poklepywała niecierpliwie pleś na kolanach. Poczerniał wreszcie jak burak, a oddech wychodził zeń z trudnością i świstem. Stefan urwał w strachu. Wtedy właśnie spadły nań gromy.

— Jeszczem do tego nie doszedł, żeby ciebie o rady czy projekty prosić. Sam wiem, co robię i dlaczego co robię.

Poczem rąbał ciężko, a wolno dla trudno-

ści oddechu, niby jakiś dla własnego użytku wyuczony cytat:

— Starzy i chorzy nie są od tego... żeby świat zapaskudzać i... innym młodość truć. Głupi przywilej. Ja z niego korzystać nie chcę. Na to są właśnie... przytulki i lecznice.

Zamknął oczy i ciągle sapał ciężko. Po długiej chwili milczenia Stefan rzekł krótko:

— Przepraszam pana.

Stary pan podniósł ociężałe powieki i skomenderował:

— Chodź tu. Rękę daj.

Zatrzymawszy dłoń Stefana, mówił już spokojnie:

— Ot co ci, chłopcze, powiem. Zamiast dwa razy na tydzień, przychodź trzy razy. Bo nudno. Choć o tym głupim domu opowiesz. Zawsze życie. A na wigilję jesteś proszony?

— Do ciotki. Ale mogę i odmówić.

Oczy Rudzkiego zabłyśły dawnym ogniem. Aż uniósł się nieco.

— Napisz, że przyjedziesz potem. I tak nudna baba. Wigilję zjesz tu, ze mną. Choinkę panna Marja szykuje, bakalię kup, szampana, co tam jest w sklepach zresztą. Lubie wigilję. Pieniądzy nie żałuj, niech będzie



wszystko najlepsze. Temu tam doktorowi pośliz koszyk wina ode mnie. Z biletem. Załatwisz?

— Załatwię.

Stary pan opadł na poduszki i rzekł, jakby pieczętując całą poprzednią scenę:

— To i dziękuję.

Stefan wyszedł od Rudzkiego z ciężkiem sercem. Widział już, że nic tu nie wskóra. Upór. Rosło w nim podejrzenie, że całą tę irytację podyktowała szalona pycha i miłość do niego właśnie, do Stefana. „Nie chce mi na kark włązić. Traktuje jak dziecko“, myślał z goryczą.

Na ulicach zapadł ciężki mrok grudniowy. Tam i sam ledwo w znacznych od siebie odległościach, tkwiły w nim, jak w wacie, mdławe kręgi świetlne miejskich lamp łukowych. Oszczędność. Gęste przedświąteczne tłumy mijały się po chodnikach w niepewnych blaskach powojennych wystaw sklepowych. Gdzie niegdzie tylko zlewał je w przejściu jaśniepański potok elektryczny największych magazynów. Gromady ludzkie stały przed niemi jak na warcie, z uporem i wytrwałością.

Przed jakąś ubogą papeterją tkwiło z no-

sami w szybach trzech gazeciarzy. Najstarszy, może dziesięcioletni, tykał co chwila w szybę brudnym palcem w stronę pudełka ołowianych żołnierzy. Tłumaczył coś fachowo dwu młodszym, przestępującym co chwila z nogi na nogę na mokrawym ziąbie chodnika. Stefan spojrział. Konnica.

— Ten drugi — mówił starszy — to adjutant.

— Skąd wiesz?

— Bo ma „kselbandy“.

Chwila milczenia.

— To każdy adjutant ma „kselbandy“?

— Każdy.

Znów moment kontemplacji.

— Walek. A czy adjutant to oficer?

Starszy zastanowił się, poczem splunął w bok i rzekł z powagą:

— A tyś myślał, że co? Głupiś, jak cholera.

Stefan trącił starszego w ramię.

— Te, chciałbyś to wojsko? Co?

Chłopak spojrział z pogardą i wzruszył ramionami.

— Dla siebie niby? Cobym nie miał chcieć.

— To czekaj.



Wszedł do sklepu i kupił pudełko. Operacji tej przyglądały się trzy pary oczu za szybą chciwie i nieufnie. Gdy wyszedł, żaden z chłopców nie drgnął nawet. Nie wierzyli.

Dopiero, gdy wyciągnął rękę z paczką do dziesięciolatka, tamten spojrział nań dziko. Siłą prawie wydarł pudełko i — w nogi. Wszyscy trzej pierzchli jak wróble. Bez słowa. Dopiero z rogu ulicy doszedł żaloszny i wściekły głos najmłodszego, co nie mógł za tamtymi zdążyć.

— Walek, daj jednego! Psiakrew, daj jednego! Waluś!

Zdarzenie to poprawiło Stefanowi humor wyśmienicie. Z mniejszym wstrętem myślał już nawet o obowiązkowej wizycie u Oli.

Cóż, kiedy ledwo wszedł we własną bramę... Kto? Pani Podhorecka. Musiał już być naprawdę traf, bo i ona zachnęła się, jak pod ukropem. Skłonił się, na co ledwie zdołano odpowiedzieć. A i on czuł, że przybladł. Ruszył po schodach wolno, bo serce waliło mu głupio i nieznośnie. Na którymś półpiętrze usłyszał za sobą czyjeś lekkie kroki. Może nawet ktoś zawołał „panie“, ale niegłośnie. Aż mu się zimno zrobiło. „Dokądże znowu idzie? Czego

chce?“ Ruszył po dwa schody naprzód, otworzył drzwi z klucza, zamknął je starannie, zdjął palto i usiłował gwizdać pulkową piosenkę. Tylko że wargi drżały mu fatalnie.

W tej chwili usłyszał skradanie się za drzwiami i zaraz potem nieśmiały brzęk dzwonek. Ona. Otworzył. Ona rzeczywiście. Wpuścił ją bez słowa, dziwiąc się, że nie zapalił elektryczności. Dojrzał tylko, że trzęsła się, jak w febrze. Ledwie usłyszał rozdygotane zdanie:

— Przyszłam panu powiedzieć...

Nie czekał ani chwili. Zagarnął ją szorstko w ramiona i, schyliwszy się, całował w same usta brutalnie i zapamiętale. Bez wyrazu i gestu. Pił ją wprost. Wypijał raczej, niż całował. Ani drgnąć mogła w żelaznych rękach.

Przerwał mu dopiero trzask otwieranych drzwi. Kuruś. Puścił. Zatoczyła się do wyjścia jak pijana. Dobiegł go jeszcze żalośliwy szept:

— Co też pan najlepszego...

Potem tylko szybki po schodach tętent.

Zatrzasnął z hukiem drzwi (były otwarte cały czas), obrócił się na pięcie i zaklął z pasją:

— Do diabła z wachmistrzem!

Kuruś zrejterował bez słowa.



V.

PRZEDWIOŚNIE.

Był iście zwarjowany dzień marcowy. Wzdłuż trotuarów leżały jeszcze czarniawe kupy śniegu, a słońce dopiekało jak w czerwcu. Łagodny wietrzyk, słodki jak całus dziecięcy, wesoło podwiewał krótkie sukienki pań i ciężkie poły futer i palt męskich. Wszyscy przechodnie wiedzieli świetnie, że to nie żadna wiosna prawdziwa, tylko zwykłe oszukaństwo, a wszyscy przecież cieszyli się bez sensu. Wróble na jezdni zdały się koziołki wywijając z uciechy. Jakaś zdychająca szkapą doróżkarska uniosła ciężką łepetę i parsknęła głośno ku zdumieniu sąsiadów i właściciela. Kulawy posłaniec na rogu kiwał się we śnie z błogosławionym uśmiechem. Cieszyli się wszyscy.

Ale najwięcej się cieszył Stefan Makomski. Zwyczajnie był oszalały. Kochał się.

Przyznawał się sobie do tego z całym cynizmem. Kochał się jak student. Dobrze — jak student. Kochał się jak osieł. Dobrze — jak osieł. Nic go to nie obchodziło. Jak student, jak osieł — wszystko jedno. Było mu z tem dobrze i najlepiej. Cały świat stał się naraz tak zabawny, dosyć głupi i strasznie przyjemny. Bo i co właściwie jest na świecie mądrego? Praca, obowiązki — zapewne... Robi to człowiek, żeby się nie nudzić, ale to nie jest ważne. Ważne, to jest mieć umówione z pewną osóbką spotkanie, ot, choćby na rogu Twardej i Pańskiej, bo w śródmieściu można na kogoś „wlecieć“. Na tym rogu jest dużo lepiej, niż w Zachęcie, choć i w Zachęcie jest wcale dobrze. Pytluje się wtedy idjotycznie godzinę, albo i dwie, choć rozsądny mężczyzna niebardzoby wiedział, o czym z taką osóbką mówić choćby i pół godziny. Instynkt gatunku... Niechże i instynkt gatunku! Możnaby tak gadać bez sensu i cztery godziny, i dzień, i dwa dni, i miesiąc, może i trzy miesiące... Byle patrzeć w te obrzydliwe oczyska, byle biegać tak po ulicach w pogodę i w niepogodę, w śnieg, deszcz i słońce i wypatrywać wśród



żydów tej tam niewielkiej osóbką, co kiwa już doń głową z radosnym uśmiechem.

— Dzień dobry osobie niemądrej.

Osoba niemądra—to, oczywista, pani Podhorecka.

Podawała mu łapinkę tak małą, że musiał się rozrzewnić.

— O, zaraz niemądrej...

— Bo i co mądrego latać po Twardej o tej porze?

— A pan tu pewnie w interesach?

— Zgadła. W ważnej sprawie. Muszę jej nawymyślać.

— Za co znowu?

— Żem jej nie widział aż dwa dni.

— Mnie się tam czas nie dłużył.

— Żmija. I kłamie.

Pletli tak trzy po trzy, bez składu i ładu, zapuszczając się coraz dalej, aż hen w Grzybowską, Waliców i Karmelicką. Wśród ulicznego rozgwaru byli na świecie samiusieńcy. Nie słyszeli potwornego turkotu jezdni, nie widzieli spojrzeń przechodniów, spojrzeń figlarnych czy ironicznych. Pletli i pletli. Jak małe dzieci. Wypytywali się o chwile, spędzone oddzielnie, ze śledczą dokładnością. Każdy

szczegół, wizyta czy spotkanie, nabierał w ich oczach olbrzymiej wagi, jako ruch wskazówki na manometrze uczuć. Starali się wdrzeć w najtajniejsze pokłady cudzej duszy, swoją jak najwstydliwiej kryjąc. Była to gra ostra i fascynująca. Trafiały się słówka niewinne, wbijające się w serce jak szpilki. Wzruszenie pokrywało się śmiechem. Śmieli się bowiem ciągle. Z baby nad straganem, z żydowskich szyldów, z każdego głupstwa i z siebie samych. Śmiejąc się, wpijali się w siebie wzrokiem olśnionym i chłonnym. Każde zdumiewało się piękności drugiego. Nigdy się dość napatrzeć, niesposób zapamiętać. Szkoda każdego uśmiechu, każdego błysku w oczach, każdego drgnięcia brwi. Gdy zmieszana czemś, spuszczała nagle rzęsy z zawstydzeniem, serce targano się w nim z nagłego szaleństwa. Jak refren powtarzała się na każdej wycieczce niecierpliwa prośba czy żądanie:

— Niech powie... Kiedy przyjdzie? Och, jaka nudna? Kiedy?

Poważniała odrazu. Trzęsła głową prawie ze smutkiem.

— Nie przyjdę.



— Nieprawda. Nic nie wierzę. Dlaczego nie przychodzi?

— Sam pan wie.

— Że mąż?

— I że mąż.

— A jeszcze?

Nie odpowiadała wcale. Wiedział już, że jest uparta i skryta, z charakterem. Przytem od owego pocałunku role zmieniły się najzupełniej. Nie było już mowy o narzucaniu się. Gorzej, bo przez dwa tygodnie nie spotkał jej wcale. Sam musiał jej poszukać, mimo własne oburzenie. Widywali się tylko na owych tajemniczych wyprawach. Codzień lub co dwa dni, jak się dało. Sklepiło się to prawie samo, poprostu: przemówił kiedyś do niej na ulicy, odprowadził i zaraz umówili się na jutro.

Miłości nie wyznawali sobie nigdy, bo i po-co? Toć płonęli do siebie, jak smołowce. Każde spojrzenie, każdy ruch i każdy wyraz był pieśczętą. Nawet wyrzut czy groźba. Należeli do siebie wzajem jak przekrojone jabłko. Widziała to cała ulica Grzybowska i Chłodna i Żelazna. Dojrzała to odrazu i Ola, spotkawszy ich kiedyś na Królewskiej. Niestety! Od tego czasu Stefan niósł krzyż pański z pokorą

i rezygnacją. Słodkie odrętwienie miłości odpłacało mu to stokrotnie. Cóż bowiem wszystko znaczy, wobec tych ust i tych oczu?

A jednak nie była u niego ani razu. Stefan nie nalegał bardzo. Nie nalegał, bo cieszyło go wszystko, jak jest. Miał pewność, że i tak zrobi wszystko, co on zechce. Jakżeż mu mogła umknąć? (Miły Boże, toć porwałby ją i na rękach zaniósł, gdyby chciał.) Przyglądał się jej, jak małej dziewczynce, jak zabaweczce. Niech jej się zdaje, że ma jeszcze własną wolę. Przemiała jest i przerozkoszna. Najwyraźniej ma jakieś zasady co do męża i spenetrowała coś o Oli. Stąd upór. Niech się mała upiera. Niech się bawi. I tak spadnie mu w ręce jak gruszka. Poczekaj. Nie robił żadnych planów na przyszłość i unikał konkretyzacji. Nie mówili nic o jej mężu, ani rodzinie. Mówili o głupstwach. O męża Stefan nie był wcale zazdrosny, nie widział go bowiem na oczy. Jego istnienie w czasie i przestrzeni niecierpliwiło go raczej, niż gniewało. Wogóle był zniechęcony do mężów: zawsze jacyś nieudacni. I ten pewno, bo powiedziała mu kiedyś ze wstydem, iż on, Stefan, jest właśnie taki, jaki prawdziwy mężczyzna być powinien. Stefan



nie śpieszył się dowiedzieć, jaki jest tamten. Starego Knedla widywał na schodach i w bramie: grubas. Wolął ich wszystkich *in abstracto*. Lepiej żeby wszystko szło, jak samo chce. I tak się czasem dowie...

Rozgadani, mijali właśnie jakąś fabrykę o południu. Wśród ostrego wrzasku gwizdawki wysypali się stamtąd robotnicy jak pszczoły z ula. Ulicę wypełnił nagły tupot i gwar. Mijając potok ludzi, narazili się na ciekawość tych gromad. Od młodszych dziewcząt i chłopców, biegły ku nim wydrwinki i śmiechy. Szczególniej wyrostki przerzucali się żarcikami, cuchnącemi o miłę. Przeszedłszy co prędzej na drugą stronę ulicy, rzucili się zpowrotem w Żelazną i Grzybowską. Wśród żydów stanowczo czuli się lepiej: tych, poza swojemi sprawami, nie obchodziło nic zgoła. Ich bezustanny szwargot, niby tłumne bełkotliwe modły o pieniądź, głużyły największe nawet idjotyzy.

— Za karę przyślę jej bukiet, jak koło młyńskie.

— Och, proszę nie przysyłać. Mam przykrości z powodu tych kwiatów.

— Niech sobie ma. Tem bardziej będzie tęsknić.

— I tak tęskni.

— To niech przyjdzie.

— Nie może.

Tuż przed nimi samochód jakiś stanął nagle jak wryty. Nie widzieli. Czyjeś potężne łapsko machało ku nim jak semafor. Nie widzieli nic. Ocknął ich dopiero donośny a rozradowany bas, huczący na całą ulicę:

— Dzidźka! A ty co tu, smarkata, robisz? Tam do djabła! Papa Knedl.

— Tatusi!

Skoczyła zaraz na stopień i wycalowała grubasa w oba świecące policzki. Poczem jęła trajkotać, jak nakręcona:

— Wybrałam się właśnie do ciebie, do fabryki. A że pan Makomaski zechciał mnie odprowadzić, więc idę piechotą... a ty tu! Strasznieś się dowcipny zrobił tatuśku!

Panowie skłonili się sobie bez entuzjazmu. Jednocześnie twarz Knedla stężała odrazu. Przyjrzał się zmrużonemi oczyma i pytał dość niedbale, a prosto z mostu:

— Czy to nie pan administrujesz naszą chałupą? Pan chyba?



— Ja.

— Aha! Dorabiasz pan do pensji. Rozumiem. Kiepskie zajęcie. A piece, coś pan wsta-  
wił, dymią.

I zaraz, zwracając się do córki:

— No, panna, siadać. Do domu. A pana  
podwieźć? panie, panie...

Stefana aż zatknęło ze złości.

— Rotmistrz Makomaski, panie Knedl.

Grubas ciągnął jakby nigdy nic:

— Więc nie? No, to do miłego widzenia.  
Dzidzka, nie kręć mi się, bo wylecisz... Ru-  
szać!

Owiali go benzynowym dymem i znikli. Na  
zakręcie dojrzał maleńką rączkę, wiewającą  
ku niemu z pożegnaniem. Namarszczył się tyl-  
ko jeszcze srożej. Był wściekły. Nieraz już do-  
strzegał, coprawda, że z końcem wojny boga-  
ci cywile jęli wyraźnie wojskowych lekcewa-  
żyć; ale żeby jego, Makomaskiego!... Zgnie-  
wał się setnie. Całą powrotną drogę rozmy-  
ślał tylko, jakby temu grubasowi odplacić!...  
Skąd bo taki hipopotam dochodzi do tego fili-  
granka?

Odplacił jednak narazie tylko Ignacowi.  
Był to lokajczyk, wzięty na miejsce Kurusia,

teraz już woźnego w ministerjum spraw we-  
wnętrznych. Kuruś wydobył go z jakiejś ne-  
dzy dzięki protekcji stróżowny Heli, zainsta-  
łował u rotmistrza i co niedziela przychodził  
sprawdzać, jak się też pupil sprawuje. Pano-  
wał wtedy w kuchni okropny wrzask i płacze.  
Chłopczyśko bało się protektora jak ognia,  
a i rotmistrza niezgorzej. Lat miał z osiemna-  
ście, gębę żółtą jak cytryna i słabe piersi. Nie  
dziw, że pracy drukarskiej, do której go  
wprawiano, rady nie dał. Dziwaczysko było  
z niego przytem szczególne. Posiadał wrażli-  
wość tak wyjątkową, że za najmniejszym  
wzruszeniem sypały się z niego łzy, jak groch  
z worka. Wystarczało byle ostrzejsze słowo,  
czy mina. A formalnego bzika miał na punkcie  
kinematografu. Puszczal na to wszystkie zaro-  
bione pieniądze i zapożyczał się jak idjota.  
Chodził jednak tylko na sztuki tragiczne z hra-  
biami i bankierami. Zrykiwał się na nich jak  
bóbr. Czuł słabość do wielkiego świata. Ma-  
rzył, ażeby zostać Wegenerem, albo przynaj-  
mniej lokajem u arystokracji. Makomaskiego  
dochodziły nieraz z kuchni niezwykle odgło-  
sy: jakichś kroków na palcach, reweransów,



ugrzeczniionych przemów... To Ignac zgrywał się na osobności.

Dziś, otworzywszy drzwi gabinetu, zastał obraz zgoła szczególny. Ignac, bez kołnierzyka, ale w jego własnym fraku, mierzył do siebie z brauninga przed dużą konsolą. Wyraz twarzy miał ponury, gały wywalone, jak w torsjach.

Stefan aż się przeraził. Oszalał chłop!

— A ty co robisz, bałwanie?!

Chłopak zbladł na papier.

— Ja nic... — bąkał, ciągle z rewolwerem u skroni. — Ja, nic, panie rotmistrzu...

— Oddawaj rewolwer! Strzelać mi się tu będziesz?!

— Nie, panie rotmistrzu... Ja nie. To tylko baron...

— Jaki baron? co za baron? Gadaj!

— Z „Szatana czy kobiety“, panie rotmistrzu. Wszystko w karty przegrał... cudze pieniądze... i musi się zastrzelić... Dla honoru, panie rotmistrzu...

— A pójdziesz mi ty, głupcze! Ja ci tu honor pokażę w moim fraku! Zdejmij mi zaraz! Słyszysz?!

Chłopak zrywał z siebie bezradnie frak

i kamizelkę, ikając jak małe dziecko. Dostał jeszcze w kark i poleciał otwierać drzwi w samej koszuli, bo właśnie zadzwoniono.

Po chwilowych pertraktacjach z płaczącym sługą wtłoczył się w futrze przez drzwi jegomość zażywny, o czaszce łysej jak kolano, z obliczem niezwykle jowialnem. Od progu już zaczął się rozglądać sprytnymi oczkami, a twarz jego jęła wyrażać podziw i niezwykłą uciechę.

— Ja tu jestem z dołu — mówił, szurając nogami. — Magazyn z obuwiem. Ale pan mieszka! Fiu! fiu! Ta moja Każka (żona niby), to już wyraźnie ma bzika. Nie, panie?

Stefan odrzekł wymijająco:

— Niechże się pan rozbierze.

Szewc machnął ręką obojętnie.

— Iii... ja się tam nie zaziębiam. Ależ pan mieszka! Te dywany, panie, mahonie, antyki, bronzы, jak w sklepie, panie. Pi, pi! Niech panna djabli! A tom ci się wybrał, jak Piłat w Credo!

— Niebardzo pana rozumiem...

— Ba, pewnie, że zrozumieć trudno. To wszystko ta Każka, cholera... Ona mi zawsze coś takiego skroi!...



— Ale czemuż wreszcie zawdzięczam?...

Spasione oblicze wyraziło głęboką, choć tajoną jeszcze radość.

— Zaraz, panie, pomału. Bo to, widzi pan, było tak. Jutro św. Józef, mój patron. Więc Każka, żona, łeb mi suszy od tygodnia. Ja z jej rodziną, z dziadami, żyć nie chcę, a z mojej też prawie nikogo nie mam, a co są — same łajdaki. Płacze więc baba, że niby do imienin siadamy tylko z córkami, no i dwoje czeladzi.

— I cóż z tego?

— Zaraz. Więc mówi Każka do mnie: „Idź na piąte do tych studentów, wybierz co porządniejsze i zaproś. Niech zjedzą pocziwie, chudziny, w katolickim domu. Mało to uczonnej biedy? A miarkuj, żebyście się nie schleli“. Poszłem i zaprosiłem wczoraj.

Mrugał już do Stefana figlarnie, ale tamten ciągle się domyśleć nie mógł.

— Więc niby co?

— Zaraz. Otóż żona pana zna. Udał jej się pan, widać, choć babsko stare. No i do mnie jak ta piła: „Jest tu pan Makomaski, administrator. Oficer, ale na politechnikę chodzi. I jego mi zaproś“. Zaproś i zaproś! Od rana

do nocy: zaproś. Więc jestem. Zapraszam. Na biednego studenta.

Pałnął Stefana w kolano i aż się na poręcz odchylił ze śmiechu. Trzęsły mu się policzki, trzęsło brzuszysko ze złotym łańcuchem, trzęsło i samo dostatnie futro. Co się rozejrzał po pokoju, ogarniała go nowa fala radości, że bił się czapczykiem w kolano do taktu i porykiwał:

— Nie, ta Każka!... Cholera! Biednego studenta! Nie!

A i Stefan, patrząc na niego, zarażony weślością, śmiał się z tego zaproszenia do łez.

— Ano, dziękuję — wykrztusił wreszcie niespodzianie dla samego siebie — może na chwilę i wpadnę.

Szewc, usłyszawszy obietnicę, spoważniał odrazu i wyciągnął do niego obie upierścienione ręce.

— Panie, niebabym przychylił, jakby pan przyszedł. Bo zaje mnie babsko z kośćciami. Na cały miesiąc miałbym w domu spokój. Panie, te baby, te baby!

Wynurzał się jeszcze chwilę zupełnie już poufnie:

— Bo to, widzi pan, powodzi nam się te-



raz nieźle. Doszliśmy wreszcie do ceny na obuwie. Od tego też i Polska. Nie jak dawniej... Ja tam, jak ja, co uzbieram marek, to zaraz w skóry pcham, żeby pieniędzy nie trzymać. Ale Kaźce do głowy to poszło. Już kino funduję, w teatrze do siódmego rzędu chodzę; babie mało i mało. Objada się baba, jak kucharz w Bristolu, dziewczyny na pensji — i ciągle mało. Co? Hrabią mam zostać? Teraz znowu studenci...

Tu zerknął ku Stefanowi chytrze.

— Choć ma baba myśl i z tymi studentami... Ja im tam nie żałuję! Broń Boże! Pękna, bestje, choć i na tych imieninach, a już żaden o własnej mocy na piąte nie wlezie. Takem sobie przysiągł. Ale ma i Kaźka swoją myśl, ma! Bo jak córki na pensji, to im czeladź śmierdzi. Już widzę, jak za uczonego wyda...

Wychodząc, trzasnął jeszcze Stefana w ramię z radości:

— A zacne z pana chłopisko!

Pocziwy jegomość ubawił Stefana tak szczerze, iż nawet zderzenie z panem Knedlem wydało mu się teraz mniej dramatyczne. Niech go tam Bóg kocha! Siadłszy na fotelu z książką, udawał przed sobą, że czyta, a wła-

ściwie wsluchiwał się w wesoły gwar, dolatujący z podwórka przez otwarte okna, oraz w brzęk naczyń, rozstawianych w jadalni przez splakanego Ignaca. Od miesiąca stołował się bowiem w domu. W tym czasie pani Barczewska zlikwidowała jadłodajnię na korzyść pana Hartglasa, bez wielkiego żalu swych gości. Gruba dama była zato niezwykle kontenta. Wprowadziwszy się do trzech klitek w oficynie, pokazywała wszystkim otrzymaną gotówkę z wielką pychą. Nie wiedziała tylko, co z pieniędzmi zrobić. Może założy sklep, może kupi ogródek pod Warszawą... Poczekaj jeszcze.

Gotowania Stefanowi obiadów podjęła się tymczasem piękna stróżka. Znała się na tem wcale nieźle. Zato podczas codziennych rachunków zachowywała się tak figlarnie, że już w drugim tygodniu musiał rotmistrz osadzić ją wcale ostro. Od tego czasu obiady stały się znacznie gorsze, a produkty droższe. Jednocześnie pan Ligęza-Goldstein zaczął pojawiać się w domu podczas dnia w porach niezwykłych...

Dziś właśnie wstąpił, widać, przed południem, bo zupa była przypalona, a mięso wy-



suszone na podszew. Pocieszając się filiżanką czarnej kawy, Stefan usłyszał na podwórku okropny wrzask. Podeszedł do okna. To w lewej oficynie, na pierwszym piętrze, u aktora Orłowskiego. Bije się z żoną, jak zawsze. Amant zawodowy. Nie dbają o żadne pozory, jakby mieszkali w lesie. Rzucanie talerzy na podłogę, kobiecy pisk, płacz trojga dzieci naraz, karczemne inwektywy... „A bodaj cię szlag na miejscu!“ Rrum! To krzesło się wywróciło, czy zgoła stół. I zaraz cisza. Potem tupot na schodach i pan Orłowski, amant, idzie przez podwórze z pogodną twarzą, elegancki, w żółtych rękawiczkach, z gwoździkiem w klapie paltota.

Musiał usunąć się przed wjeżdżającym na podwórze samochodem i zaraz kłaniał się szarmancko siedzącym w nim damom. Pani Orłowska wysunęła przez okno bladą twarz i krzyknęła coś groźnie, a niezrozumiale. Samochód stanął przed poprzeczną oficyną. Stefan zainteresował się teraz na dobre. W drzwiach oficyny ukazał się przystojny młodzieniec, we fraku mimo białego dnia, z przekrzywioną krawatką, zmiętym gorseem koszuli i zwiędłym kwiatem w butonierce.

Wyglądał cały jakby przeszedł przez wyżymaczkę. Wysadziwszy panie z gwałtem wyduszoną galanterją, dawał zlecenia szoferowi głosem zbolałym i schrypniętym.

Widok tego młodzieńca podziałał na Stefana jak prąd elektryczny. Nie dopiwszy nawet kawy, chwycił za czapkę i wybiegł na podwórze.

Szykowny ten chłopaczek był zakałą całego domu. Rolety w jego mieszkaniu nie podnosiły się nigdy. Prowadził żywot zgoła fantastyczny. Palił światło o wszelkiej porze dnia i nocy, o siódmej rano sprowadzał dęte orkiestry, wydawał taneczne zabawy o trzeciej po południu. We fraku chodził prawie stale. Co wieczora dochodziły na podwórze z tego lokalu potworne wrzaski, coś jakby indjan na wojennym szlaku. Co się tam właściwie działo, nie wiedział nikt. Młodzian nie był chępliwym, a służącą miał jak grób. Megera, ubrana zawsze czarno, z wąskimi wargami, przodowała w dewocji całej dzielnicy. O swym panu mówiła ze spokojnym szacunkiem i zwięźle. Co kilka dni wyrosiła z domu koszyki pełne pustych butelek, z powagą, jak relikwje.



Stróż również wyrażał się o tym lokatorze z gorącą sympatją. W komisarijacie milczano.

Zato co bliżsi sąsiedzi wściekali się jak rok długi.

Nad wesołym lokalem mieszkał księgarz. Był już zrezygnowany po dwuletniej walce. „Coto, panie!“ — mówił z boleścią — „do ministra skarżyłem, do niemców dawniej — i nic. Niemcy nie dali rady. Draby, panie“. Na dolnem piętrze dogorywał schorowany jegomość z równie schorowanym lokajem. Ten sypiał tylko w dzień. Z nocy skwitował pokornie. Chodził po pokoju, wsparty na paralitycznym śludze, nasłuchując hałasów zgóry. Niewiele to pomagało. Gdy zasnął o dziesiątej z rana, o jedenastej zrywał się nieludzki brzęk i łoskot. Jazz-band. Sprowadzili właśnie z Bristolu.

Skarżył się Stefanowi ze łzami w oczach, a przecież z pewnym podziwem:

— Panie rotmistrzu, i ja byłem młody. Zdawało mi się, że się dobrze bawię. Ale to były żarty, igraszki, wprawki wobec nich. Ci dopiero potrafią, panie rotmistrzu!

Stefan wizytował pana Herkla (takie było miano młodzieńca) w tej sprawie już trzy ra-

zy: o dziewiątej z rana, o trzeciej po południu i o dziewiątej wieczorem. Nie dopuszczono go ani razu. Czarna megera przyglądała mu się za każdym razem krytycznie i łąła sucho, a jak z nut:

— Pana niema.

Za trzecim razem zirytował się wreszcie. (Z mieszkania dolatywał gwar licznych głosów).

— A może tu wcale nie mieszka, czy jak?!...

— Mieszka. Tylko wyszedł. O piątej z rana.

Zobaczywszy go teraz na podwórzu nie spodzianie, Stefan śpieszył wyzyskać okazję.

— Rotmistrz Makomaski, administrator. Do pana w interesie. Byłem trzy razy.

Oblicze młodzieńca wyraziło zniechęcenie. Ziewnął mimowoli, grzecznie zasłaniając się dłonią. Przystojne oblicze pokurczone miał i ścięte, jakby je kąpał w cytrynowym soku. Tłumaczył się zresztą grzecznie:

— Pan rotmistrz daruje. Trzeci dzień nie śpię, więc jak o interesach, to ziewam natychmiast. I tak wiem zresztą, o co chodzi: o wrzaski, hałasy, o sen ludzki, skargi lokatorów...



— Zgadł pan.

— Ba! Nie sztuka zgadnąć. Trzy lata wprawy. Trzy lata! Tylko że to jutro moje imieniny. Św. Józef.

— Toć jutro dopiero. A tu już wczoraj nikt oka nie zmrużył w kamienicy. Na trzydniówkę się, widzę, zaniósł.

Pan Herkel machnął ręką rozpaczliwie.

— Żeby to na trzydniówkę. Na tydzień, panie, na dziesięć dni — ile zechcą wreszcie. Dwa dni już goście nie wychodzą.. Ale niechże pan pozwoli do mnie. Pogadamy.

Już sama liczba pałt na wieszakach w przedpokoju wykazała Stefanowi obfitą frekwencję. Z otwartych naościę drzwi do pokojów szedł rumor i gwar jak na jarmarku. Elektryczność płonęła wszędzie jaskrawym blaskiem mimo białego dnia.

Pan Herkel zajrzał do saloniku i cofnął się natychmiast. Kilku eleganckich panów walczyło tam na francuską w oczekiwaniu na stolik do kart, rozstawiany właśnie przez czarną służącą. Jakaś wydekoltowana, a piękna napodziw dama wygrywała na fortepianie rzewne melodje z klasycznym chłodem. W rogu pokoju rozlegał się jednostajny i po-

tężny loskot. To jakiś olbrzym w wojskowym mundurze, z miną poważną i skupioną, tańczył solo kozaka z *prysiudami*, dzwoniąc palcami na autentycznej bałajce.

Widząc, że Stefana zainteresowały nieco te produkcje, gospodarz wzruszył ramionami.

— Taki już ma zwyczaj — mówił. — Jak tylko pałę zaleje, musi tańczyć kozaka. Inaczej rozbija meble. Bardzo zresztą miły człowiek. Z rosyjskiej armji.

Prowadził teraz Stefana do sypialni, twierdząc, że może choć tam jest trochę spokoju. W przejściu przez stołowy podziwiali wieniec panów i pań wkoło wspaniałej zastawy. Srebra, kwiaty i butelki, butelki... Panowie przeważnie czarno, panie w toaletach. Zachowanie się towarzystwa stanowiło dość jaskrawy kontrast z wytwornością strojów. Było swobodne. Bardzo swobodne.

— Panie wojskowy! Panie rycerz! — wrzasnął do Stefana jakiś przysadzisty młodzieniec z obliczem jak kalosz. — Chodź pan tu do nas! Na kant! Tanie źródło dobrego wina! Myślisz pan, że Herkla! Moje własne! Nie bój się pan nic! Nie struję!



— Siadaj, Broniek! Siadaj! — tuszowały liczne głosy.

— Niech pan nie zwraca uwagi! Słaba głowa — krzywił się Herkel.

W mrocznej sypialni panował rzeczywiście względny spokój. Mącił go chyba rozgłośny chrap rozwalonego na łóżku gentlemana, na którego gospodarz spojrział z zazdrością.

— Oto, panie — mówił — symbol mojego żywota. Grał, bestja, u mnie całą noc i teraz śpi na mojem łóżku. Gość.

A widząc, że Stefan niebardzo rozumie, ciągnął z goryczą:

— Widzi pan we mnie ofiarę ochrony lokatorów. Dawniej było w mieście kawalerskich mieszkań, ile kto chciał. Prosiło się przyjaciół dwa, trzy, pięć razy do roku i dobrze. Dziś, przez tę ochronę, wszystko inaczej. Dziś gości się już nie prosi. Sami przychodzą. Złazą się o każdej godzinie dnia i nocy. Obejmują cudzy lokal na własność i już. Jedzą, bawią się, śpią.

— Wyrzucić. Zamknąć się.  
— Łatwo się mówi. Próbowalem. Raz zdjęli mi drzwi z zawias, potem popsuli elek-

tryczność w całym domu (bo są i specjaliści), przysłali dwadzieścia fur z węglem, ogłosili z nazwiskiem, że poszukuję mamki... Panie, co ja miałem! Dosyć! Już wolę tak, jak jest. Niech zginę marnie.

Z sąsiadującej z sypialnią łazienki dobiegł szmer wody z odkręconego kurka. Gospodarz nie słyszał tego wcale.

— Panie, niech się pan nie śmieje — wzdychał. — To tragedia. Proszę pomyśleć, że każdy z mych tysiąca przyjaciół żyje normalnie, jak człowiek i bawi się raz, no, dwa razy na tydzień. Gdzie? Zawsze u mnie, bo ja mam mieszkanie. Wobec tego ja muszę się bawić przez siedem dni i nocy w tygodniu. Panie, ja nie śpię nigdy. Oni się zmieniają codzień i co godzina, tylko ja trwam na stanowisku, jak kapitan na okręcie. Ja skonom z wyczerpania. To straszne, panie.

Stefan śmiał się już serdecznie.

— Wyprowadź się pan — radził. — O to właśnie przyszedłem.

Pan Herkel wcale nie miał do śmiechu ochoty.

— Dokąd się wyprowadzę? — szydził z ironją. — I tak znajdą. Chyba zagranicę.



Ale fabryki przecież nie przeniosę. Przychodzi tu do mnie dyrektor codzień o jedenastej wieczór i podpisuję papiery. Czasem jeszcze uciekam na prowincję na kilka dni — odsypiam. To mnie trzyma.

W łazience znowu coś plusnęło. Rumor za drzwiami stawał się coraz głośniejszy. Śpiący gość mruknął wściekle i nakrył głowę kołdrą.

— A jednak będę musiał pana usunąć — zagroził Stefan.

Herkel machnął ręką lekceważąco.

— Nie da pan rady. Próbowano już nieraz. Był tu przed Tylickim (bo ten poczciwina) administrator, z typu, wie pan, srogich starców. Do grobu go wpędziłem. On się usunął na Powązki, a nie ja. Mnie usunąć? Przecie u mnie bywa cały świat: prokuratura, sprawy wewnętrzne, policja, ministrowie, bez mała sąd najwyższy. Wszyscy muszą się bawić. A gdzie się ludzie bawią? Wiadomo — u Herkla. Na mnie żadne skargi nie pomogą. Nie, panie. Niech się pan nie łudzi. Mnie broń cały porządek społeczny.

Plusk w łazience stał się wprost niepokojący. Coś jakby pławiono konie.

— Chyba się tam ktoś kąpie, panie Herkel — zdziwił się Stefan.

Gospodarz na to *dictum* aż się za głowę porwał z przerażenia.

— Jezus, Marjo! Toć Wladek Pogorzelski! Na śmierć zapomniałem! Trzy godziny już w wodzie siedzi! Utopi się jeszcze. Tego mi brakowało!

Skoczyli tam obaj. Spotkała ich bujna nagość pana Pogorzelskiego, który spał jak dziecko w napół wystygłej wodzie. Od czasu do czasu wstrząsał się tylko z zimna i łapał garścią wodę, ażeby się nią nakryć.

— Żyje! Bogu dzięki! Dostanie zapalenia płuc, ale to mniejsza. Byle do domu doszedł. Panie rotmistrzu, pan mi pomoże wydygować! A, drab nędzny! Też trzy dni nie śpi. Orzeźwić się chciał, bodaj cię! Jeszcze trzeba kogo. Podhorecki! Geniek! — wołał do stołowego.

Na dźwięk tego nazwiska Stefan aż się wzdrygnął. I ten tutaj! Maż! Cały ten dom zaczął go nagle interesować.

Pan Podhorecki, młodzian pod trzydziestkę, miał twarz równie bladą, jak gospodarz. Duże czarne oczy paliły mu się niespokojnymi



z wyczerpania błyskiem. Przy wyciąganiu i nacieraniu niedoszedłego topielca uderzył Stefana przezroczyście dłonie Podhoreckiego o niesłychanie długich palcach. Pan ten zachowywał się sucho, z powstrzymywaną na wodzy nerwowością.

Herkel ścisnął ręce Stefana z wylaniem.

— Widzi pan! Widzi pan, co tu się dzieje! Pamięć już tracę, słuch tracę z tego niewyspania. Musi się pan czegoś z nami napić! Kawy z konjakiem! Karolciu, kawy, piorunem! — darł się na całe gardło.

Z za drzwi odpowiedział głos spokojny i stanowczy.

— Nie będzie kawy.

— Karolcia znowu swoje! Trzy kawy tutaj!

— Do sypialnego? Rozumu pan nie ma.

— To sam wiem! Nie odpowiadać, do kroćset!

Ze stołowego dobiegł chóralny śmiech. Na twarz Herkla wystąpiły łagodne rumieńce.

— Tak mnie tu traktują — skarżył się, owijając w pled śpiącego pana Pogorzelskiego. — Myśli pan, że taka Karolcia u mnie służy? To ja u niej służę, panie. Zaraz pan

zobaczy. Ale rację ma. Bo i poco w sypialni? Chodźmy do stołowego. W głowie się człowiekowi mać...

Towarzystwo w jadalni przerzedziło się znacznie. Większość przeszła do saloniku na karty. Źródło taniego wina zostało na miejscu, nie czyniąc jednak zbyt wielkich hałasów. W rogu stołu przepiękna brunetka flirtowała zawzięcie z jegomością, wyglądającym na obdartusa, o przepysznych brylantach na niemytej ręce. Parę tę traktowano z szacunkiem. Uwagę wszystkich skupiała na sobie służąca Karolcia. Wsparta na ślicznym bufeciku, prowadziła, stojąc, rozmowę o polityce z siedzącym naprzeciw grubasem o semickich rysach. Sąsiad grubasa, ładny blondynek ze szczególnie nieruchomą twarzą, z zajęciem przysłuchiwał się dyskusji, od czasu do czasu wybuchając króciutkim śmiechem. Niewiadomo dłaczego nalewał sobie potem konjaku w kieliszek od wina i pił haustem.

Herkla powitano ogólnym wrzaskiem:

— Kawy czarnej, Herkel! Kawy!

Karolcia przerwała politykę.

— Nie będzie kawy — powtórzyła sucho.



— Słyszysz pan! słyszysz pan! — irytował się Herkel.—Kawy mi w tej chwili! Karolcia głucha?!

— Nie będzie kawy. Mówiłam. Pan to jak dziecko.

— Precz mi stąd! Zabierać manatki i fora! — tupął.

Karolcia wzruszyła ramionami.

— A jakże. Na kolanachby mnie pan prosił, żebym wróciła.

Herkel zaczerwienił się jak burak. Aż mu wężę mu odjęło z wielkiej złości. Brudny jegomość wydobyl tymczasem pieniądze.

— Ile, Karolciu? — pytał krótko.

— Pięćset.

Otrzymałszy banknot, służąca udała się do kuchni. Herkel odzyskał wreszcie zdolność mówienia.

— Szantażystka! Jak mi Bóg miły, szantażystka! — pinił się. — Zawsze tak mnie urządza! Obiadu, ani kolacji bez łapówki nie da! Teraz na kawę wpadła! Dostyc tego! Nie ma u mnie Karolcia miejsca! Karolcia słyszy?! Dość tego, u pioruna!

Z kuchni dobiegło tylko:

— A niech pan nie wymyśla! Sama jestem z dobrej rodziny.

Pijąc wreszcie kawę, Stefan zwrócił baczniejszą uwagę na Podhoreckiego. Mimo pozorne go chłodu panu temu coś dolegało wyraźnie. Kręcił się jak na szpilkach, wsłuchany w odgłosy z saloniku. Raz wstał nawet i szeptał coś przez chwilę do ucha jegomości w brylantach.

Odpowiedziano mu zwięźle:

— Nie przeszkadzaj! Idź do djabła!

Usiadł znowu, ale podrywało go co chwila jak na sprężynach. Z saloniku wzywał go jakiś tubalny głos:

— Podhorecki! Wacek gotów! Passa! Czekamy!

Wówczas z nagłą decyzją zwrócił się do Herkla. Ten skrzywił się jak po occie. Cicho rozmawiając, przeszli do sypialni. Za chwilę głos Podhoreckiego słyszeć było już z salonu.

Stefan zdał sobie sprawę z sytuacji w telegraficznym skrócie:

— Gracz. Pożyczka. Nie ma kredytu.

Nie miał tu dłużej co robić. Przed wyjściem raz jeszcze upomniał osowiałego teraz Herkla.



— Ale proces o eksmisję muszę panu wytoczyć.

Ów zgodził się obojętnie.

— Jak pan woli... Będziemy mieli obaj kłopoty: pan większe, ja mniejsze. Nie wiem nawet, poco to panu... Przestrzegalem.

Makomaski szukał właśnie czapki pod zaspiami futer, gdy boczne drzwi z przedpokoju otwarły się cichutko i na progu stanął barczysty major kawalerji.

— Stefan! A ty skąd tutaj? — pytał szeptem. — Poznałem po głosie.

Był to kolega z ukraińskich jeszcze wypraw.

— Ja? Wpadłem w interesie. Ale ty, co tu robisz?

— Ja? — machnął ręką major. — Pasjansie kładę.

— Jakto pasjansie?

— Ano poprostu. Kładę pasjansie. Napoleońskiego, zegar, wachlarz, przekładankę... jakie chcesz. Już dwa dni kładę.

— Dlaczego szepczesz?

— Bo tam śpią... — kiwnął na drzwi. — Zato ja już dwie noce czuwam. Przydzielili mi tu pokój, widzisz.

J — Aha!

— Ładne „aha“ — spróbuj! Trzy dni tu mieszkam. Pierwszej nocy bawiłem się z nimi i zgrali mnie w karty. Przychodzę ze służby — ktoś śpi w moim łóżku. Ano trudno — poszedłem do kolegi. Wracam — śpi. Kładę pasjansie. Wstał o piątej, przeprosił bardzo grzecznie. Przespałem się trzy godziny. Wracam ze służby — znowu ktoś w moim łóżku. Wyrzuciłem, przeprosił, zdrzemnąłem się. Wracam wieczorem — ktoś w moim łóżku. Patrę: kobieta, jak cię kocham. Budzę łagodnie, mówię: „Niech się pani posunie i ja się prześpię.“ Ta w krzyk. Przeprosiłem ja i kładę pasjansie.

Śmieli się obaj, choć major z pewnym przymusem.

— Nie dasz wiary — ziewał — jak mi wszelka zabawa obrzydła. Mnie! mnie obrzydła! Mam teraz wstręt do wina! Wstręt do kart! wstręt do kobiet! Ja — wstręt do kobiet!

Wróciwszy do siebie, Stefan uczuwał jakby zawrót głowy na wspomnienie niezwykłego lokalu. Podobnego młyna nie widział nigdy. Ażeby nie myśleć o nim więcej, zabrał



się do rajs Bretu i, pogwizdując, kreślił przez kilka godzin. Już w czerwcu bowiem wypadało mu bronić dyplomowego projektu.

Koło ósmej, jak codzień, przyszła panna Wanda od rządcy z księgami i sprawozdaniem. Poznała już wszelkie arkana sztuki mel-dunkowej niegorzej od pana Cyjankiewicza z komisarjatu. A robotna była jak wół. Po całodziennej pracy biurowej zachowywała podczas tych wieczornych seansów sąd szybki i jasny, choć i tu zajęcia jej nie szczczędono. Państwo i miasto zwałało na głowy administracji domów, co się dało. Wśród nadsyłanych przez magistrat i ministerja wykazów, raportów, schematów i ankiet można się było zgubić jak w lesie. Szaleliśmy bo w tym czasie na punkcie statystyki. Płynęło się na najwyższej fali postępu: rodzimi analfabeci mieli zapisywać całe arkusze danych. Papier na to sprowadzano z Wiednia; drukarnie krajowe były już tylko banknoty i schematy.

Dziś jednak i pannę Wandę ogarnęło zniechęcenie na widok wykazu podatkowego na dwu arkuszach. Nie rozumiała tego nic a nic, jak nie rozumiał i cały kraj zresztą. Wogóle była nie w humorze. Nie ucieszyła jej nawet

ankieta ministerjum zdrowia w sprawie ilości i wieku psów w kamienicy. Państwową konieczność tej informacji traktowała z lekceważeniem. Wzroku Stefana unikała uparcie. „Czego się ta znów buńduczy?“ — myślał ze zdziwieniem.

Nagle, patrząc na rozłożony przez Ignaca na krzesle nowiusieńki mundur, spytała ni-stąd, nizowąd:

— Będzie pan dziś u Oli?

— Może będę.

— Powinien pan być.

Stefan zdumiał się. Oszałała. A jej co do tego? Wiedział coprawda, że panie te się znają, ale żeby aż taka konfidencja. Namarszczył się i nie odrzekł nic. A ona zarumieniła się naraz okropnie, zupełnie na czerwono, jak rak.

— To resztę wykazów ja już sama... — mówiła, zbierając papiery z wielkim, ponad siły wstydem.

Po jej wyjściu Stefan gwizdał dalej, ale z pasją. No tak, musi być u Oli. Trzeba dźwigać swój krzyż, trudno. Skoro się głupstwo stało... „Do kroćset! do kroćset!“ — strzelał z palców ze złością. Bo i cóż wreszcie był wienien? Że mu się sama dała? A tu ani sposobu



zerwać... I czego chce? Przecieżby nawet za niego nie wyszła — gdyby ją rozwiódł, jak nie wyszła wówczas, za studenckich jego czasów, gdy flirtowali z sobą nazabój. Zawsze miała w głowie dobre partje, majątki, stanowisko w świecie. Stefan naprawdę nie rozumiał, o co jej wreszcie chodzi. Nie o kochanka przecież: może ich mieć z tą urodą, ilu zechce. A w miłość nie wierzył — znali się przecież tak dawno... Tylko nie trzeba było odgrzewać, och, nie trzeba było!...

Wybierał się, jak na ścięcie. Golenie, mycie, wszystkie szczegóły toalety przeciągały się mimowoli. „Bogu dzięki“, — myślał — „że będzie tam trochę osób. Zawsze różniej...“

Istotnie, gdy zadzwonił o dziesiątej, w obszernym salonie wcale było gwarno. Swoim zwyczajem otworzył sam Maleniecki, mąż Oli, mimo iż pokojówka czekała już w przedpokoju. Był to jegomość niecierpliwy i entuzjasta. Profesor zresztą kompromitującej ekonomji na jakiejś wszechnicy i kandydat na stanowiska w ministerjum spraw zagranicznych. Był względnie młody i byłby raczej przystojny, gdyby nie maleńki wzrost i krótkowzroczność tak doskonała, iż oczyma macał raczej,

niż widział przedmioty. Na obliczu malowało mu się dzisiaj nieklamane wzruszenie.

— Jest. Przyszedł — szeptał do Stefana poufnie, ściskając podaną dłoń z wylaniem, jak rodzonemu bratu.

Stefan wiedział, iż wieczór ten posiada rzeczywiście dużą wagę dla tego domu. Urządzano go dla starszego kuzyna Malenieckiego, wołyńskiego obszarnika, zaplątanego ostatnio w naszą politykę w charakterze radcy poselstwa. Jegomość miał kolosalne wpływy i gospodarz po jego protekcji spodziewał się co najmniej szefostwa wydziału. A czas był najwyższy. Profesura nie dawała nic prawie, majątek Malenieckiego leżał w linii okopów, a niewielki posag Oli rozchodził się właśnie po kociach.

To też nastrój w salonie był prawie uroczysty. Mimo wejścia Stefana Ola nie ruszyła się od boku dostojnika ani na chwilę. Ledwie szepnęła mu z wyniosłą kokieterją:

— Myślałam, żeś już na nas niełaskaw...

Dygnitarz miał świetną francuszczyznę i iście senatorskie poczucie godności. Pokładane w nim nadzieje nie były mu również obce. Otoczony wieńcem dam, mówił niewiele,



przeplatając politykę komplementami. Po każdym ważkiem zdaniu wybałuszał niebieskie oczyska na siedzącą pod ścianami młodzież z powagą i surowością. Ostrożność zresztą zbyt uczona. Młodzież była również z ministerjum spraw zagranicznych.

Stefan nie mieszał się do tej urzędowej niejako konwersacji. Znalazłszy w jakimś kącie starego znajomego, profesora Moszkowicza, przysiadł się do niego natychmiast. Znali się z zagranicy jeszcze, ze studenckich organizacji. Stefan, młodszy wiekiem, zdawna cenił wysoko niezachwianą prawość i gorący patriotyzm młodego uczonego. Moszkowicz był wysoki, chudy, elegancki, o rysach wybitnie semickich. Pochodził z rodziny bogatych żydów polskich z czasów Rzeczypospolitej jeszcze. Któryś z Moszkowiczów był ponoć bankierem Jana Kazimierza i Sobieskiego... Pochodzenie to było dla młodego etnologa źródłem udręki i snobizmu, pychy i rozpacz. Na nazwisko nie zamieniłby się z nikim, a przecież oddałby majątek za prosty nos i niebieskie oczy. Ożeniłby się tylko z rasową polką, a jednak wychrzcić się nie chciał. Moszkowicz-katolik wydawał mu się niesmaczny.

Spotkawszy się po długim niewidzeniu, koleczy zagadali się odrazu. O wspólnych przyjaciółach i o zagranicy, o losach czasu wojny, o uniwersytecie i politechnice. Gadali jak najęci. Stefan widział chwilami wysiłki pani domu celem zwabienia go ku sobie, czuł przyzywne, natarczywe spojrzenia, ale umyślnie nie zwracał na to żadnej uwagi. „Może jej się sprzykrzy“ — myślał niechętnie. Jak też tak się stało. Napozór przynajmniej. Boczny rzutem oka dostrzegł w pewnej chwili, jak flirtowała zawzięcie z jakimś przystojnym młodzieńcem. Ożywiona była i czarująca jak nigdy. Stefan przyjrzał się baczniej. No tak, ten sam ponury gość, co to w „Cukierni Wersalskiej“... Serce spłynęło mu nadzieją. „Może przecież! może się odmieni...“ — modlił się prawie.

Ale gdzie tam! Rozweselił się już, rozgadał i roześmiał na dobre, gdy oto, korzystając z chwilowej pogoni Moszkowicza za popielniczką, stała już nad nim jak kat nad dobrą duszą.

— Tak tu panowie gorąco rozprawiają... Niechże się i profanka pouczy.



Profanka miała żar w oczach i wściekłość w piersi. Stefan milczał.

— Sądziłam, że ty tylko z paniami jesteś tak elokwentny. Z panią Podhorecką naprzykład...

Stefan aż jęknął w sercu. Jest. Piła. Możliwie lekkomyślnym tonem informował się krótko.

— Czyżby zazdrość?

Wściekle źrenice rozszerzyły się bezgranicznym zdumieniem:

— O taką dzierlatkę? Zbyt wiele honoru.

Zamilkli. Moszkowicz znalazł już popielniczkę, ale nie wracał. Cała jego subtelna figura wyrażała dyskrecję. „Wie“ — myślał Stefan posępnie. — „I ten wie. Cały świat wie, tylko tamten idjota się nie domyśla“ — spojrział z obrzydzeniem na entuzjastycznego gospodarza. „Żeby się choć dowiedział, byłby może jakiś koniec...“

A i ona milczała. Dławiło ją w gardle, a tyle mu miała do powiedzenia! Że jest podły. Bo jest podły. Nawet się nie wypiera tej tam Podhoreckiej... Taka smarkata, dzieciuch. O podły! podły! podły!

Wstała raptownie, wracając do towarzy-

stwa. Stefan ruszył za nią jak gradowa chmura. Wszystko wydawało mu się beznadziejne. Nie uwolni się od niej nigdy. Wpadł, jak w wilczy dół. Trudno. Słuchał ogólnej rozmowy, myśląc tylko, jakby najzręczniejszemu uciec...

Towarzystwo zajęło się właśnie plagą wojennych kradzieży kolejowych. Każdy miał tu coś do powiedzenia. Temu skradziono walizkę, ów czuwał całą noc z rewolwem w garści... W Czecho-Słowacji mają złodzieje takie sposoby, w Niemczech inne, jeszcze dowcipniejsze... Jakiś skromny jegość, nie dyplomata, a więc i nie podróżnik, opowiadał subtelne przecież pomysły krajowych rzezimieszków między Częstochową a Zagłębiem... Wszyscy ożywili się niezwykle. Trafiono wreszcie na złotą żyłę konwersacji. Nawet radca chrząknął znacząco, iż chce mówić. Zaległa uroczysta cisza.

— Wracałem właśnie — mówił — z paryskiej konferencji. Obarczono mnie, jak to zwykle, ważnymi papierami. Niewielka zresztą walizeczka dyplomatyczna z żółtej skóry. Druga moja z rzeczami, cięższa. Droga wypadła mi przez Wiedeń i na Czechy. Na gra-



nicy trzeba się było wówczas przesiadać, pamięta pan? — zwrócił się łaskawie do ponurego bruneta.

Młodzian aż poczerwieniał z uciechy.

— A jakże, panie radco! pamiętam. Coś z kilometr na piechotę...

— To, to właśnie... Otóż wołam *ludzi* do pomocy — nikogo. Ale to żadnego tragarza. Porządki, jak to w Polsce. Noc. Co tu robić? Sam przecie nieść nie będę. Wysiadam wreszcie, patrzę — jakiś kolejarz, pocziwina, stoi przy sleepingu. „Możebyście zanieśli, dobry człowieku, do polskiej stacji?” Podniósł latarkę, przyjrzał mi się i mówi: „Jo. Dajcie, panie”. Zawołał jeszcze drugiego, wzięli, poszli. Noc choć oko wykol, na wszystkich torach pociągi. Jak mnie zaczęli między nami prowadzić — patrzę, jak w wodę wpadli. Przychodzę na polską stację sam. Rozglądam się, czekam. Nic. O moich pocziwych kolejarzach ani słychno. Zawiadomiłem żandarmów. Ano, kradzież. Jak się dowiedzieli, że jedna walizka dyplomatyczna z ważnymi papierami — gwałt. Ruszyli policję w Cieszynie, telefonowali zaraz na czeską stronę... Przespałem się w straszliwym hotelu. No,

trudno. Ale co państwo powiecie? Raniutko budzi mnie żandarm — jest. Złapali w Oderbergu. Ci czesi, co? To rozumiem—policja!...

Skończywszy, jął obracać wyłupiastemi oczyma po obecnych. Moszkowicz zaniepokoił się nagle.

— I papiery pan radca odzyskał? Nadzwyczajne.

— Papierów nie, bo spaliły gałgany ze strachu. Czeski komisarz mi mówił.

Moszkowicz zapytał teraz cichutko jakby ze wstydem.

— A czemuż pan radca choć tej małej walizki sam nie wziął?

Radca przyjrzał mu się dłużej i z powagą. Wyraźną dezaprobatę wzbudził w nim nos Moszkowicza, długi, garbaty i cienki.

— Nie przywykłem walizek nosić — mruknął pogardliwie.

Stefan odsunął krzesło z rumorem. W głowie mu się mąciło. Wyszedłszy do gabinetu, rozmyślał przez chwilę, czy to on sam zważywał, czy ten starszy pan opowiada jakby nigdy nic, że mu skradziono teksty naszych porozumień zagranicznych? Chyba się prześłyszał?



Ale nie. Moszkowicz aż się za głowę przy nim chwycił.

— Rozumie pan? Rozumie pan? — jęczał — jakich to mamy dyplomatów? Toć nastawieni byli przez Czechów ci kolejarze. Głowębym dał za to! A gdyby nawet nie, toć i tak kryminał! Walizki przenieść nie może!... Sądu na takich drabów niema! Pensje biorą, w glorii pływają!

I nagle wyrwało mu się gdzieś z pod rasowego serca:

— U was to zawsze tak... Od wieków.

Stefana przejął niezmożony wstręt do tego całego domu. Wycofywał się właśnie po angielsku, gdy w przedpokoju już złapała go Ola. Aż go dreszcz przeszedł.

— Jutro będę u ciebie. O piątej.

— Darujesz mi, proszę. Niemożliwe.

— Będzie jakaś inna dama?

Wzruszył ramionami z pasją, a mówił łagodnie:

— Jestem zajęty.

— Muszę rozmówić się. Więc pojutrze o tej samej godzinie.

Aż spuścił oczy, tyle w nich było nienawiści.

— Rozkaz — zgrzytnął.

W swoim mieszkaniu dojrzał jeszcze światło. Któż taki? Chyba Ligęza-Goldstein. Otworzył drzwi z ciekawością. To w gabinecie. Któżby znowu? Przez chwilę nie widział nikogo. Przestraszył go lekki chrap. To Ignac spał na otomanie z listem w ręku.

— Wstawaj natychmiast! Do siebie spać! Chłopak zerwał się jak oparzony.

— To list, panie rotmistrzu. Jedna pani przyniosła. Mówiła, że pilne.

Poznał pismo odrazu. Od niej. Pisywała już doń kilkakrotnie.

— Marsz spać! — wyrzekł łagodnie. Czytał.

„Prosi, żeby się na nią nie gniewać i na tatkę, choć rozumie dobrze. Sama jest bardzo nieszczęśliwa. Jedyne tatko, co o nią dba naprawdę.

P. S. Byłam u rodziców i list zaniosę sama, wychodząc. Bardzo się pana boję. J. P.“

Przeczytał raz, przeczytał drugi i trzeci. Poczem go ucałował. „Idjota jestem — to jasne“ — ustalił dla siebie raz na zawsze.



— Ignac!—wrzasnął do kuchni.—Chodź mi tu zaraz! Masz na kinematograf na jutro. Na dwa przedstawienia, smarkaczu!

W oczach przerażonego chłopca znowu stanęły łzy.

## VI.

### TARAPATY.

W nocy jakoś przyszła wieść o wzięciu Kijowa. To też od samego rana stroiło się miasto jak panna na wesele. Dzień się zdarzył prześliczny. Jak okiem sięgnąć wszędzie w gorącym słońcu orły, dywany i chorągwie, chorągwie! A w błękitnym powietrzu rozpylony entuzjazm. Mała rzecz — zdobycie Kijowa! Rozparł się też naród po ulicach w wielkiej pysze i zdało mu się tego dnia, przy owym słońcu, że nikt go już chyba nie przemoże...

Kuruś przyszedł do Stefana koło południa i rosyjskim wojskowym zwyczajem od progu już winszował mu zwycięstwa. Stefan przyjął to laskawie i z dumą, jakby to jego własne wojska wkraczały do tamtego miasta. Czuł się z nimi jak nitką związany od dwu prze-



szło tygodni. Każdy ich ruch po owych przestrzeniach, które sam przemierzył niejednokrotnie, odzywał mu się w sercu gorącym tętnem. Dawało mu to nawet pewną ulgę w przykrościach osobistych, nasiadłych nań temi czasy dość gnębiąco.

Ścisnąwszy tedy dłoń Kurusia, odezwał się wesoło:

— No, wachmistrzu! Ale spijemy się dzisiaj jak na „pułkowem święcie“. Nie da rady inaczej. Takem sobie poprzysiągł!

Zaraz ruszyli na miasto. Panowały tu nieogarnione okiem tłumy. Wszyscy, kto duszą żyw, wylegli na ulicę. W jaskrawem słońcu ludziska ocierali się o siebie leniwie, z minami pełnemi radości i dumy. Chłopaczyny, terminatorzy, skauci — szmygali śród zbiegowisk jak rozradowane psiaki. Na każdym rogu, z przygotowanych trybun, czyjś ryk tubalny głosił narodowi jego wojenną chwałę. Słuchacze puszyli się jak indyki. Przeważali tu ojcowie rodzin z waszecia, w zniszczonych tużurkach, oraz egzaltowane panusie. Ci stali kwadransami. Bandy studentów włościły się po jezdniach, zaczepiając dziewczęta. Co chwila przeciągały jakieś cywilne

oddziały ze śpiewem, choć pochodu nie było. Dygnitarze wracali powozami z katedry. Na widok wojskowych zrywały się z tłumów gorące oklaski.

Kuruś wyraźnie był nie w humorze. Szary mundur woźnego z metalowemi guzami wydawał mu się obmierzły wobec *khaki* Stefana. Nie mówił nic. Dopiero wśród huczku, wywołanego w tłumach przez przeciągający pluton przyboczny ułanów, splunął przez zęby po żołniersku.

— Nieźle siedzą — rzekł niedbale, mustrując plutonik ostrym wzrokiem — ale gdzie im do *naszych* Pawłogradców. *Kudy!*

Stefan uśmiechnął się pod wąsem.

— Zazdrość, wachmistrzu? Co?

— Ii!... Myślę, z pozwolenstwem pana rotmistrza, że takich wojsk, jak wprzódzi, to już na świecie nie będzie. Skończyły się te wojska. *Szabasz!* Chyba, żeby tak pan rotmistrz i ja...

Aż mu skry z oczów poszły na samą myśl. Rozgadał się jak nigdy.

— Bo to myślę też sobie, panie rotmistrzu, że niby chodził, chodził człowiek w tych wojskach — i co? Choćby i w tych



ruskich... Mało to naszego potu, trudu? I co z tego? Nic. Jakby te lata w wodę rzucił. Czy to jest sprawiedliwość? Bo i cośmy byli *wi-nowaci*, że polskich wojsk wtedy nie było? A tera, jak komu co opowiedzieć, jaką bitwę choćby, to zara gębę krzywi: „li... to — mówi — ruskie wojska“... To jabym zara w mordę, panie rotmistrzu! Te, juchy, woźne, to już się ze mnie śmieją...

— Toć i w polskim byliśmy... Zapomniał wachmistrz?

— Ii... panie rotmistrzu! Być, byliśmy — prawda. Też ganiłi nas po tej Ukrainie z różnemi tam Grekami, Rumunami... Tyle, cośmy z duszą uciekli. Bo to wojna była? A tera, za przeproszeniem pana rotmistrza, psiakrew, cholera, rekrut włazi sobie do Kijowa jak na spacer. My, stary żołnierz, nic — wszystko oni! Psiakrew i tyle!

— Niechno się wachmistrz nie wścieka! Nie może to choćby i dziś zpowrotem wstąpić? Sam protekcję wyrobie. Do szwoleżarów.

Kuruś spojrział z pod oka.

— Jakby tak i pan rotmistrz... Choć, po

prawdzie mówiąc, jak tu z kobietą do wojska... Śmiech tylko.

Stefan, rzeczywiście, roześmiał się na całe gardło.

— Tu wachmistrza boli!... Kobieta! Chodźmy lepiej po wino!

Kuruś nachmurzył się i konfidencję przewał.

Wrócili do domu. Sklep kolonjalny w kamienicy był, oczywista, zamknięty, ale na żądanie Stefana właściciel przybiegł natychmiast. Tęgi mężczyzna, przystojny i młody, dawny subjekt, przyżeniony do chudawej wdowy ze sklepem. Obsługiwał gorliwie, ucinając przyjacielską gawędę.

— Koszyczek białego i likierki? Białe niemieckie? Antoś, sześć Maxa Muellera dla pana administratora! Ostatni moment, bo zaraz nałożą banderolę i podrożeje. Piękny dzień mamy, panie rotmistrzu, wielkie święto. Szczególniej dla wojskowych.

— Jakto dla wojskowych?

— Zwyczajnie. Bo cóż nam, cywilnym, z tego Kijowa! Nam potrzeba spokoju i obrotów w handlu. Dosyć wojny.



— Też pan gada... A jakby tak bolszewicy do nas przyszli, zamiast my do nich?

Kupiec uśmiechnął się lekceważąco.

— Skądżeby, panie rotmistrzu! Od tego mamy wojsko, żeby nie przyszli. Mało to nas kosztuje? Tyle chłopą ubrać, nakarmić!

— Mówi pan, jakby przez pięć lat na wojnę nie patrzył. Wojsko też nie święte: albo daje w skórę, albo bierze. Jak daje, to się cieszyć, a nie gadać byle co!

— Też się cieszę, pewnie. Podobno cukru przywiozą, bo już brak.

Wyszedłszy na ulicę, Stefan rozejrzał się jeszcze po „swojej“ kamienicy. Aż były od niej narodowe barwy. Na wszystkich balkonach dywany, po wszystkich oknach orły, chorągiewki, nalepki... Dom wyglądał jak reklamowy pawilon polskiej państwowości. Tylko u pana Hartgłasa w oknach ciemno było i głucho... „Parszywiec“, mruknął Stefan. Ale poza nim — wszędzie. Nawet z piątego zwisały jakieś czerwone z białem wstążczyny... „To u studentów. Dach zacieka. Trzeba zająć“ — pomyślał. A Majewski? Wywiesił, wywiesił, a jakże — stary różo-

wy dywanik i dwie chorągiewki na krzyż... Skapirałto.

W tej chwili dopiero dostrzegł, że wśród nawału emblematów brak przecież ogromnej kamienicznej flagi, którą sam nabył i pieczołowicie na uroczystości chował. A to co znowu? Tu powinna być, na czwartym piętrze, nad Majewskim... Niema.

Natychmiast ruszył na podwórze.

— Wojciech!

Stróż przerwał dyskurs z jakimś obszarpanym człeczyną i przydyrdał pośpiesznie. Sam również nie pasował jakoś do tego słońca i święta. Znow był skulony i brudny, czapczyśko też już nosił stare.

— Cóż Wojciech, u diabła, sobie myśli? Dlaczego flagi nie wywiesił? Nie wie Wojciech, że narodowe święto?

— Wiedzieć, to wiem... Tyle że i tak kamienicę ubrali. Same lekatory. Więcem myślał...

— Dawniej, jak rewirowy za byle co w pysk, to Wojciech nie myślał tyle! Zaraz mi wywiesić!

Wojciech zgodził się markotnie.



— Co prawda, to prawda. Swojego się nikt nie boi.

Obszarpany człeczyna, od którego, mimo policyjnych zakazów, zionęło spirytusem, jak z karczmy, splunął na to i rzekł zaczepnie:

— Nie te dziś czasy, żeby zara w pysk. Poczem dodał sentencjonalnie:

— Takie święto jak dziś to pańskie święto. Biednemu narodowi do tego nic. Nie trza flagów wywieszać.

Stefan wykonał krótki ruch ramieniem i człeczyna odleciał o parę kroków jak z procy. Nie rzekł już nic więcej. Wicek ze stróżowskiego okna roześmiał się radośnie.

— A to, proszę pana administratora — miamlil Wojciech — na piątym piętrze... Na nic załało. Spokoju tera nie dają...

— Będę. A co jeszcze?

— A jeszcze to z windziarzem — ożywił się nagle. — Życia z tym człowiekiem niema. Wyrzucić, dopraszam się łaski, wyrzucić, panie administratorze!

— Co znowu zrobił?

— To właśnie, że nic, jucha, nie robi. Siedzi u mnie po całych dniach, baby buntuje! Hycel! — rozżarł się srodze.

— Winda chodzi?

— Co nie ma chodzić? Bo to robota dla tyłego chłopa?

— Jak chodzi, to w głowie mi nie zawracać. Powiedziałem raz.

Stróż skulił się z westchnieniem. Wyszukał jeszcze w kieszeni jakiś przybrudzony liścik.

— Do pana administratora. Pani Maleniecka dała.

Ola. Rozumie się. Nową drogę znalazła. Byli już posłańcy, była poczta, teraz stróż. Niechże to kroć sto tysięcy!...

Od czasu owej milej „herbatki“ z dyplomata nie był tam ani razu. Zato ona nie zapomniła obietnicy, o nie! Przyszła się nazajutrz „rozmówić“. Brr! Wyrzuty sumienia, narzekania, płacze. Gdy nie pocieszył mimo prawdziwe łzy (histeryczka!), ukłękła przed nim na dywanie i całowała jego ręce ze skrucą. Całej siły musiał użyć, żeby nie włożyć opierającej się po podłodze. O, paskudstwo! Ledwie ją podniósł, tak się uparła. Wyszła, rozumie się, wściekła jak pies. Myślał, że obrazi się na śmierć. Gdzie tam. Nachodziła go w mieszkaniu dalej. Był zimny jak



łód. Zagroziła wówczas, że powie wszystko mężowi. Ucieszył się z serca. — „Ależ powiedz; proszę cię, bardzo cię proszę“. Wtedy ją się listów. Z początku rzewne, potem coraz ostrzejsze. Po tygodniu przestał odpowiadać, ale jeszcze czytał. Dopiero od czasu skierowanego przez nią do Knedla anonimu (nawet pisma nie zmieniła, warjatka!) — odsyłał bez odpowiedzi. W owym czasie osławiona „wieczna kobiecość“ przejęła go niezmożonym wstrętem. „Ambicji odrobinę, honoru!“ — myślał z gniewem — „po pensjach was tego uczyć powinni! Nie algebry, nie geometrii — tylko honoru!“

Od dziesięciu dni miał zresztą spokój. Dopiero dziś znowu ten list.

Czytał ze zmarszczonemi brwiami.

„Piszę po raz ostatni. Bądź dziś u nas o piątej. Inaczej — pożałujesz. O.“

Aż wzdrygnął się ze złości. Autorka anonimów grozi: wymyśliła, widać, coś nowego. Ze spokojną premedytacją włożył liścik w kopertę bez odpowiedzi i, zaadresowawszy, kazał Ignacowi zwrócić go samej pani. O piątej, koniecznie o piątej. Tymczasem

niech poroznosi te parę zaproszeń na wieczór. I stół nakryć pięknie w jadalni; stróżka pomoże.

Usiłował pracować, ale mu to nie szło, choć dyplom miał za dwa tygodnie. Liścik Oli struł całą poranną radość. Przypomnił mu dotkliwie, że i owa idylla kwietniowa wypaczyła się najzupełniej. Może i z jego winy, bo co z kobietami można wiedzieć? Pewne było, że w tym czasie on, Stefan, dostał łagodnego obłędu. Gryzła go szalona zazdrość. Od nieszczęsnej chwili poznania Podhoreckiego. Od chwili, kiedy go zobaczył na oczy. Szalał prosto na samą myśl, że ten jakiś tam mąż, inny mężczyzna, miał i ma do niej prawa. Nawet lepsze, bo pierwsze. Próżno mu tłumaczyła, że ten mąż, to nieszczęsny szaleniec, bez charakteru, niezdolny do żadnej pracy, opętany przez karty, skłócony z całą rodziną, jej i swoją, warjat, co cichaczem sprzedaje klejnociki żony i błaganiem zmusza ją do rozpaczliwych wizyt u papy Knedla... Nic. Uparł się jak koń. Zażądał natychmiastowego zerwania bliższych z nim stosunków. Milczała. Żądał, aby przeniosła się do ojca. Nie obiecywała nic. Wtedy się wściekł zupełnie.



Powiedział, że ma dosyć, że mogą nie widywać się wcale. Słuchała ze spuszczoną głową.

Wytrzymał przez jakiś tydzień. Podczas męczących wieczorów stanęła w nim mrowna decyzja. Rozwiedzie ją i ożeni się. Mimo niechęci do małżeństwa, mimo, że nie będzie pierwszy. Decyzja rozjaśniła widnokrąg odrazu. Poweselał na samą myśl, jak ją to ucieszy.

Oznajmił to z miną godną i triumfalną. On, Stefan Makomaski, oświadcza się. Siedzieli na głupiej kanapce w jakimś prywatnym salonie sztuki. Sami. Ujęła go szybko za rękę i, nim się obronić zdołał, podniosła ją do ust. Widział też w jej oczach łzy. Tylko, że nie rzekła nic. Znowu nic. Zdziwił się, ale coś tam gadał zresztą, sam nie wiedząc co.

Przemówiła wreszcie.

— A co się wtedy z nim stanie?

Oślupiał.

— Z kimże to?

— No z nim. Z mężem.

Aż się w nim zagotowało. Pytał sam zko-lei tonem ostrym i złym:

— A czemu to pani nie myślała o nim na jesieni?

Milczała.

— Boć kroku ruszyć nie mogłem, żeby pani nie spotkać. Chyba nie uliczna kokieteryja?

Pochyliła głowę jeszcze niżej.

— Pani nie odpowiada?

— Byłam bardzo nieszczęśliwa...

— A teraz nie?

— On zginie beze mnie. Grozi, że się zastrzeli.

Nie mógł już słowa o nim znieść więcej. Mruknął tylko przez zęby:

— Mała szkoda. O jednego durnia mniej!

Uklonił się sztywno i wyszedł. W drzwiach dobiegł go błagalny jęk:

— Stefan! Słuchaj!...

Nawet się nie odwrócił. Dotknięty był do głębi duszy. Odrzuciła go. Śmiała go odrzucić dla innego. I dla kogóż to? Z kimże wreszcie rywalizuje? Z jakimś tam graczem, warjatem!...

Przypomniała mu się własna, triumfalna mina, z jaką się oświadczał. Hańba! Dostał kosza jak smarkacz. Aż zęby zacisnął ze wstydu. O nie! Dosyć tego! I sam sobie winien. Bo nie trzeba było się roztkliwiać, kie-



dy mu sama szła w ręce. Trzeba było brać. Brać i trzymać. Nie mówiłaby wtedy o mężu. Wszystko byłoby jasne i proste, według jego woli. A teraz cierp!

Zwarł się tedy w sobie i cierpiał w milczeniu i gniewie. Chciał zapomnieć. Widoku jej unikał jak ognia.

Zagabnęła go kiedyś jednak wprost na ulicy. Czatowała dość długo. Oddała anonim Oli, prosząc, by ją od tych przykrości uwolnił. Odpowiadał monosylabami. Błagała wzrokiem, by przecież coś powiedział, jakoś ją pocieszył. Milczał on z kolei. Obrzydzenie do tych kobiecych spraw stłumiło w nim nawet litość. Ani dbał o łzy w olbrzymich oczach. — „Kapie, jak z zepsutego kranu“ — utwierdzał się w zaciętości. — „Wszystkie jednakie“. — Pożegnał się jak najszybciej. I tak już miało trwać.

Przeciagnąwszy się, aż stawy trzasły, Stefan rzucił wyliczenia i ruszył na owe zalane poddasza. Święto — lokatorzy powinni być w domu.

Szło się tam przez kuchenne schody, przy których windę skasował oddawna. Im wyżej, tem mocniej zalegały kłatkę zapachy kuchen-

ne i ów specjalny zaduch biedoty. Gnieździła się tu w marnych pokoikach inteligentna i rzemieślnicza nędza. Urzędnicy prywatni, szwaczki, emeryci, wynalazcy, łaciarze... Ci jeszcze prowadzili gospodarstwa.

Na piątym kuchnię miała tylko dozorczyńni. Piętro to obiegała wkoło przedługa i całkowicie ciemna kicha korytarza. Według tradycyji mieszkańców paliły się tu ongiś, przed wojną, różki gazowe. Dziś przerywały jednostajny mrok tylko wyloty klatek schodowych i tu i owdzie otwarte drzwi do „pokojów“.

Przewróciwszy ustawiony na drodze kubeł z pomyjami, Stefan posuwał się dalej omackiem ku owym zbawczym drzwiom. Niewiele to pomogło. Klitki były puste, zostawione otworem do sprzątanania. Zresztą nigdzie żywej duszy. Cisza jak w domu umarłych. Namacawszy jakąś wystającą klamkę, Stefan nacisnął ostrożnie. Zalał go potop światła z olbrzymiego okna. Pracownia malarska. Stojące przed stalugami drabisko gwazdało napamięć jakąś nagość żeńskiego rodzaju. Na Stefana spojrzął okropnie.

— Nie przeszkadzać! — ryknął. — Do cholery z panem!



Znów ciemność. Nowa klamka. W maleńkiej kliteczce tkwiły tu nad niemalowanym stołem dwie młodzieńcze głowy, zatopione w rozłożonych księgach. Ona, śliczna brunetka, żydówka, on—blondas konopiasty o energicznych rysach. Tłumaczył coś tak gorliwie, że czoła ich stykały się prawie. Nie widzieli nic wokół.

— Przepraszam—rzekł Stefan—że przeszkadzam, ale...

Odskoczyli od siebie jak oparzeni. Blondas nastroszył czuprynę jak Reymont i wrzasnął w wielkiem zmieszaniu, a groźnie:

— Co tu przepraszać! Nic złego przecie nie robimy!

Dziewczyna spłonęła na to jak ogień. Stefan uśmiechnął się serdecznie (oto gdzie kwitną sarońskie róże...) i rzekł:

— Ja też nie w tej myśli wcale... Tylko gdzie tu służąca?

Student odparł pochmurnie:

— Niech się pan trzyma prawej ściany. Będzie zakręt. A tam już widno, bo schody.

Idąc we wskazanym kierunku, Stefan natrafił rzeczywiście na jakąś istotę ludzką, udzielającą właśnie ścierką wskazań moral-

nych gromadce brudnych bębnow. Imość przypominała wyglodzoną wiedźmę. Ubranie na niej było w stanie szczątkowym. Spojrzała na Stefana ze wstrętem.

— Czegój to?

— Pokażcie no, kobieto, gdzie dach przecieka.

— A pan niby co? Bo różne się tu takie włóczą...

— Administrator tutejszy.

Wysoka godność kamieniczna nie zrobiła na jędry najmniejszego wrażenia. Wszystko jej, widać, na świecie było obojętne. Otarłszy ręce w lachmany fartucha na znak, że zrozumiała, groziła wychudłym palcem najstarszemu z dzieciarni.

— To ci powiem, Franek, że jak mi raz jeszcze ruszysz kartofla bez matczynego pozwolenstwa, to gnatów nie pozbierasz po stacji. Pamiętaj, śmierdzielu jeden! Świętyby na wasze kałduny nie nastarczył!...

Chłopak, na znak pokory, wbił palec w nos tak głęboko, iż, zdało się, okiem mu wyjdzie. Wtedy ruszyli.

Dach przeciekał właśnie w pokoju obok studenta. „U pana Gnatowskiego, z gazyty.



Pies nie człowiek, jedno słowo“,—objaśniała jęzda.

Weszła, rozumie się, bez pukania, jak do stajni.

— Pukać! pukać! — odezwał się natychmiast z wnętrza głos skrzeczący i wściekły.— Nie wie Marcinowa, że pukać? Pierwszy rok tu mieszkam, czy piętnasty?

— Na moje skaranie...

— Skaranie, czy nie skaranie, a słuchać, bo ja tu pan, nie Marcinowa! Na swoich śmieciach, na swoich...

— I pewno, że na śmieciach. Od roku nie sprzątańe. Tfu!

— Bobyście pokradli, wszystkobyście zabrali, ja was znam. Na to tylko czekacie, że bym sprzątać kazał. A ja nie, Marcinowo, nie; uparłem się, nie dam sprzątać, choćbyście skiśli...

Stefan rozglądał się ciekawie, coby też z tego pokoiku ukraść się dało. Nic podobnego nie widział. Poza żelaznem łóżkiem, krzesłem, „prymusem“, oraz resztkami jądła na oknie stały tu tylko rzędem stoły, zawałone papierzyskami do pół wysokości ścian. Zre-sztą nic. A nie, owszem: pod piecem tkwił

szereg obrazów w złożonych spelzłych ramach. Z pierwszego, obróconego ku widzowi, spozierał jakowyś kasztelan czy wojewoda w polskim stroju ze wstęgą Orła Białego na piersi. Portrety rodzinne.

Zaraz też Stefan spojrział uważniej na pana Gnatowskiego, szukając podobieństwa rysów z owym dygnitarzem z pod pieca. Nie było żadnego. Gospodarz był malutki, szczuputki i wysuszony jak mumja. Pod niespokojnymi oczkami miał zamiast policzków, głębokie doły, z których — rzecz można — zwi-sały ku szczękom płaty skóry zniszczonej i wyżółklej. Skończył właśnie połajankę z Marcinową, a dostrzegłszy ciekawskie zerkania Stefana ku portretom, chrząknął życziwiej.

— Mój prapradziad, Gnatowski, kasztelan chełmiński—objaśniał odniechceni.—Za króla Stanisława...

I zaraz zaczął odwracać portrety ku światłu, jak z herbarza wyliczając stolników, oboźnych, starościny i mieczników. Skończywszy westchnął.

— Ostatni jestem z rodu — stwierdził z melancholją.



— Zalewa tu pana podobno—zwrócił się Stefan ku sufitowi, pośrodku którego widniała olbrzymia plama jak mapa Atlantydy.

— A zalewa—zgodził się dość obojętnie. — Nicby mi to wreszcie nie szkodziło, tylko rękopisy mokną—wskazał szerokim gestem na zawalone stoły.

Stefan biegł wzrokiem za ręką z przestraszonym.

— Czyżby pan sam zapisał te foljały?

— A któżby? Czterdzieści lat pracy. Wszystko w to wpakowałem: i szczęście osobiste i zdrowie. Ale też zebrało się dosyć: nie zmarnowałem życia.

Uderzając dłonią po plikach, aż bił z nich żółtawy kurz, wyliczał z dumą:

— To dramaty historyczne, tu powieści obyczajowe wiejskie, tu współczesne, tu dzieścię tomów nowel, tu rozprawy filozoficzne, tu...

— Gdzież pan drukuje to wszystko? — przerwał Stefan.

— Drukuję?—powtórzył ze wzgardą. — Drukuję? Nie, panie, Gnatowski nie drukuje. Za dobrze znam te stosunki, redakcyjne i wydawnicze. Dość mam szkalowań, zawiści, bru-

dów... Kiedyś, po mojej śmierci. Wtedy się dowiedzą, czem byłem dla ludzkości. Osobistych korzyści się zrzekam. Dziś pilnuję tylko, żeby nie rozkradli.

— Aha, żeby *tego* nie rozkradli—domyślił się Stefan z podziwem.

Wrócił też odrazu do celu swojej wizyty. Na wzmiankę jednak o mularzach pan Gnatowski wyraził głęboką niechęć. Głos stał mu się znów skrzeczący i opryskliwy.

— Nie chcę, panie, mularzy; nie chcę — machał drobnymi rączkami. — Przyjdą chamy, poprzewracają, pokradną. Nie chcę!

— Co znowu! Przeniesie pan sam, choćby do sąsiada.

— Do sąsiada? Nie chcę sąsiadów. Gorszy zły sąsiad od rany. Tak dawniej mówiono. A ten tutejszy sąsiad—młokos. I młokos niemoralny. Dziewczęta sprowadza.

Z poza drewnianej ściany ozwał się wzbudzony głos blondasa:

— Patrzcie go! Sam podgląda ciągle, jak się z koleżanką ucze. Dziurkę wywiercił w ścianie! Świdrem!

Pan Gnatowski zarumienił się gwałtownie.

— Kłamstwo! — wrzasnął. — Dziurka



oddawna była! Od obrazu! I wcale wylotu nie ma!

— Bo zaklejam! — ryczał blondas. — A pornografii całe stopy trzyma! Mówi, że rękopisy!

Pan Gnatowski podniósł rączki ku niebu.

— Kto widział?!

— Marcinowa!

— Okradną! Okradną! Jakbym widział!...

Już przewracają!

Za ścianą, pod wpływem róży sarońskiej, mruknięto już tylko pojednawczo:

— Stary warjat!

Stefan wycofał się również z pośpiechem, uzyskawszy od dziwaka zgodę na tynkowanie sufitu byle w jego obecności.

Uporawszy się szczęśliwie z ciemnością, zstępował już ze schodów, gdy na zakręcie mignęła mu znajoma sylwetka. Ramiona podniesione, głowa wciśnięta w kark. Obrócił się. Tam do djabła, koleżka Schleifstein! Ów poznał go również odrazu.

— Makomaski, a wy tu skąd?

Kolegowali w szkołach jeszcze i wówczas łączyła ich szczególna przyjaźń. Schleifsteina, zgniławego i urodzonego nieszczęśnika,

ciągnęło coś jak sznurkiem do Stefana. Syn ubogiego czapnika odczuwał swą nędzę, chuderlawość i żydostwo szczególnie boleśnie wobec zamożnego kolegi. Wzamian za podziw Stefan otaczał go łaskawą protekcją. Wprowadził go nawet do domu, do ciotki, która przecież kręciła głową na te amicycje. Rozstali się dopiero po maturze. A jeszcze w Niemczech, za studenckich czasów, Stefan pomógł głodomorowi przy spotkaniu. Nie zbliżyli się jednak. Schleifstein tonął już wtedy w rosyjsko-żydowskich konspiracjach, w środowisku, którego Stefan instynktownie znieść nie mógł.

— Tu mieszkam—mówił Schleifstein — w waszym domu. Na piątem. Wstąpcieź na chwilkę.

— Że też nie zauważyłem was nigdy na liście lokatorów...

— Ba! Zmieniłem nazwisko.

Otworzył jakieś drzwi i wszedł pierwszy. Mansarda była tak niska, że Stefan mimowoli schylił głowę. Z pod jedyne go okna uniosła się na ich spotkanie kobieta trzydziestoletnia może, skołtuniona i gorzka jak piotun. Semitka. Oczy miała smutne i złe zarazem.



— Moja żona.

Osoba spojrziała na mundur Stefana z ciekawością.

— Towarzysz? — pytała męża grubym szeptem.

— Nie. Tylko kolega. Porządny chłop.

Wzruszyła ramionami pogardliwie i zamilkła na mur. Stefan ją pomału żalował, że przyszedł.— „Djabli mnie tu przynieśli“, — myślał.

— A wy ciągle robicie w rewolucji, jak widzę—rzekł, byle coś powiedzieć.

Schleifstein zatarł chude ręce jak z mrozu.

— A cóżbyście chcieli, żebym robił? Paskował, albo do wojska wstąpił? — zaśmiał się na samą myśl.

W Stefanie się zagotowało.

— No, do wojska tobyście się istotnie nie nadali—stwierdził spokojnie.

Tamten nie spostrzegł nawet tej ironji. Jął opowiadać swe dzieje czasu okupacji i późniejsze już, za polskich rządów, z patosem i elokwencją. Siadywał po więzieniach, uciekał, znowu siadywał. Pracował zrazu w „Bundzie“, poczem rzucił tych „burżujów“ i osiadł na stałe w komunizmie. Nazwiskami

Lenina, Trockiego, Radka zachłystywał się w uwielbieniu. Na uspokojenie jakby dodawał przecie, że jest teoretykiem, literatem raczej, niż działaczem politycznym.

Żona słuchała tych wywodów w ponurem milczeniu. Dopiero na jakieś uboczne zdanie męża o wartości inteligencji, zachnęła się jak ukłuta.

— Zapominasz, że inteligencja, to *żaden* materiał do rewolucji. *Sabotaż* i *czarna sotnia*, nic więcej—syknęła jadowicie w stronę męża, a przecież wyraźnie do Stefana.

Od słowa do słowa wybuchła między gospodarstwem dyskusja zasadnicza. Okazało się, iż przekonania tych państwa są odmienne, i żony radykalniejsze od męża. Dyskusja stawała się coraz zażartsza; rzecz można, wyradzała się pomału w ordynarną kłótnię. Małżeństwo przyskakiwało do siebie z furją; konwersowano tyleż wymachiwaniem rąk, co krzykiem.

Dopiero gdy Stefan wstał, by się żegnać, przypomnieli sobie o jego obecności. Rewolucjonistka, czerwona teraz jak piwonja, a wściekła jak djabeł, kiwnęła mu tylko głową, ręki nie podając wcale. Zato Schleifstein wyprowadził go aż na schody.



— Dobra kobieta — mówił z gorzkim westchnieniem.—Brak jej tylko teoretycznego przygotowania...

Stefan nie umiał mu współczuć.

Obiad z Karusiem nie zrobił mu zwykłej przyjemności. Wachmistrz był dość pochmurny i widocznie się śpieszył. — Do znajomych—mówił. Do stróżowny Heli—domyślał się Stefan. I zaraz stanęła mu w oczach własna kłeska miłosna. Struło mu to humor do reszty. Położył się na kanapie i odrazu zasnął. Zawsze tak czynił w zmartwieniu.

Ocknął się dopiero na srogie dzwonienie. Goście. Tęgo wyspany, a więc dobrej już myśli, witał ich z kordjalną serdecznością. Sami koledzy. Kawalerja, artylerja konna, trochę sztabu. Jedyny cywil, cioteczny Janek, ginął wśród mundurów jak fiołek w zielsku. Wszędy szablika, czapczyśka, pasy; rubaszny śmiech, głosy jak sto djabłów: od komendy. Rangi niewielkie, bo wszyscy prawie ze wschodnich formacyj, ale miny za katy. Wojskowi.

Serce Stefana otwarło się naścieżaj jak stodoła. A i Kuruś, choć i w woźnieńskim mundurze, poweselał odrazu. Znali go ci pa-

nowie wszyscy, a i on znał ich dobrze, ho, ho! Oficerja, jak się patrzy.

Zaraz też po wódce gwar się wszczął niesłychany, a kiedy, śród kolacji, Stefan winem pił zdrowie armiji i Kijowa, wszystkie szklanki poszły o ziemię jak na rozkaz. Aż Ignac patrzył na to oniemiały, ze zgrozą. Złamano też odrazu wszelki porządek: każdy jadł, co chciał, pił, co chciał, a przesiadał się wedle woli i co chwila. Kuzyn Janek o słabej głowie nabrał animuszu jak nigdy. Płakał na swoje prawo, co był je właśnie skończył, i parł się do wojska. Za moment zresztą, ulapiwszy Stefana w jakimś kącie, pokazywał mu w sekrecie fotografię pewnej panienki. Zareczył się i prosi o mieszkanie w tym domu. Byłe jakie. Choćby dwa pokoiki.

Stefan obiecywał wszystko z miną rozradowaną i dobroduszną. Od chwili zdawało mu się, że ktoś dzwoni. U diabła, co za hałasy! Dzwoni, dzwoni na pewno. Ignac, otwierać! Znowu pewnie ta administracja! Zawsze muszą przeszkadzać.

— Jakiś pan do pana rotmistrza.

— Dawać go tutaj!

— Kiedy nie chce.



Stefan wyszedł sam. Maleniecki. Ale czego się, bestja, tak trzęsie?

— Ola się otruła! Doktora!

Po Stefanie przebiegł zimny dreszcz. Jego, jego wina!

Natychmiast wywołał wachmistrza.

— Kuruś! Gościom powiedzieć, że zaraz wrócę. Sam po doktora. I po naszymu, duchem. Żeby mi tu w kwadrans był.

Szedł za Malenieckim jak na ścięcie. Jego wina, jego wielka wina. Po jego liście.

Maleniecki skowyczał raczej, niż mówił:

— Wracam z posiedzenia przed chwilą... Ciemno. Idę do sypialni. Nikogo. Przekręcam kontakt w gabinecie... Jezus, Marjo! Leży na podłodze, głowa tylko o fotel oparta. Jezus, Marjo!...

— Czem?

— Veronalem. Na sen brała.

— Mleko jest?

— A bo ja wiem, nieszczęsny!...

Zastali ją w tej samej pozycji, na dywanie. „Nawet przenieść nie potrafił, niedojda“, — zgniewał się Stefan. I zaraz zamilkł w sobie. „Moja wina, moja bardzo wielka wina“. Skarzyła się leciutko, gdy ją nieśli. Wydało

mu się, że poprzez długie rzęsy spogląda nań z wyrzutem. Aż jęknął w sobie. Wmusił w nią trochę mleka, co znalazł, i gotował wodę na gazie. Maleniecki płakał z głową na kołdrze. „Com ja narobił, com ja narobił“—wzdychał Stefan.

Doktór zjawił się istotnie duchem. Niekontent, jakby oburzony, choć do stałej pacjentki. Wysłuchiwał Malenieckiego w milczeniu.

— Skąd pan wie, że veronal?

— Powiedziała.

— Aha! dobrze.

Pochwalił jeszcze Stefana za ciepłą wodę i zabrał się do roboty. Energicznie, prawie brutalnie, jak się Stefanowi zdawało. Wyciągnął z łóżka w koszuli, posadził na krześle, kazał Stefanowi trzymać. Płukał żołądek, jak kucharki płuczają butelki. Bez ceremonij. W pewnej chwili syknął, jakby z bólu, czy ze złości. Zaraz też przerwał operację.

— Dosyć! Przebrać i położyć.

Sam poszedł do sypialni pierwszy i dość długo szperał tam po tualecie i stolikach. Gdy już leżała spokojnie, zwrócił się do Malenieckiego dość ostro:



— Żadnych niepokojów. Pojutrze będzie zdrowa.

— Doktorze! doktorze! — jęczał dyplomata.

Stefan ucałował zwisającą z kołdry rączkę jak relikwję.

Wyszli razem z doktorem na ciemne schody. Eskulap wyraźnie był wściekły.

— Zapalki pan ma? — mruknął.

Przy niepewnym blasku długo poszukiwał chustki w kieszeniach. Miał okrwawiony palec.

— Ugryzła ze złości — objaśnił z gniewem.— Udaje tylko. Nic jej nie było i nie będzie.

Stefan osłupiał.

— Jakto? Więc się nie truła.

— Owszem. Wzięła o dwie pastylki więcej. Nie zaszkodzi.

— Skądże doktor wie?

— Bo znam te histeryczki. Na tualecie, za lustrem, znalazłem resztę. Sam ordynowałem. Wiem.

I dodał jeszcze dla Stefana:

— A drugi raz proszę swego woźnego nie przysyłać. Chamisko. Po policję zadzwonię.

Stefan nie próbował się tłumaczyć. Był ogłupiały i szczęśliwy nad miarę, że się tak skończyło. „Dosyć tych małych historyj“, — myślał z abominacją.

Mimo próśb Malenieckiego nie poszedł tam nazajutrz, ani na trzeci dzień.

Dostał wtedy bilecik z jednym jedynym wyrazem:

„Podły“.



## VII.

### KŁĘSKA.

Jak piorun spadła na miasto klęska. Ani się kto spodział, ani dojść mógł przyczyny. Zdawało się, iż, mimo wojnę, życie wraca do normalnego stanu, iż po długim omdleniu podnosi się i rozkwita z nieznanym dawniej przepychem... A tu masz! Odwrót z pod Kijowa, przerwanie frontu na północy, panika na całej linii — moskale w Grodnie, w Brześciu, pod Kowlem!...

Od półtora prawie miesiąca ćwiczył Stefan ochotniczy pułk jazdy. Roboty miał po uszy, do Warszawy wpadał jak po ogień, w służbowych tylko sprawach.

Aż kiedyś w pierwszych dniach sierpnia przywiózł mu wysłany do miasta kuzyn Janek, dziś ułan w drugim szwadronie, wieść hiobową: Rudzki kona. Zaraz też, korzystając z ekwipunkowych niedomagań, kazał Kuruśowi zaprząć parę do bryki, zdał do-

wództwo, komu należy, i poleciał na łeb, na szyję. Przypomnił mu się ostry nakaz Rudzkiego, by, skoro straci przytomność, siedzieć przy nim dniami i nocami... Gdzie tu siedzieć? Wymarszu spodziewano się lada godzina... Chyba że jakoś ciotkę zainteresuje...

Mimo smętne myśli, uderzył go przecie odrazu zmieniony wygląd miasta. Sklepy świeciły pustkami; niektóre zabite były na dobre: „z powodu wyjazdu właściciela na front“ — głosił napis. Połowa chyba ludności męskiej chodziła w mundurach lub przynajmniej z ochotniczą opaską.

Ulicami waliły bez przerwy samochody ciężarowe i zwykłe, zawsze pełne wojskowych. Na chodnikach i murach widziałeś wszędzie czerwoną farbą znaczone napisy: „idź na front!“ Place pstrzyły się wprost od bojowniczych plakatów, przeraźliwie nieraz komicznych.

Jezdnią przeciągały co chwila oddziały młodziesieńskich zwykle chłopców w mundurach, maszerujących kiepsko, choć z pieśnią na ustach. Ludność przyglądała się im z niedowierzaniem, z pełną litości sympatją i nieśmiałą nadzieją. Sędziwe panie żegnały tych



malców znakiem krzyża. Wytwarzało to nastrój nabożny i smętny, jak na pogrzebie.

Wogóle warszawiacy poszarzeli jakoś i przymilkli. Nawet w śródmieściu nie widać było eleganckich strojów. Jakby skutkiem cichej umowy wszyscy przyodziali się naraz ubogo i nędznie. Na „maciejówki“ zapanowała najwyraźniej moda. Okrywały dziś głowy, którym raczej cylinderby się należał. Surowo było jakoś, szaro i beznadziejnie.

Kuruś obrócił z kozła ku Stefanowi pogardliwie uśmiechnięte oblicze.

— Boją się cywile, panie rotmistrzu. Jak w Odesie.

— Boją się — powtórzył Makomaski.

Koło dworca Wiedeńskiego musieli przeczekać chwilę, taki tam panował gwałt i zator. Cały plac, aż hen głęboko w Aleję Jerozolimską, przepchany był dorożkami, platformami i ludźmi. Potworny zgiełk, wrzask, klątwy i nawoływania czyniły z tego miejsca istne piekło. W gorącym słońcu buchał stąd w niebo surowy zaduch końskiego i ludzkiego potu. Ogólny przerażony jakiś pośpiech sprawiał, że nikt nie mógł się tam ruszyć ani wtył, ani naprzód. Bezradni policjanci rzucali się

w tym tłoku jak szczupaki w sieci. Pachniało tu już wyraźną paniką i ucieczką.

Jadąc dalej śródmieściem, Stefan podziwiał nieprawdopodobne wprost zaśmiecienie ulic. Nikt tu chyba nie sprzątał od tygodnia. Papierzyska, odpadki, gazeciska, kał koński, całe pokłady wybrudzonej słomy... „Ładnie się musi dziać i w moim domu“—myślał— „jakbym już widział Wojciecha z założonemi rączkami“...

Jakoż nie omylił się wcale. Paskudztwo przed domem przechodziło wszelkie pojęcie, a bramy nie trzeba było otwierać wcale, gdyż stała gościnnie otworem najwidoczniej od białego rana.

Wjazd dwukonnej bryczki sprawił efekt tem większy, iż podwórze pełne było służby i wyrobniczej ludności z suterren. Ktoś czytał głośno poranny komunikat; ogół komentował go wśród westchnień i okrzyków. Pod oknami pana Herkla jakieś tęgie chłopczyisko po cywilnemu w wojskowej czapie promenowało ślicznego wałacha pod siodłem.

Wojciech przydyrdał jak gradowa chmura. Humoru nie miał zupełnie. Na ostre rekry-



minacje Stefana z powodu brudów, wzruszył tylko ramionami:

— E, panie administratorze, co tu sprzątać? Zginęliśmy i tyle. Przyjdzie moskal, to i sprzątnie.

Kuruś, który, odprzegając, usiłował nie patrzeć w stróżowskie okna, skąd już Helka kiwała nań radośnie, splunął teraz na półtorej długości i rzekł surowo:

— Starzyście, a byle co gadacie! Strachy was w tej Warszawie oblażyły. Ten wasz moskal niech się lepiej miarkuje, co by portek nie pogubił, jak się do niego weźmiemy. Wiecie?

Stróż wykrzywił się nieufnie.

— Takie to Józefowe gadanie. Portek nie pogubił... Tu z naszych niejedną ziemię gryzie.

Wachmistrz spojrział nań ostro i zgóry.

— Od tego i wojna. Jak komu padnie. A ten wasz moskal gnatów nie pozbiera, to wiedziecie. Jeszcze on pana rotmistrza w polu nie widział, a choćby i mnie. Zobaczysz jucha.

Zaraz też jął ostro pokrzykiwać na konie:

— Nastap się! Nastap się, psiakrew!

Nawpół przekonany, Wojciech nie zrzekł

się przecież ostatniego argumentu, *ad hominem*:

— Po prawdzie, jak tu ma iść, kiedy co najęźszy chłop to od wojska ucieka. Abo to taki windziarz pójdzie? Dzieci to idą, mój Wicek się wyrywa, ino taki byk to nie..

Stefan spojrział jeszcze z ciekawością na przeprowadzanego wałacha:

— Czyj koń?

— Pana Herkla.

— Herkla?—zdziwił się Stefan.

— A Herkla. Codzień na nim jeździ. I ubranie wojskowe też już ma. Ciągłe się o pana administratora zabija.

Stefan ruszył właśnie do siebie, gdy jakiś niewielki żołnierz z piechoty oddał mu honory tak siarczyście, jak jenerałowi. Stefan spojrział i zdziwił się setnie. Tam, do kroćset—toć pan Tylicki we własnej osobie, choć i w mundurze. Pan Tylicki, dawny administrator, właściciel domu handlowego „Witold Tylicki i S-ka“. Nawet z pod czapczyska starego, jak u inwalidy, sterczą te same rudawe kłaki nieposłusznych włosów?

— Pan Tylicki! W wojsku! Jakże się pan ma?



Tylicki wyprężył się niesłychanie wojskowo i raportował:

— Melduję posłusznie panu rotmistrzowi, że świetnie. Z początku było ciężko, ale furda! Już trzy tygodnie służę—rzucił z pychą.

— A dom handlowy? Interesa?

— Melduję posłusznie panu rotmistrzowi...

— A nie meldujże pan ciągle. Mów po ludzku.

Pan Tylicki jął mówić zwyczajnie, ale pozycję „na baczność“ zachował dla własnej, widać, głębokiej przyjemności.

— Interesa? — skrzywił się. — Jakie tu dziś interesa? Wagon cukru złapali mi właśnie bolszewicy w Kowlu i szlus. Plajte. Bez grosika i same długi: taki to u nas zysk z handlu. Więcem się zaciągnął, bo ktoś musi i tej Ojczyzny bronić...

— A żona, dziecko?

— Przecież ich do pułku nie wezmę. Odesłałem do teściowej na wieś, na przechowanie. Niech się martwi. Od tego teściowa. Albo jest wojna, albo nie.

Uśmiechnięty był od ucha do ucha. Stefan powziął pewność, że katastrofa ogólna

wcale poszła panu Tylickiemu na rękę: zawikłane jego interesa wyraźnie wymagały rozcięcia mieczem. Lekkomysłna duszyczka napawała się przytem nowością sytuacji.

— Jutro na front, panie rotmistrzu. Mam urlop do wieczora i właśnie chciałem się z moją szarżą... tego... zabawić się trochę. Gdyby tak i pan rotmistrz na kieliszeczek? Jedyny, co?

Grzecznie odmówiwszy, Stefan skierował się na schody. Klatka schodowa zaśmiecona była, jak ulica i podwórze. Utrzymywanie czystości należało do obowiązków windziarza, który na widok administratora uniósł się właśnie z ławki ciężko i niechętnie.

— Cóż tu znowu za brudy?! Od kiedy nie sprzątaane?!

Drabisko obejrzało się wokół zezem.

— Sprząta się—Igał obojętnie.

— Jak mi nie sprzątniesz do wieczora — to precz. Dziś jeszcze. Słyszałeś?

— Słyszę.

Stefan przyjrzał mu się lepiej. Chłopisko było istotnie naschwał, a rozleniwione do ostatnich granic. „Byk“—pomyślał za stróżem.



— Cóż to nie w wojsku?—pytał jeszcze ze wstrętem.

— W wojsku niby? *Przykazu* nie było.

— Prosić cię trzeba? Sameś to nie łaskaw?

Drab uśmiechnął się pod wąsem.

— A nie—rzekł zuchwale.

Stefan obrócił się szybko, czując, że jeszcze chwila, a strzeli draba w pysk jak w bęben. Ruszył do siebie po schodach.

Ignaca zastał w wybitnej panice.

— Państwo Strebel wyjechali, — meldował—mecenas Majewski także, i pan hrabia z przeciwka też. Wszystkie porządne państwo. Nawet cukierniarz z dołu też pojechał...

— I pan Kniedl także?

— Nie. Siedzi jeszcze. Ale pewno wyjedzie...—westchnął ciężko.

— Dokądże jadą?

— Do Poznania—sięgnął nosem.—Choć co najporządniejsze, to i zagranicę...

Poczem pytał sam nieśmiało i ze łzami w oczach.

— Czy to prawda, panie rotmistrzu, że oni zara do wojska wezmą?

— Kto? Kogo?

— Ano oni. Bolszewiki. Każdego.

— Pewno, że tak. Ciebie na generała. Wo-  
dy daj!

Umyty i w nowiutkim mundurze Stefan ruszył do intendenty. Zastał gwałt i żydowską gospodarzę. Nie upłynęło kwadransa, już pokłócił się tam z wszystkimi, jak klócili się zresztą wszyscy oficerowie frontowi. Tylko że Stefan wszczął istny rozruch. Siłą chciał wydrzeć, co mu było dla pułku niezbędnie potrzebne. Klął jak fornał, tupął, jak na parobków. Grożono mu doniesieniami i sądem, zaczęto spisywać jakieś protokoły. Porucznik z garbatym nosem, który go załatwiał, zdał sobie głos po pół godzinie i wrzeszczał już tylko rękami...

Na hałas jęły z uchylanych drzwi wyglądać umundurowane, a zawsze semickie postacie. Kiwwały głowami z dezaprobatą. Niezwykle sprężystym krokiem wkroczył wreszcie z dalszych sal porucznik Ligęza-Goldstein.

Zjawienie się tego gentlemana jaskrawo zmieniło sytuację. Wrodzony mu takt uśmierzył ogólne wzburzenie jak oliwa. Zaprosił Stefana do własnego gabinetu, obsługiwał go z wylaniem i dystynkcją.



— Dla pana rotmistrza wszystko znajdziemy—mówił.—Bo i dla kogóżby wreszcie miało być, jak nie dla pana? Makomaski musi dostać, choć brak wszystkiego...

Skarżył się na społeczeństwo, że nie dało pieniędzy w porę, żalił na sejm, że nie uchwalił kredytów...

— Co przyjdzie, rozchwytują z przed nosa. A tu skąd? Z zagranicy tylko... Żeby nie Francja, na workachby panowie jeździli i z luków chyba strzelali. Tak, panie rotmistrzu... A kiedyż w pole?

I nie czekając odpowiedzi, sam zawiadomił z westchnieniem:

— Podawałem się na front dwa razy. Pułkownik odmawia. Pan rozumie, tu tylko hołota, same żydy, a musi być przecie ktoś przyzwolony dla przyzwolonych ludzi. I mieszkania panu rotmistrzowi przypilnuję święcie...

Rozstali się prawie w przyjaźni. Stefan czuł już dla porucznika tylko życzliwość i szczerą wdzięczność. „Co tu gadać“, myślał, „każdy u nas, w Polsce, musi mieć swego „Ligęzę“... To trudno“.

W drodze do sztabu napotkał na ulicy spory oddział żołnierzy, prowadzonych dokądś

przez konwój żandarmerji. Dezerterzy z frontu. Mundury w strzępach, nogi bose lub owinięte szmatami, oczy gorączkowe, twarze wychudłe i zgębnione. Szli jak trzoda, z obojętną rezygnacją. Było im wyraźnie wszystko jedno. Były się najęść i wyspać. Żandarmi, dobrze odziani i wypoczęci, ponurzy byli jak i tamci. Z tłumów ulicznych raz wraz jęto podawać tym biedakom żywność i papierosy. W milczeniu. Żołnierze brali, nie dziękując, a jedli zaraz. Żandarmi nie bronili tego współczucia.

O paręset kroków dalej natknął się na zgromadzony przed jakimś sklepem tłumek. Na stopniach wejściowych siedział kłęb wojskowych łachmanów z karabinem w garści. Czapki nie miał wcale, dziecięcą prawie główinę opuścił na kolana i tak trwał. Trącano go — kiwał się, pytano — nie odpowiadał, choć oczy miał szeroko otwarte. Stefan spojrzął w nie baczniej. Zastygł w nich wyraz bezgranicznego strachu.

Na pytania z tłumu Stefan machnął tylko ręką niechętnie. Znał te straszliwe spojrzenia dość dobrze: szok nerwowy.



— Policjanta wołać! Do szpitala — zakomenderował krótko.

Ktoś pobiegł spełnić polecenie.

W sztabie dywizji przyjęto go nad wyraz uprzejmie. Był to skutek zeszlotygodniowej rewji mustrowanego przezeń pułku. Wypadła, jak na tak krótki termin, świetnie. „Tyle w tem zasługi Kurusia, co i mojej“, myślał skromnie. Mimo tej skromności z rumieńcem przecie na twarzy przyjął rangę majora i łaskawe generalskie komplementy. Ruszyć miał na czele pułku za trzy dni. Na Budiennego. Gdzieby zaś się ów Budienny znajdował i w jakiej sile, objaśnić go w sztabie nie umiano dokładnie. Idzie na Zamość — i tyle. Poszuka go sam. Dano mu tylko mapy sztabowe i wyczerpujące wiadomości o naszych w tej okolicy wojskach.

— Sam sobie pan musi radzić, majorze. Taka to, psiakrew, i wojna! — mówił generał. — Wszystko z niczego i na chybcika. Trudno! A na pana liczę. Z Bogiem!

Stefan brzęknął ostrogami jak w tańcu. Strasznie mu to dowództwo zapachniało! Z radości zaczął przypuszczać, iż i z ciotką

mu się chyba powiedzie. Wszystko mu przecież idzie jak z płatka.

Ciotczysko spotkało go jak zwykle sztywno i nieprzyjemnie. Nawet z pewną jakby osobistą pretensją, która przezieriała przez zdania proste o odpowiedziach nieciekawych.

— Janek u ciebie służy?

— U mnie.

— I cóż?

— Nic. Zdrow.

Zapadło dłuższe milczenie. I nagle, bez żadnych wstępów, starsza pani wpadła nań ostro i napastliwie:

— Cóż wyście najlepszego narobili?

— Kto taki, ciociu?

— No wy, wojsko. Cóż to znów za cofanie, za klęski?

Zdziwił się. Próbował wykręcić się sianem, boć nie na dyskusje tu przyszedł.

— Jak to na wojnie — bagatelizował.

Przerwała mu ostro.

— Ja się tam na wojnie nie znam, ale widzę przecież, że uciekacie. Aż się za wami kurzy. Hańba! Wstyd! Inaczej to kiedyś bywało.

— Ciociu!



— Słuchaj, kiedy do ciebie mówię. Ja się tam bolszewików nie boję. Tyle w życiu przeszłam, że mi już wszystko jedno. Ale wy się boicie. Wy mężczyźni, wojsko. Uciekacie. I przed kim to? Przed obszarpańcami, głodomorami. Widziałam tych jeńców na ulicy. Zwyczajne kałmuckie gęby, nie żołnierze nawet z wyglądu. Jakieś dziady, biedaki...

— I nasze wojsko niewiele lepsze. Niech ciocia przez okno wyjrzy!

— A dlaczego nie lepsze? Czyja wina, jak nie wasza? Wojskowa?

Zaciekłość tej napaści jęła go nużyć.

— Ja tam już wystąpiłem z wojska od roku — mruknął niechętnie.

— To dlaczegoś wystąpił, kiedy takich widać, było potrzeba? To mój Miecio zginął zato, żeby było wojsko, a tyś wystąpił dla wygody? Gdzie tu ład? Teraz mi Janka bierzecie...

Dojrawszy lzy w surowych ciotczyńnych oczach, Stefan zrozumiał wreszcie. O Janka chodzi. Boi się staruszka. I pewnie — wojna nie matka; jak pogłodzi, to na śmierć.

Ale osobista wycieczka przeciw jego wystąpieniu ubodła go dotkliwie. W tej chwili do-

piero uczuł całą słuszność tego wyrzutu. Po-cóż bo wystąpił? Istotnie dla wygody. A iluż takich jak on? „Trzeba było siedzieć“ — skrzywił się sam na siebie w duchu.

Nieśmiało jął wyluszczać sprawę Rudzkiego. Staruszka słuchała w milczeniu; w milczeniu tak ciężkiem, że, mówiąc jeszcze, stracił przecież wszelką nadzieję. I oto naraz ozwała się krótko:

— Dobrze. Zajmę się twoim Rudzkim. Wzamian...

Schylił się ku jej rękóm w radości.

— Wszystko, co ciocia zechce. Moja ciociu...

— Słuchaj. Przysięgnij, że przypilnujesz Janka. Że mi nie zginie jak tamten. Tyś dowódca, od ciebie dużo zależy.

Zapewnił, że robi co się da. Że będzie go strzegł, jak oka w głowie. Niech tylko ciotka Rudzkiego weźmie w opiekę.

— Uważaj co obiecujesz. Na pamięć matki?

Aż go mróz przeszedł. Bó czy na wojnie jest jaka pewność? Ale cóż miał zrobić?

— Na pamięć matki.



W ciotkę odrazu wstąpiła zwykła energia.  
— Dziękuję ci. Poczekaj tu, przebiorę się i jedziemy. Dziś w nocy sama przesiedzę. Wezmę do pomocy Melankę, tę kuzynkę bez oka, pamiętasz? W ogień za mną pójdzie, bo musi. Pieniądze masz?

Wyjął książeczkę czekową i, czekając na ciotkę, podpisał całą *in blanco*. Cioteczysko wyszło za chwilę w czarnym kostjumie, skromna, dystyngowana i sztywna. Dama.

Gruby portjer w lecznicy powitał ich z pełną smętku uniżonością. Żałował, widać, grubych Rudzkiego napiwków.

— Źle z jaśnie panem — szepnął Stefanowi, wzdychając.

Istotnie bardzo było z Rudzkim źle. Poznnać to się dało odrazu po panującym w pokoju nieładzie i zachowaniu się licznych obecnych tam osób płci żeńskiej. Panie te popijały herbatkę wśród swobodnych szeptów na zaspanych okruszynami stole. Od łóżka, przy którym siedziała biała panna Marja, szło jednostajne chrapanie.

Stefan skierował się w tę stronę z sercem bijącym jak młot. Nachylił się nad chorym,

a jeszcze bał się spojrzeć. Chrapanie nie ustalo ani na moment.

— Nieprzytomny? — pytał pielęgniarke ze drżeniem.

Panna Marja kiwnęła głową obojętnie.

— Od tygodnia prawie. Po ostatnim ataku.

Spojrzał wreszcie. Jedno oko Rudzkiego było zamknięte ciężko, nieruchomo, już na śmierć. Drugie zato, przeraźliwie otwarte, w jakiś wybrany punkt skierowane, przeszyło Stefanowy mózg nawyloc. Aż jęknął. Straszliwy ten wzrok przebijał, przysięglbyś, sufit i ściany, przechodził przez cement i cegły jak przez szkło. Był okropny, srogi i nieludzki. Jego to, zdawało się, wysiłkiem i wolą podnosiła się co chwila potężna pierś w równomiernym chrapie, on to zwałił majora przy łóżku na kolana jak dziecko. Znalazłszy na kołdrze dłoń obrzmiałą i ciężką jak kamień, Stefan przytulił do niej rozpaloną twarz i zlewał ją w milczeniu gorącymi łzami.

Znów był małym chłopczykiem, co podziwiał ongiś Rudzkiego przemożność i władzę. A oto leży tu ten mocarz—jak zwalony dąb,



obojętny i na nic niebaczny. Na Stefana również. Jak ongiś, jak dawniej...

Wstał wreszcie i zaraz opanował go wstyd i gniew na obecność tylu obcych świadków. Ale już ciotka załatwiała się z gośćmi po swojemu.

— Proszę wyjść! — syczała groźnie. — Proszę wyjść natychmiast! Tu nie kawiarnia. Chory potrzebuje powietrza, nie gości. Że też panienska wpuszcza tyle osób — gderała na pannę Marję. — Proszę wyjść!

Paniusie wychodziły truchcikiem. Została tylko dama w kapeluszu z piórkami, którą Stefan pamiętał z pierwszej jeszcze u Rudzkiego wizyty.

Pani Micewiczowa obejrzała ją od stóp do piórek.

— A pani co?

— Ja? Kuzynka chorego. Moje prawo być przy nim teraz.

— Kuzynka? Krewni spotkają się u rejenta. Za życia pani nie wzywał, to i umrze bez pani spokojnie. A o zdrowie może się pani codzień dowiedzieć. Siedzieć niema poco. Opiekę ma.

Piórka zachybotwały się z uporem i nie wyszły. Ciotka aż poczerwieniała z irytacji.

— A, rozumiem — mówiła jadownicie. — Kuzynka. To pani, widać, za chorego płaci. Zaraz zapytamy doktora. Stefan!

Argument okazał się celny. Pani z piórkami sponsowała z kolei jak piwonja.

— Ubóstwo nie hańbi — rzekła dumnie i wyszła.

Stefan był teraz o Rudzkiego spokojny. Ba, w takich rękach. Ciotka i jego samego wyprawiła natychmiast.

— Nie masz tu poco sterczyć. Nie pomożesz, a ważniejsze sprawy ci powierzono, niż chorych niańczyć. Idź jeszcze do doktora i rozmów się. A Janka mi przed wymarszem przyślij.

Doktór nie dawał żadnej nadziei poprawy. Może za godzinę, może za dzień, za tydzień wreszcie. Atak przyjąć musi — i koniec. Nawet zawiadomienie, że rachunek ureguluje pani Micewiczowa, przyjął z obojętnością. Najwyraźniej i chory i cały zakład przestał go interesować. Sam natomiast rozpytywał Stefana chciwie o wojnę i o to „co będzie dalej“. Był w okropnym strachu. Broda mu się



trzęsła, gdy mówił „bolszewicy“. Brawurowych zapewnień Stefana słuchał z widoczną nieufnością.

Na korytarzu przed wyjściem natknął się Stefan na salutującego dryblasła w mundurze. Aha, sławny „siostrzeniec“ Rudzkiego.

— Panie rotmistrzu — mówił dryblas — ja w dziwnej sprawie do pana... Bo to, widzi pan rotmistrz, jestem w koszarach, bez grosza, a tu wuj nieprzytomny... Fatalna historia!

— Więc niby co?

— Ano gdyby wuj był przytomny, toby mi dał pieniędzy. Pan wie, zawsze dawał. A że pan rotmistrz się wujem opiekuje, więc...

— Więc co?

— ...Więc może mi pan rotmistrz da tyśiąc marek? — wypalił.

Bezczelność tej propozycji zabawiła Stefana. Bez słowa wyjął banknot i dał. Tylko już na ukłon nie odpowiedział mu wcale.

Gorące słońce na ulicy objęło go wściekłą pieszczotą. Aż się wzdrygnął. I zaraz napaśliwie sparzyła go myśl, co przysłała doń jeszcze tam, w sztabie. Za trzy dni rusza w pole. Na Budiennego. Może być tak, może być

i owak. „Wojna nie matka, wiadomo“ — powtórzył sobie z satysfakcją. Wobec tego musi ją zobaczyć, ją, Podhorecką, Dziunię. Do kata z dumą, z ambicją, z obrazą! Co mu tam! Za trzy dni wyrusza. Miałby sobie żałować?

Serce zatłukło się w nim niespokojnie. A jeśli wyjechała? Jeśli wyjechała? Właściwie dlaczego miała zostać? Powinna była wyjechać. Tyle ludzi wyjechało. Z pewnością ojciec ją wysłał. Z pewnością...

Wielkim krokiem wszedł do znajomej kawiarni i skierował się do budki telefonicznej. Zajęta, oczywiście zajęta. Jakieś żydzisko gada, pewno o złodziejskich interesach... Bodaj cię! Skończy, bestja, czy nie? Ależ gada, ależ gada! Przysiągł sobie, że go potrafi przy wyjściu. Wyszedł wreszcie. Stefan ani go już myślał potrać. Był mu wdzięczny jak bratu, że skończył.

— Hallo! Czy pani Podhorecka? Tak, tak, pani!... Jest? Proszę poprosić.

Jest. Jest. To się nazywa mieć szczęście!

— Hallo! Pani Podhorecka? Makomaski mówi. Za trzy dni wyruszam. Na Budiennego. Muszę panią widzieć. Dziś.



Głos w telefonie jakby się załamał. Milczy. Dlaczego milczy?

— Hallo! Pani Podhorecka? Tu ja, Makomaski. Dziś muszę panią widzieć. O szóstej? Dobrze. Może w Wersalskiej? Dobrze? Tak, będę szedł z domu. Więc o szóstej? Dziękuję.

Uff! Boże, jak na świecie gorąco! I w budce telefonicznej, i w cukierni, i na ulicy! Straszliwe gorąco!

Zaraz też rozpoczął bieżnię po mieście, żeby przecież do szóstej załatwić najważniejsze sprawy. Był w bankach, deponował papiery u rejenta, znowu wpadł do ciotki, gdzieś, po drodze do intendenckich składów, zjadł z Kurusiem obiad prawie na stojąco. Klócili się już obaj teraz z urzędnikiem o każde siodło i każdą parę ostróg, znów trzeba było wzywać łaskawej interwencji przyjaciela Ligęzy... brr! Zziajany i wściekły wrócił do domu przed samą piątą.

Tu już nań czekano. Co do osoby czekającego Ignac dawał objaśnienia mętne i wzgardliwe.

— Taki jakiś... Przez kuchnię przyszedł. Żyd chyba.

Koleżka Schleifstein. „A ten czego znów

chce?“ — myślał Stefan, wchodząc do gabinetu.

— Dlaczego przez kuchnię, kolego? Cemu nie od frontu? — pytał dość niechętnie.

Schleifstein przepłoszony był jakiś i surowy. Uśmiechnął się dość krzywo.

— Różnie się zdarza, kolego. Czasem od kuchni bezpieczniej. Wyłapują tu nas, widzicie. Komunistów. I po mnie już byli w mieszkaniu, tylko żem uciekł w porę...

— I cóż z wami robią?

— Ano, do obozu. Na medytacje — syknął z nienawiścią.

Zamilkli na chwilę obaj.

— Właśnie, kolego — zaczął Schleifstein — mam do was prośbę. Żebyście mi tu przesiadzieć pozwolili. Tu, u was, u wojskowego, nie złapią.

Stefan myślał dość długą chwilę.

— Dobrze — rzekł wreszcie. — Ale pod warunkiem, że przez cały ten czas ani palcem nie kiwniecie w tej waszej robocie. Dacie mi na to słowo. Nasze dawne ucziwe słowo koleżeńskie. Żadnych wizyt, listów, telefonów, żadnych porozumień.

Schleifstein zachnął się ze wzburzeniem.



— Jakto? Mam przestać działać? Teraz? Żartujecie... Kiedy wasz świat już się wali? Toć o to im właśnie chodzi! Nato mam obóz jeńców!

— Jak wolicie — rzekł Stefan zimno.

Schleifstein zmienił ton natychmiast. Długie żółte zęby wyjrzały mu z bladych warg w jadowitym uśmiechu.

— Wy się łudzicie, Makomaski — groził ze spokojnym gniewem. — Taki lokator, jak ja, w tych czasach, to nawet bardzo cenny gość. Namyślcie się, radzę. Za dwa tygodnie będziemy w Warszawie i wtedy...

Stefan roześmiał się serdecznie.

— Schleifstein, Schleifstein, nie strzście, bo już się boję... Strachy na Lachy, kolego! Za dwa tygodnie wióry się z tej hołoty posypią. Zapewniam was, że wióry.

— Zobaczmy — mruknął tamten, wstając. — Dziś z was się sypią.

— To, to... Dziś z nas, jutro z was. Jak to na wojnie. A gdzieżbym ja konspirację przeciw Polsce we własnym domu... Ja, oficer, zrozumcie, Schleifstein. Wolne żarty!

— Zawsze u was ta Polska... Żalu zresztą chować do was nie będę.

Makomaski poklepał go po ramieniu z dobroduszną protekcją.

— Nie chowajcie, Schleifstein, nie chowajcie, bo i poco? Prawda?

Pożegnawszy koleżkę, Stefan długo miał w zębach srogie przekleństwo. „A cymbał! Mnie, Makomaskiemu, dowódcy pułku, takie propozycje! Jabym się tam bił, a onby mi tu kontrofensywę prowadził! Dowcipniś!”

Zabrał się teraz do przeglądania papierów w biurku wedle dawniejszych Rudzkiego zleceń.

Zaraz mu jednak przerwali. Tym razem gruby szewc z dołu. Złożył na stole jakiś wielki i solidnie opakowany przedmiot, otarł chustką czerwoną szyję i witał Stefana z kordjalną serdecznością.

— Ja tu do pana rotmistrza. Jakże zdrowie? Kiedyż zaczniemy bić tych psubratów? Bo już mi się gazety czytać przykrzy. Bić, panie rotmistrzu! Naco tu czekać? Każka już sobie oczy wyplakuje, do Poznania się wybiera, a ja mówię jedno — bić!

— Nie boi się pan? — uśmiechnął się Stefan.

— Żebym się zupełnie nie bał, to nie, ale



żeby bardzo, to też nie. Bo choćby Warszawę i wzięli, to nie wierzę, żeby na długo. Bo i kto weźmie? Takie chałuje? A tu przecie wojsko się tworzy nowe, mało to tego? A te draby — Poznaniaki nie przyjdą? A te francuzi, a te tanki, to nic? Furda, bracie! Nie dadzą rady, tak mi Boże dopomóż! Nie, panie rotmistrzu?

— I pewnie, że tak.

— Ano, widzi pan. Choćby miasto i wzięli, toć go nie ugryzą, ani nie spalą. Rabunki będą, musowo, alem się zabezpieczył. Całą skórę schowałem, że sam djabeł nie znajdzie. Zapasy na głód też mam. A zresztą, co mi wezmą? Tę trochę gratów? Poco?

Od chwili już rozpakowywał ciężki obiekt. Ze zwojów papieru wyjrzał wreszcie żółty but kawaleryjski. Szewc jął potrząsać nim w powietrzu z triumfem.

— To ci skóra, panie rotmistrzu! To ci jucht! Po szosie w takich tańczyć — szosę djabli wezmą, a butom nic. A jak szyte, co? Rąbać juchę można — nie puści! To jest coś, to jest robota! — cieszył się podziwem Stefana. — Pięćdziesiąt par takich wywaliłem dla pana rotmistrza!

— Dla mnie?

— A dla kogożby? Słyszę, że pan pułk sztyftuje. Czasy dla narodu ciężkie. Mówię do Każki: „Wszyscy pieniądze na pożyczkę dają. Zieliński dał, Strump dał, nawet ten kultura Jagodziński... Dać trzeba. Tylko że dam nie gotówką, a butami, bom szewc“. Każka w krzyk, jak to ona, że wszystko rozdram, że dzieci na żebry pójda, ale widzę, że tak tylko krzyczy, dla zwyczaju. Sama widzi, że dać trzeba. Myślę sobie, narobię rotmistrzowi butów. Bo, widzi pan, do urzędów to ja nijakiej wiary nie mam, jeszcze z dawnych czasów, choć to teraz i wstyd. A pana znam, wiem, coś pan zacz. Niech pańskie draby noszą na zdrowie!

Tu cisnął but na stół z wielkim łomotem. Zaraz też ucałowali się z dubeltówki.

Ledwie drzwi się za szewcem zamknęły, gdy wleciał raczej, niż wszedł młody pan Herkel. Był w mundurze i w butach z ostrogami, któremi się zaraz w dywanie zaplątał. Wbrew przyjętemu mniemaniu, że mundur przystraja mężczyznę, pan Herkel wyglądał w nim jak oskubane kurczę: mały, w piersiach wąski, na nieco krzywych nogach. Animuszu miał jednak sporo: wyspał się, widać, setnie.



— Sługa pana rotmistrza! — wołał radośnie od progu — Herkel. Pan pamięta? Gdzieżby tam zresztą można o mnie zapomnieć w tym domu... Czatuje na rotmistrza dwa tygodnie, dniami i nocami!

— O cóż chodzi? — rzekł Stefan niechętnie. — Znowu o skargi lokatorów?

— Ale! Siedzę teraz jak trusia. Pobrali mi, Bogu dzięki, gości do wojska. Spokój. I sam chcę wstąpić. Dlatego właśnie na pana czatuje. Mundur mam, broń mam, konia mam — widział pan? — pierwsza klasa. Chcę, żeby mnie pan wziął do swego pułku.

Stefan przyjrzał się chuderławej postaci wzgardliwie.

— Niby jakto? Na ułana?

— To właśnie. Na ułana.

— Służył pan w kawalerji?

— Dotąd Bóg strzegł. Ale teraz chcę służyć. Nie będę przecie siedział, jak baba za piecem. I odpocznę po tej Warszawie.

Stefan przyjrzał mu się raz jeszcze i rzekł sucho:

— U mnie pan służyć nie będzie.

Herkel aż się po biodrach klasnął z rozpaczy.

— To pech, psiakrew! — wrzasnął. — Znowu nie! Jakby się zmówili. Nie i nie. A liczyłem na rotmistrza jak na Zawiszę. Cóżem to, od innych gorszy, u diabła?! Rotmistrzu! Toć broń daję, konia daję! Przecież do piechoty nie wstąpię!

— Jak pan sobie chce. Niech się pan zresztą do przyjaciół zwróci.

— Do przyjaciół, właśnie! — rzekł Herkel z goryczą. — Pili u mnie, jedli, spali, a dziś, co którego ruszyć, śmieje się tylko. Żaden nie chce wziąć. Nawet protekcja nie pomaga. Całe życie dotąd wszystko przez protekcję robiłem, a tu i protekcja się wściekła. Djabli!

Ktoś zadzwonił u wejścia. Stefan spojrzął na zegarek nieznacznie: za kwadrans szósta. Kogóż tam znowu niesie?!

Ignac wychylił z przedpokoju smutną twarz.

— Jakaś panienka — westchnął.

Tego jeszcze brakowało. Panienka. Co znów za panienka? Panna Wanda chyba? To w porę, niema co.

Ruszył do przedpokoju ze złością i — osłupiał. Stała tam pani Podhorecka. Wszyst-



ka krew zbiegła mu z twarzy, gdy ujrzał ją tak nagle. Ujął ją za rękę jak małą dziewczynkę i prowadził do stołowego. Po drodze mówił tylko cichutko:

— Dziunia! Dziunia. Przyszła przecież. Dziunia.

Posadził ją przy dużym stole i wpatrywał się w przybladłą twarz o spuszczonej rękach. Z chciwością słuchał nieśmiały wyrazów:

— Wiedziałam, że zadzwoni. Długo czekałam. Ciagle.

Przypomnił sobie Herkla. Wielkimi krokami wszedł do gabinetu.

— Herkel! — wrzasnął gwałtownie.

Tamten aż skoczył z kanapy.

— Biorę pana. Jutro o trzeciej ruszamy. Z tego podwórka. A zjawić mi się trzeźwy. Jeździć pan umiesz przynajmniej?

Herkel wywalił nań oczy jak latarnie.

— Jeździć, panie rotmistrzu? — bełkotał zaskoczony. — Umiem. Teraz mnie uczyli w tattersalu. Dwa tygodnie. I strzelałem kiedyś dużo... z flaubert'u...

— I jakby teraz dopiero oceniwszy łaskę losu, za głowę się porwał z radości:

— O jak Boga Kocham! Panie rotmistrzu! Za ordynansa choćby, byle butów nie czyścić! Panie rotmistrzu!

— Dobrze, dobrze... Jutro o trzeciej. Pamiętaj!

Za drzwiami już prawie Herkel zmrużył nagle jedno oko.

— A zawsze kobieta, rotmistrzu... Co?

Stefan zatrzasnął mu drzwi przed samym nosem.

Zaraz też wyprawił Ignaca na miasto.



VII.

WOJENKO, WOJENKO...

Upłynęło już kilka dni, jak Stefan „wylądował“ z pułkiem w Izbicy. Droga przeszła mu względnie szczęśliwie: ani „Antki“, ani „jaśnie panowie“ nie dopuścili się żadnych o sąd polowy wołających wykroczeń.

Z tych to dwu pierwiastków, w równej prawie ilości, składał się pułk Makomaskiego: z „Antków“, czyli miejskich i podmiejskich obdartusów, obwiesiów bez czci i wiary, wesółych nicponiów i złodziejasków, oraz z „jaśnie panów“, okolicznej młodzi obywatelskiej, buńczucznej, zawadjackiej i niesfornej, jak polspolite ruszenie. (Tylko do szwadronu „maszynek“ zdołał Stefan wyprosić w dywizji nieco wysłużonego żołnierza).

Oba te pierwiastki traktowały się wzajemnie z wysoką pogardą i oddzieliły się natural-

nym biegiem rzeczy, jak oliwa od wody. Dwa pierwsze szwadrony były jaśnie pańskie, reszta zapchana Antkami. Antków polecił Stefan specjalnej opiece Kurusia (ciężka to była opieka!), jaśnie panów zachował dla siebie.

Miał też z nimi od początku Krzyż Pański. Siaki taki dziedzic, co własne trzy konie pod siodłem do plutonu przywiódł, a „sąsiadów“ miał cały szwadron, salutował własnemu porucznikowi jak z łaski i do wachmistrza przez „wy“ przemawiał. Ba! toć samego dowódcę chciało to bractwo za „swojego“ uznać, jako że Makomaski i też z dziedziców.

Tylko że Stefan na lep się nie wziął i „urodzonych“ traktował zimno i, jako władza, pogardliwie. Gnębił ich ćwiczeniami tak, że buńczuczność parowała z nich jak w łaźni. Spali też chłopcy co wieczora spokojnie i łagodnie, a niejeden, co słabszy, rano nawet nie mógł się obolałych gnatów dorachować z umęczenia. Stefan zawziął się, a śmiał w duchu. Animoszę dziedziców i Antków wyzyskiwał w kierunku wzajemnej rywalizacji i obopólna niechęć podsycił chytrze. Cóż to bowiem była dla Antków za radość, gdy poniektóry hrabia po ćwiczeniach pod karabinkiem stanął?!



Cały trzeci i czwarty szwadron chadzał mu wtedy przed nosem gromadnie, jak na Nowym Świecie.

Ale nieszczęsną, istotnie, myśl miał Stefan z owym Herklem. Zaraz pierwszego ranka, gdy za Warszawą obejrzał się na cwałującego za bryką rekruta, wykrzywił się obrzydliwie. Chłopczysko siedziało na koniu, jak żyd na płocie. Stefan widział, że Kuruś splunął w tę stronę parę razy ze złością. A i sam zły był setnie. Bo i jakże się z taką asystą w pułku pokazać?

Przed miasteczkiem tedy przywołał do siebie nieszczęsnego jeźdźca ruchem szorstkim i gniewnym:

— A szorujże pan przodem na kwaterę, do kroćset! Śniadanie pan zamów!

Herkel zasałutował, zgubił cugle i ruszył z kopyta. Niepodwiązane szablisko tłuło walcza po bokach jak kłonica...

A i w pułku niewiedzieć było, co z gagatkiem zrobić. Ani to strzelać umiał, ani maszerować nawet. Powierzyć go na edukację Kurusiowi Stefan wprost się wstydził, a i czasu nato brakło. Tymczasem w jaśniepańskich szwadronach przyjęto Herkla z entuzjazmem.

Znali go tam wszyscy, a co trzeci bywał u niego w Warszawie. Herkel znalazł się w swoim towarzystwie i zakwitł jak róża. Nic, szelma, cały dzień Boży nie robił, objął się tylko po plutonach i siał nieporządek.

Wezwał wreszcie Stefan do siebie wachmistrza-ochotnika z jaśniepańskich, starszego już szlachciurę, i polecił mu rekruta „obsztorcować“.

— A nie żałuj pan choćby i ręki, boć wstyd dla całego pułku.

Nazajutrz, pod wieczór już, zameldował się ów wachmistrz u Stefana zły i rozgoryczony.

— Panie majorze, ja co do tego Herkla. Niesposób. Nic, łajdak, nie robi, tylko się śmieje. Dwa razy stawiałem pod karabin, dwa razy mi zeszedł.

— Jakto? Sam zeszedł?

— A zeszedł. Myślę: zamelduję po służbie, to chyba w kajdanki draba i rozstrzelać. Ustawiłem więc pluton, gałgana przed front, zekpałem i już, już miałem, według rozkazu, w gębę — a tu mi pluton bunt! Nie daj panie Boże!

Stefan nachmurzył się.



— I cóż pan na to?

— No cóż? Ustąpiłem. Kazałem draba w stodole zamknąć, niech siedzi. No i siedzi.

— Nauczył się czego przynajmniej?

— Ii... Repetować umie, sam sprawdziłem. Może ze dwa razy i strzelił... Ale więcej go jazdy uczą, bo koń ładny.

Na represje nie było już czasu. Tej samej jeszcze nocy pułk załadował się w Warszawie. Teraz właśnie pokazał ułan Herkel, co potrafi. Nieznany sposobem (z domu chyba?) umiał sprowadzić całe koszyki wódek i spił dwa plutony na śmierć, a tak przecież ostrożnie, że Stefan nazajutrz dopiero się o tem dowiedział. Niesposób się było rano chłopców dobudzić. Sam ów wąsaty wachmistrz-szlachciura kiwał się w południe jeszcze na nogach tak obrzydliwie, że przykro było patrzeć. A i oficerowie miny mieli nie-  
tęgie.

Też ledwie dojechali, kazał Stefan zamknąć miłego rekruta w stodole pod wartą z dwu Antków i trzymał go tam okrągłe dwie doby.

Ważniejsze miał teraz sprawy na głowie.

Dowiedzieć się czegoś o Budiennym nie

było tak łatwo. Grasował w całej tej okolicy. Szedł na Zamość. W jakiej sile? — niewiadomo. Strwożona ludność liczyła te wojska na dziesiątki tysięcy. Żydki w miasteczkach na własne oczy widzieli prowadzone działa. Chłopi, wściekli na Budiennego, że zabierał im konie i owies, klęli pocichu ułanów, wypasających łąki i ścierniska. Nie mówili nic, prócz wykretów. Zachowywali życzliwą neutralność. Stefan wysyłał ostrożnie na wszystkie strony niewielkie podjazdy, z których większość wchodziła w kontakt z wrogiem. Małą miał z tego uciechę. Kozacy Budiennego pierzchali na widok naszej konnicy, nie wymieniając prawie strzałów. Stosownie, widać, do rozkazu. Sami nie przedsiębrali narazie nic. Pułk stał mimo to dzień i noc w ostrem pogotowiu.

W tym też czasie nawiązał Stefan porozumienie z naszą potęgą w tych stronach. Była ona, rzecz można, mizerna. O trzy mile, okopany jak kret, trząśł się ze strachu źle kryty bataljon piechoty pod jakimś porucznikiem. Przyplątało się doń cudem pół ochotniczej baterji polowej. Komendant półbaterji wybierał się gwałtownie zpowrotem do Warszawy.



Skarżył się na brak amunicji i znieść nie mógł komendanta piechoty. Stefan pogodził ich zaraz, ściągając oba rodzaje broni do siebie. Ucieszył się z tego setnie. A i oni wcale byli kontenci. Razem stanowili przecież niezgorszą jednostkę bojową.

Po dwu dniach sytuacja zaczęła się wyjaśniać. Bolszewicy znikli na amen z bliższych pułku wiosek, a przy spotkaniach stawali wcale ostro. Jęli się koncentrować za Oleskiem. Byli już zabici i ramni.

Stefan ruszył teraz wprost na nich z całą siłą, posuwając się szosą wolno i ostrożnie. W Olesku stanął na dłużej. Znowu poszły podjazdy we wsze strony.

Major popijał właśnie herbatą kielbasę suchą jak rzemień, gdy zameldowano mu jakiegoś oficera. Ano, prosić. Jakiś obcy. Przyrzawszy mu się baczniej, Stefan zdziwił się tego. Podhorecki.— „Czyżby mnie aż w polu szukał?“ — wzruszył ramionami. — „Nic z tego. Po wojnie“.

Podhorecki nie miał jednak żadnych złych zamiarów. Zadzwonił sztywno ostrogami i wręczył papiery. Przydzielono go do pułku.

Podporucznik. Istotnie, oficerów brak. Trzy plutony pod wachmistrzami.

— Służył pan w kawalerji? — pytał Stefan niechętnie.

— Skończyłem Szkołę Mikołajowską. Ranny w ofensywie Brusilowa — rzekł krótko.

— Dobrze. Obejmie pan drugi pluton w czwartym szwadronie.

— Rozkaz, panie majorze.

Chciał odejść. Stefan wstrzymał go jeszcze.

— Czemuż pan mój właśnie pułk wybrał?

— Mam tu znajomych.

— Dobrze.

Rzeczywiście, zgodziło się wszystko. Któżby miał znajomych wśród „jaśnie panów“, jak nie taki. I nagle przyszła mu zabawna myśl do głowy. Znowu wstrzymał Podhoreckiego u progu.

— Ale, panie podporuczniku! Mam tu pańskiego przyjaciela. Weźmie go pan do plutonu. Rekrut.

I zaraz rozkazał adjutantowi:

— Przyprowadzić ułana Herkla. Wartę zdjąć.



„Ułan“ Herkel zjawił się z miną wcale zadowoloną. Wyspany był świetnie.

— Cześć, panie majorze! — salutował familjarnie od progu.

I nagle, dojrawszy Podhoreckiego, rzucił mu się na szyję z wylaniem:

— Geniek! Bój się Boga, chłopie! Jakże się miewasz?

Podhorecki uwolnił się z tych objęć dość szorstko:

— Mam się — rzekł krótko. — Pamiętaj, Herkel, że tu nie Warszawa.

— E, tak tylko gadasz... Już ty mi surowego nie rób, bracie!

Wyszli razem pod ironicznym wzrokiem dowódcy.

Bo Stefan z przyjazdu Podhoreckiego niebardzo był kontent. „Djabli nadali!“ — myślał. — „Zaraz mi tu karty nocami urządzi, a o partję wśród dziedziców nietrudno, ba! Tyle zeń i korzyści. Dobrze, że mu przynajmniej Herkla wpakował—niech użyje“.—Nie przyznawał się przed sobą, iż sam widok oficera był mu nieznośny. Znowu gryzła go zazdrość.

Tegoż jeszcze wieczora wysłał go z patro-

lem w najgorszą stronę, żeby przecież „nowego“ wypróbować. Widział z okna przeciągający pluton, za którym telepał się na swym wałachu, jak małpa na wielbłądzie, nieznośny Herkel. Skrzywił się. Ci tam niewiele dokażą!

Tymczasem dokazali więcej, niż kto się mógł spodziewać. Dotarli znacznie dalej, niż mieli rozkaz, aż do trzeciej, zajętej przez bolszewików wsi, zagarnęli placówkę, odstrzelali się i przywlekli jeńca. Raport Podhoreckiego zadziwił Stefana jasnością i prostotą. O sobie nie mówił nic. Zato kuzyn Janek, zgłosiwszy się, jak codzień, na kolację do majora, słów nie miał dla zimnej krwi i odwagi podporucznika.

Stefan zagryzł wargi i kazał przywieść oddawna upragnionego jeńca. Inkwizycję polecił Kurusiowi i Antkom. Śmiertelnie przerażone kozaczysko śpiewało zresztą jak z nut. Jest ich tu trzy pułki, dwa kozackie i jeden dawnej kawalerji, kulomiotów przytem dość. Armaty ani jednej. Konie im popadały, jeżdżą na ledwie ostrzelanych hetkach chłopskich — tego się boją, bo nie siły. Jest trzech komisarzy, ale dowodzi carski oficer, dziś czerwony.



Reszta wachmistrze. Stoją na odsłoniętych rżyskach za ową wsią; ztyłu lasy.

Stefanowi aż serce rosło czasu tego badania. Da bolszewikom bobu — jedyna okazja. Zaraz jutro. Poszedł spać wesół, nakazawszy alarm o świcie.

Raniutko odbył przegląd swej armji. Jego pułk prezentował się niezłe: wiedzieli już o akcji, zapal szalony, miny za katy, „nie podchodź — bo uderzę“. Oficerek od artylerji wykazywał nerwową determinację; działa były czyściutkie jak szkło.

Gorzej było z piechotą. Złożona w znacznej mierze z dezertarów, zachowywała spokojną ponurość. Chodząc wzdłuż kompanijnych frontów, Stefan ledwie tu i owdzie natknął się na weselsze oblicze. Ochotnik? Ochotnik. W którymś z plutonów mignęła mu znajoma twarz o wybitnie semickich rysach. Czyba Moszkowicz? Moszkowicz, istotnie.

— Wystąp — zakomenderował z uciechą.

Moszkowicz wystąpił i stanął na baczność. Czynił to jak należy na mustrze, wedle określonej ilości ruchów. Wyraźnie spełniał obowiązki, pedantycznie i wzorowo jak zawsze.

Podaną dłoń uściskał bez przesadnej gorliwości.

— A pan co tu robi, profesorze? Za żołnierza? W piechocie?

— Myślałem do kawalerji, ale za ciężko. Trzydzieści osiem lat i organizm niebardzo... Jakoś mi tu zręcznie. Tylko że pułk nieświetny...

— Wy zaczynacie taniec, wie pan?

— Możemy i zacząć — uśmiechnął się z melancholją. — Bodajby szczęśliwie...

— Musi być szczęśliwie! Cóż pan znowu?! — zachnął się Stefan. — A dlaczego to profesor do mnie na kwatere niełaskaw?

— Nie chciałem się majorowi narzucać... — mruknął Moszkowicz.

— Dziś jeszcze proszę na kolację. Po bolszewikach. Rozkaz.

Nakazawszy oficerom największą dla żołnierza surowość, zakomenderował wymarsz. Stojąc zboku konno, z satysfakcją patrzył na defiladę wojsk. Toć jakby jego własne! Przodem piechota, w środku działa, za niemi konnica. Działa ucałował wzrokiem. — „Jeszcze się tu na Kmicica wykieruje, jak mi Bóg miły“ — myślał ze śmiechem.



Ludność miasteczka oglądała tę armję bez ufności.

Dwie wsie po szosie minęły bez żadnych przeszkód. Za drugą dopiero jęli się ukazywać na widnokregu jeźdźcy, których boczne ubezpieczenia spędzały pierwszym strzałem. Za trzecią wsią z prawej strony widać już było wśród lasów olbrzymie płyty rżysk, świecących w słońcu jak roztopione złoto. Nudnym szeregiem sterczały na nich stogi ściętych zbóż. „Maszynki na nich, jakbym widział“, — uśmiechnął się Stefan.

Zaraz też wstrzymał kolumnę i z plutonem ruszył boczną drogą w zagajniki po prawej stronie rżysk. Bawił przeszło godzinę.

Wróciwszy, jął pchać w tę stronę pluton za plutonem, pomówiwszy coś przedtem z oficerami. Poszedł cały pierwszy i trzeci szwadron. Z Kurusiem mówił najdłużej. Ten kiwał tylko głową z ręką u czapki, z miną poważną i surową.

— A nie spóźnić mi się, Kuruś! Z Bogiem!

Oczy całego wojska tkwiły wbite w odchodzącą jeździe. Stefan szybko przerwał tę kontemplację: kolumna ruszyła znowu zdwojonym teraz krokiem. Puściwszy ją mimo sie-

bie, wywołał z szeregów wczorajszego bohatera.

— Podporucznik Podhorecki!

„Zobaczymy teraz, czyś taki zuch, jak mówią“ — myślał złośliwie.

— Przetrząśnie pan wieś. Jeśli się da — zając. Marsz!

Podhorecki salutował z miną chłodną i opaloną. Taką samą jak wówczas, przy kartach. Za chwilę mijał kolumnę ostrym kłusem. Koniec plutonu rozciągnął mu się i zdeformował: to ułan Herkel psuł szyki dwu ostatnich szeregów.

Owa wieś leżała już jak na dłoni. Cicha była i zasnana, jakby wymarła. Na oczach wszystkich Podhorecki parł na nią frontowym atakiem. W pewnej chwili rozpuścił konie. Szli teraz jak wicher. Już wpadli w opłotki, już są przy pierwszych chałupach... Cisza. I naraz jak gruchnie: salwa — raz, salwa — dwa!... Skotłowało się coś i zmieło... A już maszynki terkocą: trr, trr, trr...

— Aaa... — przebiegło po wojsku jak wiatr po lesie.

— Biegiem! — rzucił Stefan komendę piechocie.



„Dostali“ — myślał, wpatrzony w kotłującą się wieś. — Dobrze dostali. Bo i poco walił kolumną. Brawura, djabli. Oho! ostrzeliwiają się. Dobrze. Cofają się. Tak, za szosę. Dobrze. Tylko poco spieszył? Kono-wody z końmi do szwadronu. Tak. Ale poco spieszył?“

Podniósł się na strzemionach, żeby lepiej widzieć. I nagle aż konia zdarł ze zdumienia.

„Co takiego?“ — nie wierzył własnym oczom. — „Znowu frontowy atak? Tyraljera? Na piechotę? Warjat, jak mi Bóg miły, warjat! Toć wygina, u diabła! Ale idą, chłopcy, idą, gałgany! Wprost na maszynki, jak pod nóż. Ile tego? Jedna, dwie. Wykoszą, wykoszą“...

Skoczywszy do artylerji, wrzasnął prawie na oficera:

— Stop! Odprzodkuj pan! Piorunem! Walić w tamte stogi, grzać mi jak w cymbał!

Przybladły oficerek nie salutował nawet. Za chwilę ryknęła jedna armata, druga, trzecia... Zostawiwszy asekurację, kolumna szła biegiem dalej.

Jedna z maszynek we wsi umilkła nagle. „Zacięła się“, poweselał Stefan. Już słysząc

było łomot poszczególnych karabinowych strzałów, już dochodził wrzask ludzkich głosów. Zamilkła i druga maszynka, zgiełk i strzały szły już za wieś, ku ścierniskom.

Kolumna dobiegła wsi i wkroczyła w nią dobrym chodem. Stefan minął ją szczupakami.

„Ależ wściekła bestja! — myślał, nie mogąc się powstrzymać od uznania. — Zdawałoby się — nerwowiec, a odwagi na funty. Ryzykant. Tylko pułku tobym mu nie powierzył... Czy żyje aby?“

Zastał go w dobrem zdrowiu. Za wsią kilkunastu już ledwo pozostałych ułanów, leżąc, ostrzeliwało uciekających w dyrdy moskali, a Podhorecki ze szpicrutą w ręce komendował ostro i sucho, jak na ćwiczeniach. Dojrzawszy majora, złożył krótki meldunek.

— Armaty pomogły, spieszyli się. Choć żołnierz dobry — dodał w końcu.

Pozycja jednego z ułanów w szeregu zwróciła uwagę Stefana. Leżał na boku jakoś, z ręką na karabinie, a nie strzelał przecież; nogi podkulił dziwacznie i tak trwał nieruchomo. Trup. Uderzyło w nim Stefana coś jakby znajomego. Podjechawszy z boku, zajrzał



w twarz. Herkel. Usta miał wykrzywione, jakby pękał ze śmiechu.

— Herkel — stwierdził Podhorecki dość obojętnie. — W samo czoło. Uniósł się z ciekawości, chciał widzieć.

Stefan zasalutował szablą.

— Dobrze — rzekł, zwrócony już do podporucznika. — Dla pana Virtuti. Teraz do szwadronu i na koń.

Czoło piechoty wysunęło się już ze wsi.

— Bataljon w tyraljerę. Naprzód, marsz!

Patrzył chwilę, jak na poszczególne kolumny rozsypywał się łańcuch za łańcuchem. — „Dobrze. Wcale sprawnie. Zawszeć to stary żołnierz, choćby i bez zapłać” — myślał. Od strony rżysk gruchnęły teraz maszynki w znacznej ilości. A i nasze zagrały również. Nieznośny turkot zapanował nad całą tą przestrzenią, przerywany co moment potwornym jękiem szrapneli.

— Biegiem! biegiem! — rozległ się jak z trzewi darty głos oficerów.

Moskale nie przystrzelali się jeszcze, bo kolumna piechoty rozwijała się do końca wcale swobodnie. Szereg za szeregiem rwał teraz galopa na piechty z przewieszoną bro-

nią, wznecając smugę za smugą kurzu na upałem wysuszonych polach. „Dobrze idą! Dobrze idą!” — cieszył się Stefan. W pewnej chwili odrazu dwa pociski trafiły w dwa obok siebie stogi. Buchnęło jak fajerwerk. Rosyjskie maszynki jakby zawahały się chwilę. Od naszej piechoty dobiegł stłumiony odległością wrzask triumfu.

Wlazszy na dach pierwszej chałupy, ukryty za kominem, obserwował Stefan nieprzyjaciela. Skoncentrowany pod lasem, zachowywał się wcale spokojnie. Wyraźnie początek akcji powierzał swoim maszynkom. Stał w pogotowiu bojowym, czekając momentu. Nasze maszynki nie robiły mu żadnej widocznej szkody. Zato każdy obłok szrapnela wzniecał popłoch i nieład w oddziałach. Nieostrzelane hetki chłopskie rozsypywały się co pocisk jak owce.

— Pod las szrapnelami walić! — rzucił z góry adjutantowi.

Wysłał też pół własnego szwadronu maszynek z dokładnem wskazaniem obstrzału.

Tymczasem z piechotą działo się coraz gorzej. Stefan widział przez lunetę dokładnie, jak w pierwszym szeregu skoziłkował nagle



„jeden żołnierz, za nim drugi, trzeci... „Oho! namacali ich bolszewiki, namacali! Biegiem chłopcy! biegiem!“ — podniecał ich w myśli. Oni zaś, przeciwnie, zwolnili kroku, poczem stanęli w miejscu i jęli kotłować się bezradnie... Dalsze szeregi padły na ziemię bez rozkazu. Widać było oficerów, jak biegali wzdłuż frontów, usiłując zmusić żołnierzy do marszu. Daremnie. Przywarli do rżysk z mocnem postanowieniem, iż nie wstaną. Opanował ich władniejszy nad wszystko strach. Tu i owdzie jęły się z pola wznosić pióropusze kurzu: to przezorniejsi wkopywali się w ziemię jak krety. — „Z tych już nie będzie pociechy!“ — wściekł się Stefan. — „Cały plan zepsuli, łajdaki! Żeby choć strzelały, szelmy celnie!“

W tej chwili doniesiono mu również, że szrapnel zabrakło.

— Djabli! Niech wali granatami, solą wreszcie, byle z hukiem! — krzyknął z góry.

Wpatrzony w nieprzyjaciela, zauważył nagle pod lasem jakieś podejrzone manewry. Od chwili już kozactwo dostało się pod ogień wszystkich broni. Coraz więcej oszalałych hetek bez jeźdźców galopowało z kwikiem po rżyskach i między stogami. Ład w szwadro-

nach zginął prawie zupełnie. Całemi kupami bolszewicy usuwali się w głąb, w zagajniki, aby opanować spłoszone chabety. Musieli coś przedsięwziąć.

Jakoż istotnie, po chwili wypadł z lasu kłęb kilkuset może koni w pełnym galopie. Walili wprost na piechotę w niezłym ordynku. Odrazu stanęła za nimi olbrzymia smuga kurzu jak ruchoma ściana.

— Dostaną teraz za swoje — myślał Stefan o piechocie. — Przejdą przez nich jak przez masło, jak po moście!

Zaraz też zląkł z dachu, nakazał baczność szwadronom, wystawił na powitanie resztę maszynek i sam stanął przy nich. Co chwila spoglądał na zegarek z rosnącym niepokojem.

Leżącą piechotę na widok skierowanej na nią szarzy ogarnęła panika jak ogień. Ledwie tu i owdzie ozwały się nieskuteczne salwy. Szeregi poderwały się jak zające z miedzy i rwały na prawo i lewo, dając kupie szeroką drogę. Lecz konnica zwolniła już biegu. Poszczególni jeźdźcy jęli uwijać się po polu, tratując i rąbiąc wedle woli i chęci. Zaczęła się formalna rzeź. Oszalałe piechury nie



strzelały prawie. Niezdarnie zasłaniając się karabinami, padali jak muchy od nieomylnych ciosów. Przerażliwy krzyk bił z tego miejsca ku niebu. Stefan przybladł silnie. Szwadrony opanował niepokój.

Lecz w tym oto momencie z zagajników po lewej stronie ściernisk wypadł długi tuman kurzu i rósł i tężniał z każdą chwilą. Walił w milczeniu prawie, przerywanem ostremi wrzaskami jak szczekaniem. Komendy. Już można było dojrzeć w pyłe czerwone lampasy czapek.

— Nasi! nasi! — przeszedł radosny szmer.

Rzeź ustała natychmiast. Jak piorun spadły szwadrony na bezładne kupy. Huknęły strzały bliskie, rewolwerowe; podniecające wrzaski zaległy całe ściernisko. Bolszewicy zawrócili odrazu do swoich, ku lasom. Znów jęła się wyciągać w tamtą stronę długa ściana pyłu.

Stefan od chwili kazał zawiesić wszelki ogień. Pozostawiwszy pluton przy armatach, obrócił się na strzemionach ku szwadronom:

— Do ataku. Marsz, marsz!

Szwadrony runęły z miejsca jak podcięte. Ledwie słyhać było poszczególne komen-

dy. Marsz, marsz! Minęli w skoku ogłupiała piechotę. Wpadli w ścianę kurzu i przeszli ją jak grot. Nasiedli już prawie na spotniałe zady pierwszych szwadronów. Wzięli trochę w prawo. Jak na dłoni ukazała się zgorączkowana teraz jazda bolszewicka. Parli wprost na nią wielkim pędem.

— Staną, czy uciekną? — myślał Stefan w zapale. — Stańcie, szelmy, gałgany, tchórze! — prosił ich prawie w duchu.

Nagle, wśród względnej teraz ciszy, usłyszał znany, równomierny turkot motoru nad głową. Spojrzał w górę. Aeroplan. Skądże u diabła tutaj? Ich, czy nasz? Oślupiałym wzrokiem zerkał wraz z całym rozpedzonym pułkiem na to szczególne zjawisko. I zaraz po znakach rozpoznał, że polski. „Czego chce?“ — myślał z gniewem. — „Czego przeszkadza?“

Aparat, szybujący dosyć wysoko, jął spadać nagle jak kula, po pionie prawie, przed sam nos szwadronów. I nim zrozumieć mogli, co się stało, zawinął nad ziemią potężnem skrzydłem, wyrównał lot i stanął w powietrzu przed zdumionymi bolszewikami. Odra-



zu rozległ się suchy trzask maszynki i równoczesny straszliwy wrzask sieczonego kulami wroga.

Trwało to króciutką tylko chwilę. Wokropnym popłochu, walcząc z oszalałymi końmi, bolszewicy rzucili się do ucieczki. Aparat przerwał ogień i wznosił się powoli i majestatycznie. Wtedy to Stefanowy pułk wpadł na tyły kryjących się w lasy nieprzyjaciół. Nie wiele tu mógł zdziałać. W las prowadziła tutaj jedna tylko, choć i szeroka droga. Puściwszy szwadron Kurusia z maszynkami w beznadziejną pogoń, Stefan zawrócił z resztą jak chart z pod lasu.

Aparat splanował właśnie na ściernisku. Ze wszystkich szwadronów sypnęli się teraz ku niemu oficerowie. Stefan podjechał również, choć z wybitną urazą.

Lotnik wylazł już na ziemię i, oparty jedną ręką o skrzydło, kopcił krótką fajeczkę. Niewielki był, czarniawy, cały zaszyty w skórę, z miną wesołą i drwiącą.

Nie wyjmując fajki z ust, rzucił do zgromadzonej oficerji, zmrużywszy jedno oko:

— *Eh bien. Ça y est. Ça marche.*

Nastała chwila zdziwienia. I zaraz wszystkie gardła rozwarły się w radosnej owacji:

— *Vive la France!* Niech żyje Francja!

Wyjawszy przecież fajkę z zębów, lotnik salutował niedbale.



IX.

PAPA KNEDL.

Nadeszła późna jesień. Wojna kończyła się właśnie, wygasła jakoś sama przez się. Biliśmy jak w pierzynę. Rokowania o zawieszenie broni wisiały w powietrzu.

Pułk Stefana utknął na Białej Rusi, za Pińskiem. Od tygodni stał tam bezczynnie, jeśli nie liczyć wyłapywania po lasach zbrojnych band i poszczególnych rozbitków bolszewickiej nawały. Niewiele było do roboty. Stefan z łatwością uzyskał pozwolenie wyjazdu do stolicy, gdzie czekały nań sprawy osobiste, a pilne.

Rudzki umarł. Zgasł, jak zdmuchnięta świeca, w kilka dni po wyruszeniu Stefana w pole. Nie mógł nawet być na pogrzebie. Chowała go ciotka z wielką pompą i ostentacją, stosownie do wyraźnych życzeń siostrzeńca. Zaraz też, w polu jeszcze, dopadały

go tu i owdzie nagłałe wezwania rejenta i adwokatów. Listownie, przez Kurusia załatwiał, co najpilniejsze; sam wpadł do Warszawy ze dwa razy, jak po ogień.

Czasu tych wypraw, a i teraz, widywał się z panią Podhorecką codziennie. Ze wszystkich spraw ta była dlań najważniejsza. Nie mieli już wątpliwości, że są dla siebie stworzeni. Chodzi tylko o rozwód, poczem otwierała się kraina nieskończonej błogości. Omówili to wszystko między sobą dokładnie. Z papą Knedlem nie gadał jeszcze, chciał bowiem naprzód zmusić do zgody Podhoreckiego. Nie śpieszył się bardzo. Bo mu to było źle? Widział Dziuńkę wczoraj, zobaczy dziś...

Koło dziesiątej Ignac zameldował jakiegoś pana. Czeką w gabinecie. Biletu nie było. Znowu, pewnie, ktoś w sprawie spadku po Rudzkim. Ruszył niechętnie, ale już na progu zainteresował się odrazu.

W gabinecie, koło biurka, stał papa Knedl.

Wyraźnie był wściekły i podniecony jeszcze czekaniem. Nie podając ręki, mruknął zwięźle:

— Knedl.

— Wiem. Niech pan spocznie.



Ale starszy pan nie usiadł, tylko z ciężkiem sapaniem jął poszukiwać czegoś w pugilarzesie.

Stefan przyjrzał mu się dokładnie i z ciekawością. Miał koło pięćdziesiątki, choć gęsta szczotka włosów siwiała mu ledwie na skroniach. Tak był rozrośnięty, iż zdawał się składać z samych kwadratów, większych i mniejszych, opiętych w gruby kort angielski. Na kwadratowym również obliczu uderzały pod strzyżonymi wąsami wargi wąskie i zacięte. Cała postać dyszała wzdorliwą energią. Gdy podał Stefanowi wreszcie odnalezione pismo, szare jego oczy zimne były i złe, jak u krokodyla.

Nie było się w co wczytywać. Znowu Ola, rozumie się. Przebiegł list oczyma z okropnym gniewem. Nigdy mu baba spokoju nie da, czy jak? Pisała o Dziunię, że bywa u niego, że... Djabli! Opanował się całą siłą woli. Trudno. Trzeba znieść. Rzuciwszy liścik na biurko, spojrział Knedłowi prosto w oczy.

— No i co?

Starszy pan wybuchł odrazu jak bomba.

— Jakto co? Ja dziś przez pana do fabryki nie pojechałem! Ja już, panie, wszelką

cierpliwość straciłem! Póty mam tego, póty, o! Rozumie pan?

Stefan słuchał tych wrzasków zimno i grzecznie.

— Bardzo żałuję... — cedził. — Na anonimy nic nie poradzę.

— Na anonimy? To anonim, mówi pan? Może pan nie wie, kto pisał?!

— Nie wiem.

— To ja panu powiem. Pisała pańska kochanka.

— Nie mam kochanek.

— Co mi pan będziesz gadał! Nie pańska kochanka. Może moja? Ja pana znam. Oddawna kazałem się dowiadywać, coś pan zaczął. Pan sobie specjalność zrobiłeś z uwodzenia mężatek. Tylko że teraz ze mną sprawa! Ze mną, panie!

Tłukł pięściami po biurku, a na czerwonej twarzy wystąpiły mu grube krople potu. Stefan oponował tylko dla formy, ze spokojem.

— Panie Knedl! Wypraszam sobie...

— To ja sobie całego pana wypraszam! Rozumiesz pan, panie oficerze? Nie pozwalam, żebyś mi pan teraz ostrogami koło Dwidzki brząkał! Nie pozwalam!



— Nie proszę o pozwolenie. Pani Podhorecka ma męża...

— Durnia ma, nie męża! Na to pan liczysz właśnie! Ale jest jeszcze i ojciec, co się za nią ujmie. Z Knedlem niełatwo, panie! Pan mnie nie znasz!

Stefan milczał przez chwilę umyślnie, jakby chciał dać się wysapać gościowi. Myślał złośliwie, że nie tylko nie zna pana Knedla, ale i znałby go niebardzo chciał wogóle. Po dłuższym momencie rzekł:

— Panie Knedl. Może pan chwilę nie krzyczeć?

Rozległo się straszliwe chrząknięcie. Pan Knedl spojrział jak prawdziwy wygłodzony krokodyl.

— ...Zapowiadam panu, że panią Jadwigę rozwiodę i ożenię się. Jak tylko się wojna skończy.

— Oszalałeś pan?

Stefan dostrzegł z przykrością, że oznajmienie to nie zdziwiło gościa. Przeciwnie. Uspokoił się jakoś. Nawet sapać przestał. Rąbał spokojnie i z pogardą:

— A ja panu zapowiadam, że za dwa tygodnie Dzidzka będzie zagranicą.

— Nie będzie. Nie pojedzie.

— Zobaczymy. Ojca posłucha.

— Zobaczymy.

Czując pewną śmieszność tego pojedynku, Stefan dodał pośpiesznie:

— Gdyby nawet posłuchała, to ja za nią pojedę.

Pan Knedl roześmiał się szeroko.

— A za co? Chyba w misji, na państwowy koszt?

Stefan zmarszczył się.

— Panie Knedl. Nie pańska rzecz. Na kasjera pana nie godziłem.

— Właśnie że moja! Pan myślisz, że mi pański mundur imponuje? Jam nie panna. Bo i cóż pan jesteś właściwie?

— Inżynier i dowódca pułku.

— Oj-oj! Żebym się nie przestraszył! Taki inżynier brał u mnie przed wojną pięćdziesiąt rubli. I prosili się wielcy ludzie, wiesz pan? A dowódca pułku też domem administruje, żeby żyć. Nie? Jeszcze niech usłyszę, że masz pan wychowanie i dobre nazwisko i że ją wezmiesz w samej koszuli, to już wszystko będę wiedział. Ja znam te dobre nazwiska! Poznałem, jakem się sam żenił...



— Panie Knedl! Żebym się nie zapomniał!...

— Znam was, mówię. Każdy jest bezinteresowny, bo wie, bestja, że Knedl ma ciężki pieniądz. Mówię panu poprostu: zięć mi się nie udał, ale go zmieniać nie chcę. Pomieniał się stryjek, na siekierkę kijek... Golca na golca.

Stefan poczerwieniał jak burak. On teraz dyszał zkolei.

— Panie Knedl! U starego diabła!

Ale fabrykant nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Machnął tylko ręką ze złością.

— Nie zwracaj mi pan głowy! Ja tu przyszedłem nie na rozmówki, tylko żeby załatwić interes. Dosyć się zirytowałem. Dam panu odstępne. Jedź pan sobie zagranicę, ale sam. Trzydzieści tysięcy. Tylko bez targów.

Stefan aż się zachłysnął z gniewu. Uszom wprost nie wierzył. Żeby taki śmiał! Błądł i czerwieniał z pasji. Ledwie mógł wydrzeć z siebie tych kilka wyrazów:

— Panie Knedl! Pan jesteś cham i stary dureń! Sam mam pieniędzy dosyć, żeby pana kupić. Tylko że kpów nie kupuję. A teraz za drzwi! Marsz!

Ruszył naprzód z zaciśniętymi pięściami.

Twarde oblicze Knedla wyraziło nietyle obrazę, co nagłą ciekawość. Cofnął się o parę kroków zaledwie.

— Czekał pan! Tu niema się o co obrażać. O dziecko mi idzie. Nie jesteśmy na balu, po męsku mówmy. Więc jakże tam? Naprawdę masz pan co?

— Mam. Tę kamienicę.

— Fiu! Niezły *kusz*. Rudzki zapisał?

— A zapisał, zapisał!... U Majewskiego się pan dowiedz, na czwartem. I kamienicę zapisał, i funty w Londynie, i franki w Paryżu, i akcje... Masz pan dosyć, panie Knedl? Starczy?

Knedl miał już minę jowjalną i rozradowaną.

— Tak mi pan gadaj!—wrzeszczał.—Nie różne dyrdymały. Pieniądz to pieniądz, reszta głupstwo. Tak mi gadaj, chłopie! A nie tam inżynier, major! Teraz wiem, że mi Dzidźkę kochasz. Możeby i była z was para. Chodź, niechże cię uściskam!

Jakoż rozłożył ręce, a widząc, że Stefan, ponury, wcale się doń nie kwapi, opuścił je zaraz bez najmniejszego zresztą zmieszania.



— I waluty, mówisz, zostawił? Po zagranicznych bankach? — zachwycił się. — To jest coś, to jest argument! A stary spryciarz!.. W Rosji już, widać, przewąchał, że źle! A spryciarz! Maszyny mi nagwałt do fabryki potrzebne... Toś mi pan niespodziankę zrobił! I czegoś pan zły? Dogadaliśmy się, to grunt! Geńkowi da się odstępne i ślub! Ręka?

Stefan wyciągnął swoją, a starszy pan zatrzymał ją w dłoniach jak tace. Gadał i gadał.

— Ja pana znam. Pracowity pan jesteś; jeśli jeszcze i łeb na karku, to się firmę zbuduje jak skała. Pies pan na kobiety, też wiem. Ale to i lepiej. No, co tu gadać! Przychodź pan dzisiaj na kolację, moją hrabinę poznasz...

Po wyjściu gościa Stefan strzepnął kilkakrotnie palcami z obrzydzeniem. Okropnie mu się ten przyszły teść nie podobał... Jakiś kloc nieociosany, ryfa! Ale cóż zrobić? taki jest — trudno. Nie z nim się przecie żeni — z córką. A przedewszystkiem sprawa już załatwiona w połowie co najmniej; dzięki Rudzkiemu poszła wcale gładko... I znowu skrzywił się ze wstrętem.

Zeszedł co prędzej na dół, żeby o tym drabie więcej nie myśleć. W bramie zastawiła

mu drogę osoba niezwykle gruba i sapiąca. Pani Barczewska. Aż go chwyciła za płaszcz, żeby nie uciekł.

— Dobrze, że pana spotykam — stękała. — Mam interes.

— Śpieszy mi się...

— Nic nie szkodzi. Może pan samotnej wdowie kilka chwil poświęcić. Niech pan posłucha. Uch, zgrzałam się!

— Słucham.

— Ja o tego Hartgłasa jeszcze. Wyrzucił mnie, jak panu wiadomo...

— Wyrzucił, nie wyrzucił... Za pieniądze, z pani zgodą.

— Jakie tam pieniądze! Trzeba panu wiedzieć, że jak bolszewiki na nas szły, kupiłam za wszystko pożyczkę Odrodzenia... Dla Ojczyzny przecie.

— Za wszystko?

— Ano właśnie, że za wszystko. I teraz pieniążki — fiut! Niema. Nikt nawet zmienić nie chce tych papierzyków. Wypada więc z tego, że Hartgłas mnie oszukał...

— Gdzieżby tam! Zapłacił przecie... Przepraszam, ale mi się naprawdę śpieszy. Do widzenia.



Gruba dama chwyciła go z energią za guzik. Spocona jej twarz nie wróżyła nic dobrego.

— Teraz to pan ucieka... A któż wszystkiemu winien, jak nie pan?

— Ja? Co pani znowu?

— A któżby? Kto mnie namówił, jak nie pan?

— Wcale nie namawiałem. I nic mnie to wszystko nie obchodzi.

— Teraz to się tak mówi, dawniej inaczej! Miałam sześć pokojów i stołownię, a dziś co? Trzy klitki w oficynie... Takie to pańskie rady! O ja, nieszczęśliwa wdowa!...

— Proszę puścić guzik!

— Panie majorze! Drogi panie! Niech pan o mnie pomyśli, o wdowie nieszczęsnej! Niech pan Hartglasa wyrzuci!...

— Mowy niema.

— To niech mi pan ten lokal odda, po Herklu. Pustką stoi, zarekwirują i tyle. Znowubym stołowała...

— Dobrze, zastanówię się. Niech pani pojutrze zajdzie.

Wyrwawszy się wreszcie babie, ruszył do niewielkiej restauracji, gdzie miał umówione

spotkanie z pewnym poleconym mu rzeźbiarzem w kwestji nagrobka dla Rudzkiego. Spóźnił się nawet nieco.

Rzeźbiarz, chłopisko olbrzymie, młode i przystojne, wziął mu wyraźnie za złe to spóźnienie. Ubrany był po sportowemu. Siedział nachmurzony przy stoliku, kiwając niecierpliwie ogromną łydą, odzianą w kraciatą pończochę. Na powitanie podał końce palców.

— Czekać pan każe — mruknął.

Stefan czuł do tego draba wyraźną słabość.

— No jakże—pytał.—Ma pan szkic?

Tamten spojrział ponuro.

— Zaraz, panie. O suchej gębie przecież nie będę gadał. Piwo pan pije?

— Do obiadu.

— To wino może?

— Teraz? Od rana?

— No to konjak?

— Nie mam ochoty. Pij pan sam.

— Dobrze. Niech pan każe dać. Tylko większy. I przekąski, bom jeszcze bez śniadania.

Stefan zdziwił się nieco, bo z indagacji wniósł, że tamten zaprasza. Ale nic. Kazał



dać. Rzeźbiarz wypił, westchnął i wydobył kawałek zbrukanego bristolu. Wyobrażony był na nim ryczący lew na skale.

Stefan oglądał to z osłupieniem.

— Pan się chyba pomylił—rzekł wkońcu.

— Jakto niby pomylił? Ja się, panie, nigdy nie mylę.

— Ale przecież miała być złamana kolumna z płaczącą postacią... A tu jakiś lew?

— Jakto miała być? Dlaczego miała być?

— No, takem sobie życzył...

— Więc co z tego? „Takem sobie życzył”—patrzcie go! Cóż pan sobie myślisz, że ja jestem kamieniarz z Powązek? Nie, panie, ja jestem artysta. Podoba się, to dobrze, a nie, to nie!

— Owszem, dosyć mi się podoba. Tylko dziwnie to jakoś będzie wyglądać na cmentarzu...

Rzeźbiarz spojrzał łagodniej.

— O to właśnie chodzi! Siła w tem, panie, jest, ekspresja! Sam pan mówił, że nieboszczyk był tegi chłop. To też nawet lew z żalu po nim ryczy. Nie jakaś tam pańska kolumna... Kolumna, tfu!

Z oburzenia kazał dać sobie drugi konjak. Stefan uśmiechał się pod wąsem.

— To pan nigdy nie robi tego, co u pana zamówią?

— Nigdy. Artysta jest od tego, żeby wiedział, co ma zrobić, a burżuj od tego, żeby płacił i dziwił się. Innego sposobu niema. Oho! Żeby im tak pozwolić, toby glob ziemski po pępek był pełen różnych tam głupich figlików: kolumien, aniołków, świństw... Był pan na Campo Santo w Genui?

— Nie.

— No to co będę z panem gadał!

— Ale przy tym systemie niewiele ma pan pewnie zamówień?

— Tja! Przy innym teżbym marł głodem. W Polsce rzeźbiarz, panie, gorszy od dziada pod kościołem. Tak mam choć satysfakcję. Jakem zresztą zaczynał, liczyłem na co innego.

— Na cóż to?

— Ano, chłop jestem przystojny, zdrow, silny. Macnij-no pan ten biceps!...

Muskuł był rzeczywiście z kamienia, a ogromny jak kula kręglowa. Rzeźbiarz uśmiechnął się z pychą.



— ...Więc myślałem—ciągnął—że przez kobiety będę miał zamówienia. Bo lecą na mnie, jak pszczoły na miód. Ale i to, panie, do diabła!

— Nie idzie?

— A nie. Ta, panie, co ma grosze, to się na sztuce nie zna, a reszta goła, jak i ja. Wyżysk tylko...

Zamyślił się i westchnął. Poczem machnął ręką i rzekł krótko:

— No więc jakże? Robimy lwa? W granicie, na fest?

— Robimy.

— To *bulić* zaliczkę i jeszcze jeden konjak. Dość gadania.

Stefan wracał do domu wesoty jak dziecko. Udał mu się ten rzeźbiarz. Butów, bestja, całych nie ma, a przecie ze swojego nic nie ustąpi. Dzielny chłop! I jak to traktuje tych niewielu klientów!... pęknać można!

Idąca przed nim para wydała mu się jakby skądś znajoma. On, wysoki dryblas o blond kołtunach, bez czapki, perswadował coś gorąco drepcącej obok panienczce. Sprawa musiała być ważna i niepokojąca, bo panienka spuściła głowę i wciągnęła ramiona, jak dla

obrony. „Aha!“ — przypomniał sobie Stefan—„róża Saronu i student z piątego“...

— Pocałunek...—doleciało od gestykującego młodziana. — Pocałunek, jako rzecz sama w sobie, jest raczej obojętny, ale jako przejaw pewnej akcji ciekawy...

Panienka skuliła się jeszcze bardziej. A Stefan roześmiał się w głos, na całe gardło. I zaraz, mijając ich, skłonił się zamasyście.

— Dzień dobry państwu! Dzień dobry!

Panna spłonęła jak prawdziwa róża, podczas gdy dryblas odklonił się z wściekłością. A Stefan śmiał się jeszcze u siebie w bramie, i na schodach, i w domu... „Pocałunek, jako rzecz sama w sobie, jest raczej obojętny...“ A dryblasisko nędzne! Co to wymyślił, żeby dziewczynę przekonać, na jakie to się „wzmógł sposoby“, zamiast żeby poprostu!... A smarkacz! A głuptas!

Na stole leżał list od Dziuni. Czekał nań od rana, a przecież ucieszył się jak niespodziance.

„Stef! Widocznie masz jakieś na ludzi sposoby, bo i papuś wrócił oczarowany. A tak się bałam! Jesteś paskudny czarownik. Czekamy z kolacją o ósmej. Niech się tylko nie-



znośny człowiek nie spóźnia. C. 100 razy.  
J. P.“

Ucałował liścik, z uśmiechem myśląc o sposobach, jakimi można oczarować papę Knedla. Niech go tam zresztą Bóg kocha.

Zjadłszy obiad w restauracji, w świetnym ciągle humorze, poszedł Stefan na czwarte do mecenasa Majewskiego. Bo Majewski, jako były doradca Rudzkiego, prowadził i spadkową po nim sprawę. Wkrótce i Stefan zmuszony był uznać, że trudno o gorliwszego jego spraw obrońcę. Przeczytałszy testament, Majewski odrazu, jak w głowę rażony, zapomniał o administratorze, zwracając się tylko do „szanownego pana majora“. Gdy Stefan, poza legatem prawnym, przyznał od siebie jakąś sumkę płaczącej paniusi z piórkiem, mecenas krzywił się na to, jak po cytrynie, i wzdychał ciężko. Bolało go serce o każdy ustąpiiony przez Stefana grosz, jak o własny. Po paru dniach zbuntował się nawet z całym szacunkiem i prosił o oddanie mu sprawy w ręce całkowicie. A czas już był najwyższy. Na wezwanie, widocznie, paniusi z piórkiem zjeżdżało się z prowincji jakieś tałałajstwo i oblegało drzwi Stefana od rana do nocy.

Odsyłał ich do Majewskiego. Ów, siedząc majestatycznie za majestatycznym biurkiem, rządził losami tych ludzi z wszechwładzą Jowisza. Tego, „co wujem tytułował“, wyrzucił wprost za drzwi, innych egzekwował samą wymową, owijając ich jak w bibułę w słowa zimne, żadnym wzruszeniem i żalom nieprzystępne... Wynosili się sami.

Dziś Stefan spodziewał się piły o białą pannę Marię. Za ostatniej jego bytności w Warszawie, mecenas aż poczerwieniał ze zgrozy, że takie jej się sumy wypłaca. Bo i cóż wreszcie Rudzki, chory i stary człowiek?... Przyjaźń raczej... Więc za co tyle pieniędzy? Postanowił wezwać ją i pomówić. I oto, ku zdziwieniu Stefana, a skutkiem, wiadać, owej rozmowy, mecenas nie oburzał się już wcale. Jakaś się jakoś raczej i coś mruzczał we wspaniałą brodę... Stefan uśmieł się w duchu serdecznie. I ten wpadł. Zrobiła sobie ze starszych panów specjalność...

Przebrawszy się starannie, ruszył na ósmą do Knedłów. Szedł na te oględziny bez entuzjazmu. Ale gdy drzwi wejściowe otworzyła mu sama Dziunia, serce stopniało w nim natychmiast. Strojna była i piękna nad po-



dziw. Śród śmiechu i wesołych zaczepek wprowadziła go do obszernego gabinetu, gdzie obok stolika do kart czekał już stary Knedl i dwu jeszcze panów. Jeden z nich, starszy, ciężki i otyły, o zalanej tłuszczem twarzy, witając go, wyjął z ust olbrzymie cygaro i w tej chwili oblicze jego straciło wszelki wyraz — jakby zamiast głowy wyrosła mu nagle na karku olbrzymia kula starego łożu. Cygaro było nieodzownem dopełnieniem tej indywidualności. Drugi gość, wysoki i szczupły, w średnim wieku, czuł się jakoś nieswojo. Zdawało się, że mu przeszkadza wyszarżany żakiet, czy sztywny kołnierzyk... Zważno go poprostu „panem Juljanem“ z pewną protekcją w głosie. Był starszym referentem w którymś z rozgałęzień ministerjum przemysłu i handlu.

— Siadać! siadać! — zapraszał Knedl szorstko.

Grano w bridge'a. Grano tanio, prawie za darmo. Mimo to obaj starsi panowie traktowali tę sprawę z powagą i surowością. Oczy ich łagodniały chwilami tylko, spotkawszy promienny wzrok obojga młodych. Stefan grał prawie machinalnie, całem jestestwem

czując bliskość kochanki; nie robił wielkich błędów tylko dzięki wprawie, nabytej w okopach i po etapach. Zato urzędnik cierpiał straszliwie. Pocił się ze strachu za każdym wyjściem, a wobec besztań Knedla drętwiał w bezradnej pokorze. Grubas z cygarem również rzucał nań świńskiemi oczkami spojrzenia nienawistne...

Na kolację poprosiła siostra pana Knedla, osoba duża, o białej niemieckiej twarzy bez cienia inteligencji. Pan Juljan ożył. Przeszli gęsiego przez dwa kolejne salony, gdzie meble tkwiły w pokrowcach, jak w białych trumienkach, potem przez jeszcze jakiś pokój nieokreślonego przeznaczenia, zawalony szafami, i wkroczyli wreszcie do stołowego. Spotkało ich światło elektryczne tak jaskrawe, iż zdało się aż ciepłe. Ten blask miło łagodził solidną ciężkość staroświeckich kredensów i krzeseł, wesoło uwydatniał nieskalaną białość obrusa i łagodne lśnienie srebrnej zastawy. Widać było na pierwszy rzut oka, iż nie gabinet, i nie salony, lecz ten właśnie pokój był prawdziwie mieszkalny w tym domu. Wszystko było w nim stare, odwiecznie ustawione, zachęcające do sytości i leniwej po



pracowitym dniu rozmowy. Chyba tylko okropna, jaskrawo żółta lodownia przypominała tu owe bezsensowne malunki sufitów w „salonach“, kolorową mieszaninę mebli w gabinecie i potworne „landszafty“ olejne, które Stefan zauważył po ścianach.

Z głębi jadalni zrobiła kilka kroków na ich powitanie pani wysoka i szczupła, ubrana czarno, w wysokim kołnierzyku, od którego barwy ostro odbijała chuda, żółta i przezroczysta twarz o szlachetnym profilu. W tych uduchowionych, surowych raczej rysach uderzał jak rozkoszna niespodzianka niezwykle łagodny i wdzięczny uśmiech. Dama. Prawdziwa dama. Widok jej przejął Stefana serdeczną radością. „Stąd i Dziunia ma ten uśmiech“ — myślał — „dlatego jest taka właśnie“... Z przykrem zdziwieniem spostrzegł, że i pan z cygarem, i długa urzędniczyzna witali ją niedbale i bez wyraźnego szacunku. Grubas zwrócił się natychmiast i bez jednego słowa do stolika z wódkami, a i pan Julian zatarł z radości ręce ku kieliszkowi.

Zato pan Knedl ucałował rękę żony z szyczerzą galanterją i przedstawił jej Stefana gestem przesadnie szerokim:

— Pan Makomaski — mówił. — A to moja hrabina. Z niesporów właśnie wróciła. Cała familja na wsi taka pobożna. Stryjek opiekun, nieboszczyk, jak wypadło posag wypłacić, tłumaczył mi, że na budowę kościoła poszło. Dla zbawienia duszy. A ja do sądu.

Uprzejmy, ku Stefanowi skierowany, uśmiech zgasł natychmiast. Twarz pani stała się zupełnie żółta i chorowita. Wyrażała już tylko głęboką przykrość, jakby bezbronnej wstydlivości.

— Edziu! — mówiła cicho matowym głosem. — Nawet nie tak było... Sam wiesz.

— Papeczku! — dorzuciła Dziunia wcale niecierpliwym głosem. — Papuś zawsze swoje.

— No, dobrze, dobrze, baby!... Chodź sobie po kościołach, tylko mi zakonnice nie przysyłaj do kantoru. Przychodzi takie chuchro, że jej na misje pięć tysięcy potrzeba. Na jakie misje? W Afryce Zachodniej. Słyszane rzeczy! W Afryce! Pijcież, panowie!...

Grubas pytał od stolika zapchanemi ustami:

— Ile chciała?



— Pięć tysięcy.

— Phi...to nie tak wiele... Żona w zeszłym tygodniu dała na gminę ewangelicką dziesięć. A nigdy tam nie bywam. Nie wiem nawet, gdzie to jest.

Usiedli. Wniesiono olbrzymią rybę o smakowitym zapachu. Pan Juljan aż chrząknął. Wystraszona pokojówka stanęła z butelką w dłoni za Knedlem. Zaraz też rozległ się stamtąd nieznośny wrzask:

— Znowu czerwone lejesz, głupia! Ile razy mówiłem, że do ryby ma być białe? Mogłaby też siostra nauczyć!

— „Och, cóż za człowiek“ — pomyślał Stefan.

Białe oblicze „siostry“ poczerwieniało jak piwonja. Złożywszy wargi w skromny ciup, odrzekła z ukrytym jadem:

— Ja? Co ja *mogię*? Niech tylko słowo powiem, to służba mi dwa. Czy ja tu pani, czy co?

Po twarzy pani Knedlowej przeleciał złoty cień. Wyraźnie nie umiała sobie z niczem dać rady. Pochyliła głowę bez słowa.

Pani Jadwiga interpelowała znowu energicznie:

— A papusiek niech nie robi awantur. Kasiu, weź czerwone i nalej białego.

Na dźwięk tego nad wszystko ukochanego głosu Knedl rozpogodził się zaraz:

— Sza! Sza! Pani Podhorecka się gniewa — sza!

Zajęto się gorliwie jedzeniem. Wszyscy panowie, prócz Stefana, pili jak smoki. Co chwila stawiano nowe butelki wina. Przy pieczeniem, sam pan Knedl otworzył jedną z nabożeństwem. Burgund. Przedwojenny burgund. Kiwał głową z oburzeniem, widząc, że Stefan jeszcze białego nie skończył. Kiepski pijak. A Stefan, po kieliszku świętego istotnie burgunda, poczuł się jak w raju. Bo mu to źle? Dziunia z jednej strony, miłe jej matczyisko z drugiej...

W tej chwili usłyszał właśnie nieśmiało tej pani pytanie:

— A pan major z jakich Makomaskich?

Odpowiedział najszerzej, jak umiał, przypominając w dziecińczych przekazane latach tradycje rodzinne. Na widok jej poważnego zainteresowania wygrzebywał zmarłych pradziadów i ze słyszenia tylko znanych krewnych, przenosił się z powiatu do powiatu,



z miasta na wieś i odwrotnie. Już po kilku minutach trafili na wspólnych znajomych. Sypnęły się anekdoty i nowinki, wieści złe i dobre, wspomnienia wesole i smutne. Pani Knedlowa odmłodziła nagle. Czarujący uśmiech stał się niemal kokieteryjny, na przezroczyście twarz wystąpiły rumieńce po kieliszku wina. Zwracając się do Stefana i córki opowiadała teraz sama historie o tem, jak to się ktoś o kogoś starał w Kaliskiem i dlaczego się nie pobrali. Okazało się, oczywista, że są ze Stefanem spowinowaceni przez wuja Micewicza.

Tymczasem temperatura przy stole rosła. Najedzeni i napici po wręby, panowie rozmawiali o polityce. Od czasu do czasu wybuchał tam srogi głos pana Knedla. Człowiek ten mówił spokojnie tylko o interesach. Zresztą krzyczał.

— Co mi to za rząd — darł się — co ani surowca, ani maszyn sprowadzić nie da! Skąd mam waluty i kredyty brać? Od żydów? Z Nalewek?

Pani Podhorecka stwierdziła obojętnie:

— Papuś na wszystkie rządy się gniewa. Pokolei. Jeszcze takiego nie było, coby papusiowi dogodził.

— I pewnie, że nie było! Tylko taki rząd uznaję, przy którym fabryka będzie dobrze szła! Przemysł to grunt! Dla mnie niech się wali, niech się pali, byle fabryka szła! Dłatego do Poznania nie uciekał. Ja i bolszewików się nie boję! Pracowałbym i jako robotnik, byle w fabryce, byle nie stawała! Wszystko przetrzymam! Tylko niechże mi rząd w drogę nie włązi!

Pan Julian pękał wprost z dobrobytu. Straszliwie najedzony, z policzkami czerwonymi od wina, traktował zarzuty gospodarza z dobroduszną obojętnością.

— Pan minister — mówił z błogim uśmiechem — stara się zapewnić panom wszelkie ułatwienia...

— Pan minister! — rzucił się Knedl. — Co mi pan gadasz! Co taki minister wogóle znaczy? Co robi? Najpierw tydzień wita się z urzędnikami, potem przyjmuje delegacje, jeździ salonką po kraju i przeszkadza ludziom w pracy, wreszcie kropi mowę w sejmie, wyrzucają go i znowu się tydzień żegna. Ot cała robota! Wszystko, panie, znaczą urzędnicy. Ci siedzą i pracują. Od nich wszystko zależy. Sam pan wie...



— Właściwie to tak... — przyznał urzędnik, zawstydzony jak panna. Myślał, że trzeba będzie dać Knedlowi papier, o który się stara. Trzeba będzie... Trudno.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Domowi spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Któż to być może? Ach, nic. Tylko depesza.

— Tutaj daj — rzucił Knedl pokojówce.

— Do pani młodszej.

Dziunia aż przybladła z wrażenia. Przeczytawszy, chwilę siedziała w oszołomieniu. Nagle wybuchnęła ogromnym, dziecinnym płaczem i zaraz uciekła z pokoju. Matka za nią.

Stefan czytał z leżącego na serwecie papieru:

„Ppor. Podhorecki ranny. Amputacja. Odstawiony szpitala Ujazdowskiego“.

I on zbladł. Podał papier Knedlowi. Knedl zmarszczył się surowo i jął bębnić palcami po stole.

— Zięć ranny — mruknął objaśniająco. — Ale kawę panowie skończcie.

Nikt już nie miał na kawę ochoty. Stefan wyszedł pierwszy.

Nie poszedł do siebie. Nie mógł. Zląkł się

samotnego mieszkania i własnych ciężkich myśli. Boć jasne, że wszystko skończone. Żeby choć zwyczajnie ranny, ale amputacja... Gdzie tu z kaleką rywalizować? Skończone. Niema o czym myśleć. Pękło, jak głupia bańka z mydła. Ano, taki los. Niema o czym myśleć.

Ruszył na miasto. Chodził od restauracji do restauracji, szukając znajomych. Jakoż w Bristolu wpadł w większe kółko oficerów. Słuchał do późna w nocy jakichś opowieści, śmiał się z czyichś niemądrych kawałów, popijał kiepskie wino, a od czasu do czasu wstrząsało go przypomnienie jak dreszcz. Nalewał sobie znowu kieliszek. Dopiero gdy nastrój stał się gorący i zażądano szampana, powlókł się zpowrotem do domu. Było już po trzeciej. Spać, spać! Nie myśleć.

Mimo późnej pory w bramie jego domu płonęło światło. Gdy tylko ruszył za klamkę, furtka otwarła się natychmiast jak za sprawą czarów. Stał w niej policjant, który na widok munduru usunął się na stronę bez słowa.

Równocześnie w niepewnym świetle jedynej lampki elektrycznej, dojrzał Stefan w drugim końcu bramy zgromadzony przed por-



tjernią tłumek. Szły stamtąd głuche płacze i szłochy; rozróżnić można było zawodzące głosy Wicka i Helki, stróżowskich dzieci.

— Co takiego? Co tu się stało?

Policjant meldował obojętnie:

— Stróż tutejszy... Zarzynał żonę i windziarza.

Stefan ruszył szybko ku tłumowi. Zbrodniarz, okrwawiony jak rzeźnik, stał w kółku rozespanych lokatorów obok policjanta, trzęsąc się jak osika. Po umęczonej twarzy płynęły mu grube, milczące łzy.

Znajomy przodownik, oparty o drzwi komórki, przepuścił Stefana bez trudności.

— Ostrożnie, panie majorze — mówił — Wszędzie krew. Jatki.

Krew, rzeczywiście, spłynęła aż pod próg. Skoczywszy przez kałużę, Stefan usiłował coś dojrzeć przy blasku stojącego na oknie ogarka. Uderzyły go wysoko sterczące bosc nogi. Windziarz. Leżał na podłodze w bajorze krwi, z nogami na łóżku. Stróżowa siedziała na poduszkach w kącie, nieruchoma, z głową zwieszoną, ze straszliwymi ranami na rękach. Zamiast twarzy oboje mieli okropne gruzły zaskrzepłej krwi.

Stefan westchnął ciężko. Wróciwszy do bramy, mimowoli rzucił do trzęsącego się ciągle stróża:

— A bójcież się Boga, Wojciechu! Cóżecie narobili!

Tego jakby podcięło. Runął na kolana i, wsparłszy głowę o stróżowską ławeczkę, skowyczał jakby do siebie:

— Bo ja sam wiem, com narobił, nieszczęśliwy? O Jezu, Jezu... Tociem człek spokojny całe życie, ludzie przyświadczą... Toć dziecka nie uderzę, tej marnej muchy nie ukrzywdzę... O Jezu... A wczoraj jeszcze łąsiła się jak ta kocica. Wódki kupiła słodkiej, na harmonji kazała grać cały wieczór... Nato ta wódka słodka, nato ta harmonja... O Jezu, Jezu... Ktoby ścierpiał?

Po tłumie przebiegły westchnienia.

— Zawsze one takie — przytwardził jakiś głos męski.

Z brzękiem i srogim marsem nadszedł z ulicy i sam komisarz. Zajrzawszy tylko do portjerni, otrząsnął się ze zgrozą.

— Aa... Paskudna historia! — cmoknął ku Stefanowi.—Porządne było chłopisko i taka rzecz! Siekierą. Pospali się.



Zaraz też dla zatarcia wzruszenia, krzyknął na swoich chłopców:

— No, dalej! Zabierać! Kajdanki włożyć! Co za porządki!

Stróż podniósł się z kolan. Wyciągnawszy ręce ku policjantom, mówił teraz z powagą i spokojem:

— Przebac, Helka, ojcu. I ty, Wicek, przebac ojcu, chociaż mały. I pan niech raczy przebaczyć, panie administratorze, i panie komisarzu. Przebaczcie mi, moje ludzie, przebaczcie człękowi nieszczęsnemu...

Odpowiedziały okropne płacze dzieci. Komisarz warknął znowu zakatarzonym jakby głosem, a ze złością:

— Dalej! Dalej!

X.

NIEMASZ PANA NAD ULANA...

Upłynęło około trzech tygodni. Krzątano się już w sprawie ryskiego pokoju; znużonych ochotników coraz trudniej było trzymać w karchach. Stefan w tym czasie zdołał odwiedzić pułk za Pińskiem, a od dwu dni znowu siedział w Warszawie, by przecież swoich chłopców przed skutkami dezercji chronić. Niejeden ze skwaszonych Antków, czy jaśnie panów, dawał cichcem drapaka do domu, jak za najlepszych czasów pospolitego ruszenia. Uważały draby, że obowiązek spełniony, a garnizon im nie pachniał. Cóż było robić? Uciekinierom wysyłał Stefan *ex post* urlopy, z dodatkiem własnoręcznych wymysłów i gróźb...

Za pobytu w pułku dowiedział się też szczegółów katastrofy z Podhoreckim. Wyprosił się był z nudów na jakąś bandę na



ochotnika, otoczył ją jak siecią i wyszedł na polankę do zgłodniałej hałastry sam jeden, ze szpicrutą tylko. Uszłoby mu na sucho, gdyby nie żyd-komisarz, co się w bandzie zdarzył. Z desperacji, czy śmiertelnego strachu wywalił do śmiałka z „nagana“ kilkakrotnie, a zbliska. Zaraz też sam zginął pod kolbami własnych wdzięcznych pupilów. Ale z Podhoreckim było źle. Mimo opatrunków pułkowych już w drodze do Pińska w jedną z ran na udzie wdała się gangrena. Zostawił też nogę w Pińsku, poczem wysłano go do Warszawy bez wielkich nadziei. Leżał teraz w Ujazdowskim szpitalu.

Przywiózł Stefan ze sobą do Warszawy i Kurusia, dziś już wachmistrza-szefa. Nic mu w pułku o Wojciechu nie mówił, bo i po-co? Dowie się i tak. Jakoż dowiedział się i od dwu dni chodzi jak struty. Gania gdzieś całymi dniami, nie gada ani słowa, wraca tylko na nocleg. Zmartwił się. Twarz wychudła mu i szerniała odrazu, jak i Stefanowi.

Przemówił dopiero trzeciego dnia, po obiedzie. Pochmurny był i surowy, a rosyjskich wyrazów używał więcej niż zwykle.

— Panie majorze! A to chciałem prosić posłusznie, co by mnie pan major *odpuścił* do pułku.

Stefan spojrział bystro.

— No cóż... Może wachmistrz jechać choćby dziś. Myślałem tylko, że wachmistrzowi teraz na rękę byłoby tu posiedzieć: toć Helka i Wicek jak sieroty...

Kuruś spuścił głowę ponuro.

— Ja ich sieroctwa nie *winowaty*.

— To wiem. Aleście z Helą przecież po słowie.

— Rozmyśliłem się, panie majorze. Nie będę się żenić.

Stefan zdumiał się.

— Co znowu? Dlaczegoż to?

— *Bez* tego jeich ojca, Wojciecha... Kajdaniarz.

— No więc co z tego? Co dziewczyna winna?

— Nie mogę się żenić. Ja gospodarski syn. Cała nasza familja gospodarska. Mój dziad u pana Niemojowskiego na czynszowej włóce siedział. Nie para ona dla mnie, ta Helka. Wstyd tylko.

Stefan rozgniewał się na dobre.



— Głupstwby wachmistrz nie gada! Para, nie para!... Dziewczyna porządna, ładna, cicha, za wachmistrem świata nie widzi — i nie para!

— Jak pan major uważa... Ale nie może to być.

— Kuruś! Ja mówię do wachmistrza po koleżeńsku i po przyjacielsku. Żeby Kuruś później nie żałował!

— Już tera żałuję, panie majorze. Krwawymi łzami płaczę. Ale nie może to być. Żeby kto później na moją żonę — „kajdaniarska córka“... Nie ścierpiałbym. Jąbym zadreczył i siebie. A ludzie wszystko wiedzą. Czy tu, czy na wsi. I dzieci też pójdą... To będzie ich do dziadka, do więzienia prowadzać. Nie może to być, panie majorze. Ja tera całe noce nie spałem, tylko myślałem. Nie może to być.

Mówił spokojnie, z posępnym uporem. Sprawa ta była, widać, przesądzona i przecierpiana do gruntu. Stefan nie próbował nalegać dłużej.

— Twardy z wachmistrza człowiek. Ano, trudno. Każdy swoim losem rządzi. A Hel-

ką i Wickiem sam się zajmę. Choć myślałem, że lepszą będą mieli opiekę...

Kuruś spojrzał ciepłej.

— Dziękuję panu majorowi za łaskę i za dobre słowo.

Pomilczeli chwilę, grzebiąc niejako w tym milczeniu dziewczynskie nadzieje. Widząc, że wachmistrz nie odchodzi, Stefan domyślił się jakiegoś interesu.

— A co jeszcze?

— A jeszcze mełduję panu majorowi, że w tym swoim urzędzie powiedziałem już, co-by sobie innego szukali.

— Zostaje Kuruś w wojsku?

— Przywykłem, panie majorze. Jakoś mi w tych woźnych nijako. Cywile.

Zamilkł znowu, nim przedłożył nieśmiałą prośbę.

— A jakby tak łaska pana majora, tobym się do tych szwoleżerów przeniósł. Zawsze to *gwardiejcy*. A i ja z gwardji. Chyba żeby pan major w pułku został...

— Zobaczę jeszcze... To kiedy wachmistrz rusza? Na noc?

— Na noc, panie majorze.

Po wyjściu Kurusia, Stefan siedział długi



czas jak w prostracji. Porównywał własny los z Kurusiowym i gryzła go wprost za zdróść. Bo i o cóż wachmistrzowi chodzi? O ambicję i snobizm. O jakieś niemądre pomysły rodowe i o to, żeby Kurusiowa nie była czasem gorsza od klempy - sklepiczarki z rogu... O to się zabija. Głupie chłopisko! Bo żeby tak na niego, Stefana, ten los. Żeby to stary Knedl zabił, nie Wojciech! Dużoby mu to szkodziło!...

Aż musiał się roześńiać z tego nonsensu. Zapaliwszy światło w gabinecie, przejrzał się w dużej konsoli. Boże, co się z niego zrobiło! Policzki z cieniami, gorycz ust, oczy niespokojne... Zawstydził się. Cóż to znowu! Kiśnie jak grzyb w becze... Do kroćset!

Dzwonek. Aha! to panna Wanda. Zamówił ją na dziś, na tę godzinę. A potem do szpitala... Dobrze, że przyszła, oderwie przynajmniej od tych myśli...

Tak. Panna Wanda. W jakiejś przerobionej cienusiej żakiecie mimo srogie już chłody. Usiadła na skraju fotela przed biurkiem i nie spuszcza zeń zalęknionych oczu. Aż dziwne. Ona, dawniej taka sucha...

— Panno Wando! — mówił z udaną we-

sołością. — Mam dla pani propozycję. Niech pani ciśnie posadę i obejmie u mnie administrację. Zna się pani na tem, a będzie pani lżej niż w urzędzie. No cóż? Zgoda?

Panna Wanda szepnęła skromnie:

— Dobrze, panie majorze.

I nagle, bez żadnych wstępów, buchnęła cichutkim płaczem. Stefan osłupiał, przeraził się, a ona łkała na dobre jak pensjonarka.

— Panno Wando! Co pani znowu...

Był bezradny, jak to mężczyzna wobec płaczu. Biegał po wodę, gładził bez sensu po rękach... Usłyszał wreszcie wśród ciężkich westchnień:

— Bo pan tak źle wygląda... Taki pan nieszczęśliwy... Ja wiem...

Masz ci, djabie, kaftan! Oto są skutki ćwiczeń administracyjnych pod Cyjankiewiczem z komisarjatu! I mówi, że wie. Wszyscy się nim, widać, zajmują w kamienicy. Ba! spałek dostał, kocha się nieszczęśliwie...

— Panno Wando! Niechże pani przestanie! Toć widzi pani... Jestem wesół i jutro jadę do pułku.

Atak ucichł. Zostało straszne zawstydzenie.



— Przepraszam pana majora. Bardzo przepraszam... Nerwy. Więc dziś podam się do dymisji, jeśli pan major sobie życzy...

— Niech się pani najpierw namyśli, pan-no Wando... Jak wrócę, to mi pani powie.

— Już się namyśliłam, panie majorze. Będzie, jak pan zechce.

Nic już nie przekładał więcej. Te łyżki oświeżyły go nawet, jak deszczyk w posuchę. Nic mu coprawda po tem, ale zawsze... Czuł miłe ciepło w sercu i stracił żal do świata. Pośpiesznie narzucił płaszcz i ruszył do szpitala.

Ale o krok za bramą wpadł na Olę Maleniecką. Stała w blasku wystawy z owym wspaniałym brunetem z dyplomacji. Chciał minąć ich z ukłonem, lecz okrzyknęła go wyraźnie:

— Stefan! Poczekać chwilę!

Cóż było robić? — „Szkuta się z babami rozbiła“ — myślał ze złością. A ona, pożegnawszy zasępiętego bruneta, zwróciła się doń z najśladszym ze swych uśmiechów. Była pachnąca, elegancka i śliczna.

— No cóż, Stef? Gniewasz się?

— Teraz mi już wszystko jedno.

— Wiem, wiem. Dlatego z tobą mówię. Ale się gniewałeś?

— Gniewałem się. Bo sama przyznasz, że te twoje sposoby... nie pachną. Dowidzenia.

— Czekaj, Stef. I mnie już wszystko jedno. A co do sposobów — kobiety nie znają innych. Drobiazg zresztą. Ale miałeś przykrości, biedaku, co?

— Miałem — przyznał pochmurnie.

— O to też chodziło, kotku. O to właśnie. Bo z ciebie głuptas, Stef. Nie rzuca się, widzisz, kobiet brutalnie, jak ty.

— Tylko jak? Poucz. Znasz się na tem, widzę.

— Cierpliwie trzeba, pomaluśku. Trzeba przekonać, że to ona cię rzuca. Tak, Stef. Aleś ty dziś smutny, biedaku? Znowu nie masz szczęścia? Teraz ona z kolei cię nie chce? A taki ładny z ciebie chłopiec, Stef. Szkoda cię, naprawdę.

Owiała go jeszcze perfumami, skinęła głową i poszła.

Został na trotuarze jak zmyty. Po chwili dopiero, w ciemnym kącie ulicy, splunął z pasją, po żołniersku. A jedź! Głupie to, a złe jak małpa! Musiała palec w oko wsadzić! Nie



spalaby bez tego spokojnie! Uch, jęzga mściwa!

Ale jeszcze przed Alejami zapomniał o niej zupełnie. Zajmowała go tylko jedna, jedyna sprawa. Szedł do szpitala odwiedzić profesora Moszkowicza, a na tej samej sali leżał i Podhorecki. Wiedział, że Dziunia go pielęgnuje, a nie spotkał jej jeszcze ani razu. Może dziś? może za chwilę? Nie widział jej od owej kolacji u Knedłów, od czasu fatalnej depreszy...

Wchodząc z bijącym sercem na olbrzymią salę, wziął ją całą w oczy jednym spojrzeniem. Niema Dziunki. Serce opadło w nim boleśnie. Podhorecki spał. Od bieli poduszki odcinała się wyraźnie jego szczerniała głowa, o rysach wyschniętych i srogich jak u trupa. Rozczarowany do głębi duszy, Stefan podszedł do łóżka Moszkowicza z robionym uśmiechem.

Profesor nie mógł być na kolacji u majora po owej potyczce pod Zamościem. Leżał wtedy na polu z dwiema ciętymi ranami w głowie i przetrąconym obojczykiem. Jako tako opatrzony, terkotał się potem bez końca na chłopskich wózkach do najbliższej stacji kole-

jowej. Teraz, po kilku miesiącach, przyszedł do siebie zupełnie. Niewielka gorączka ze szczytu płuca podniecała go tylko, a nie martwiła. Był stale wesół, w świetnym humorze, jako to po wypełnieniu najcięższego obowiązku. Z całej postaci jego była pewność, że nie tylko już przez bankierów należą Moszkowicze do Polski. Przestał mieć urazę do własnego nosa, a swą wojskową epopeę ciągnął jak mógł najdłużej. Dlatego siedział jeszcze w szpitalu, mimo oczekujące nań przepyszne mieszkanie. Kazał się tu odwiedzać znajomym.

Stefana przyjął ze zwykłą mu nieco ironiczną serdecznością.

— A, pan major dobrodziej! Że też tak łaskaw na niższe szarże!

— Pewnie że łaskaw! Bo i nie szarża nawet, tylko żołnierzyna nędzna w piechocie, o i *scharatana* w dodatku. Niech profesor poprosi grzecznie, to mu dam kaprala.

— Przydałoby się na stare lata. Zawsze do jenerała bliżej. A tak co?

— No, do krzyżyka przedstawiłem, żeby dalszą gorliwość niecić.



Moszkowicz poczerwieniał jak panna. Bał w zmieszaniu:

— Przedstawił pan? Naprawdę?

— Przedstawiłem. A jakże. Toć własne me oczy widziały, jak to tam profesor tańczył przed kozakiem z karabinkiem w uczonej dłoni.

— Niechno sobie major z tych tańców nie żartuje. Sam pan wie, co może poszczególny żołnierz w spieszonym oddziale. Nie może nic. Chyba zginąć.

— Już nie będę żartował. Mówiąc poważnie, to mam dla profesora za tę jego piechotę szczerzy szacunek. Bodaj tak wszyscy tylko.

Wykręciwszy się na krześle, żeby uściśnić wychudłą dłoń chorego, Stefan drgnął nagle i znieruchomiał. Wszystkie krew odbiegła mu od serca gorącym potokiem. Jest Dziunia, jest. Przyszła. Siedzi tam przy łóżku, przy *nim*. Zmizerowana. Boże, jaka zmizerowana! Spuściła oczy, żeby się z jego wzrokiem nie spotkać. Biedactwo! Niezmierna tkliwość przejęła go żywą słodyczą. Ledwie słyszał obszerne wywody podnieconego profesora.

— ...Też to, żeby wszyscy. Żeby każdy dał z siebie najwyższy wysiłek dla państwa. Bo i tych „wszystkich“ jest mało. Przez długi czas niewoli trzymał się naród tą garstką inteligencji i półinteligencji, tymi dzisiejszymi „ochotnikami“. Reszta, olbrzymie masy, tylko trwały biernie. I do dziś trwają w obojętności dla własnego państwa. No, nie tak?

— Pewnie, że tak — zgodził się Stefan.

W tej chwili właśnie i Dziunia podniosła oczy wprost na niego. Nie przywitali się, nie kiwnęli sobie nawet głową. Patrzyli. Patrzyli na siebie jak urzeczeni, jak oszaleli; jakby się chcieli wyczerpać i wypić tym wzrokiem. Patrzyli bez uśmiechu, bez drgnięcia powiek i ust.

A profesor gadał i gadał.

— ...Dlatego i dziś, my, ci „wszyscy“, ten minimalny odsetek świadomych Polaków, musimy być w ciągłym pogotowiu. Tymczasem cóż się dzieje? Po uzyskaniu niepodległości zwiotczeliśmy odrazu jak rozprężony łuk. Tu był błąd. Stąd bolszewickie przewagi...

Stefan nie rozumiał z tego ani wyrazu. Nie odpowiadał też ani słowa. Gorzej. W środku jakiegoś dłuższego okresu wstał nagle i jął



się zegnać pośpiesznie ku przykremu zdumieniu Moszkowicza. Nie mógł znieść dłużej tego patrzenia. Poprostu nie mógł znieść. Musiałby coś zrobić: płakać, czy po rękach całować... A nie wolno przecie, nie wolno!

Prowadziła go wzrokiem przez całą salę. Mijając, zatrzymał się jak we śnie i skłonił sztywno, po żołniersku. Wtedy dopiero w jej oczach stanęły grube łzy. Odwrócił się zaraz i ruszył ku drzwiom twardym i dźwięcznym krokiem.

Ani pamiętał jak szedł przez ulice do domu. Po głowie snuły mu się bez końca w dzieciństwie zasłyszane słowa: „Niemasz pana nad ułana, a nad lancę nie masz broni...“ I znowu: „Niemasz pana nad ułana, a nad lancę nie masz broni...“ Dalszy ciąg wypadł mu również z pamięci.

W domu zastał tylko pakującego się wachmistrza. Cisnął pas i czapkę o ziemię i huknął prawie wesoło:

— Zostaję w wojsku, Kuruś!

## EPILOG.

Minęło dwa lata.

W jadalni eleganckiego klubu zebrała się tego wieczora cała bliższa Herkłowska kompanja. Czekano na partję przy butelce wina. Nudy. Ten i ów półgębkiem wspominał o niedawnej zabawie u jakiegoś gentlemana, zwanego przez obecnych „Franio“ i „Franciszek“, mimo iż miał Witold na imię.

— E, takie tam zabawy! — ziewnął szeroko pan o wspaniałych brylantach na nie-mytej ręce. — Jeden Herkel coś umiał zaaranżować. Reszta — same Franciszki.

— Dajcież mi spokój z tym Herklem! — uniósł się barczysty major, nieszczęsny ongiś sublokator zmarłego. — Do dziś mi się we łbie mać na samo wspomnienie! Piekło, młyn parowy, kinematograf — nie lokal! Brr! Koń padłby po tygodniu.



— Przesada, majorze... Za krótko tam major siedział. Trzeba się było rozsmakować...

— Co tu gadać! Zaczne było z Herkla chłopisko! — stwierdził piękny pan Pogorzelski. — I zginął pięknie. A gdzie leży? Na ewangelickim?

Przysadkowaty jegomość z obliczem jak kalosz aż się zaperzył na tę kwestję.

— A jakże! Na ewangelickim! A we wspólnym dole nie łaska? Przyjechała jakaś dalsza familja z Łodzi, czy z Ozorkowa, fabrykę wzięli, a o grób nikt się nawet nie pytał.

— A gałgaństwo! A rodzinka zatracona! To my go pochowajmy! Dziś, zaraz daję sto tysięcy!

— I ja!

— I ja!

— Dwadzieścia — westchnął major.

— Trzysta — rzucił pan w brylantach. — Ale kto pojedzie na miejsce?

Zapadło milczenie. Każdy spoglądał na sąsiada. Oburzenie wygasło.

— Nie wiem nawet, gdzie to jest — ba—  
knął ktoś niepewnie.

— Podhorecki wie, to go spytamy.

— Spóźnia się jakoś. A bez niego niema partji.

— Idzie, idzie! Słuchać!

Istotnie od schodów doszło wyraźne postukiwanie kul na marmurze. Lokaj otworzył zamasyście drzwi i kaleka w wojskowym mundurze zbliżył się powoli do stołu. Głowę miał wtuloną w ramiona, włos silnie szpakowaty, wyraz twarzy ostry i zgorzkniały. Krzyż Virtuti dyndał mu się na niebieskiej wstążce po zapadniętej piersi.

— Partja jest? — pytał obcesem.

— Jest. Dotąd drobna gra. Czekamy na ciebie. Ale, słuchaj, Geniek! Jak to było z tym Herklem? Gdzie on właściwie leży?

— Gdzie leży? Pod Oleskiem. A bo co?

— Sprowadzić go chcemy, widzisz. Tylko jak się dopytać?

— Bardzo łatwo. U miejscowego księdza. Sam nazwisko podałem.

— A wieś jaka, pamiętasz?

— Nie. Trafić, tobym trafił. Ale znaleźliście sobie temat do rozmowy! Bo Herklowi tam źle? Leży sobie i ma święty spokój. Nie boli go nic. Więc jakże? Idziecie grać?

— Kończymy wino i już.



— Ja idę. Zobaczę, kto jest.

W milczeniu patrzyli na niedołężne ruchy kaleki, w milczeniu słuchali, jak o coś krzyczał ze złością na lokaja...

— Też zmarnowało się chłopczyisko. Nie daj Boże! — westchnął któryś.

— A co? Bóle ma ciągle?

— Ma. Czasem to go aż podrzuci. Tyle lat.

— Ano, taki los. On, zdaje się, żonaty, prawda?

— Był. Z Knedłówną — objaśnił pan z brylantami. — Tego Knedla od cementu. Wielka firma. A ona śliczna kobieta.

— I rozwiódł się?

— Musiał, widać. Bo i co z niego za mąż?

Major puścił ogromny kłęb dymu.

— To szalenie romantyczna historia — mówił. — Pamiętacie tego przystojnego oficera, co to wpadł na imieniny do Herkla? Makomaskiego? Co to jeszcze pana, panie Pogorzelski, z wanny ratował?

— Pamiętam. Zaczny człowiek. Daj mu, Boże, zdrowie.

— Zdrów jak rydz, dziękuję. Otóż Ge-niek, jak panom wiadomo, niebardzo żony

pilnował; Makomaski i ona mieli się już przed bolszewikami ku sobie. Bylby zaraz rozwód, a tu trach! — urywa Geńkowi nogę. Mój Makomaski, jak należy, zrywa wszystko, wstępuje do szkoły sztabu — i schnie. A i ona schnie za nim z tęsknoty. Niby to pielęgnuje Geńka — a schnie. Schną tak pół roku, rok... Stary Knedl widzi, że mu się córka zmarnuje. No i wtedy on się już wziął do Geńka.

— Winszuję Geńkowi. Knedl potrafi zajęć — mruknął z uznaniem pan w brylantach.

— Jak tam Geńka do rozwodu zmusił, nie wiem, dość że zmusił i zaraz weselisko. Ale i Knedl wpadł. Myślał, że zięcia, Makomaskiego, do fabryki weźmie, bo to skończony inżynier. A ten się uparł. Nie i nie. Zaraz pojechał z żoną do Francji, znowu do jakiejś szkoły wojskowej. Już mu coprawda po weryfikacji pułkownika dali, ale starego ledwie krew nie zalała ze złości...

— Karjerowicz ten Makomaski?

— Gdzie!.. Sam bogaty chłop. Ma tylko kręcka na punkcie wojskowości. Uważa, że jak wszystko przyzwoitsze pójdzie do cywila, to będzie nas bił, kto tylko zechce. Ma rację.



— Może i ma... Ale jakże ona? Kontenta z tej manji?

— Ona? Świata za nim nie widzi. Ktoś ze znajomych spotkał ich we Francji: mówi, że pojęcia się nie ma o takim małżeństwie. Sama słodycz — miód i makagiga.

— I taka ładna, mówi pan?

— Śliczna.

Pan Pogorzelski westchnął.

— No to chodźmy grać w karty...

KONIEC.



*TEGOŻ AUTORA:*

HISTORJA NAIWNA. Nowele. Wyd. 3-ie.

POKUSA. Nowele. Wyd. 2-gie.

KUŹNIA. Pow. hist. z lat 1861 — 63 (wyczerpane).